KULISY STARCIA CBA, PROKURATURY I NIK

Gwałtowny powrót sprawy Mariana Banasia

10 kwietnia 2020 r.: czy warto ryzykować wizytę w Smoleńsku

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 9/362 24 LUTEGO – 1 MARCA 2020

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

POD WARSZAWĄ OTWARTO NAJWIĘKSZY ZADASZONY PARK WODNY W EUROPIE

TVN przegrywa walkę o widzów

CO DZIŚ JEST ZDRADĄ?

Po atakach na Polskę w Parlamencie Europejskim – analizy Marka Jurka i Rafała A. Ziemkiewicza

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

9 772299 850000 09 >

Nakład: 69,5 tys. egzemplarzy

Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

SZCZEGÓŁY NA **WWW.GINTROWSKI.PL**
LUB **FUNDACJA@GINTROWSKI.PL**

MECENAS KONCERTU: ORLEN

PARTNER: PPL Porty Lotnicze

PARTNER WSPIERAJĄCY: WARS

PATRONI MEDIALNI: wprost, Do Rzeczy

eprasa.pl c63039b557

W RZECZY SAMEJ

O co w tym wszystkim chodzi?

PAWEŁ LISICKI

Dziwne rzeczy dzieją się w związku z kampanią prezydencką Andrzeja Dudy. Niby wszyscy powtarzają, że potrzebne jest maksymalne zaangażowanie, że to wybory kluczowe i od nich zależą dalsze rządy PiS – teza prawdziwa i skądinąd mało odkrywcza – jednak trudno ową determinację dostrzec. Albo, co jeszcze gorsze, następują zdarzenia, które z pewnością wygranej Andrzeja Dudy nie pomagają.

Wszystko zaczęło się od nieszczęśliwego gestu Joanny Lichockiej w Sejmie ponad tydzień temu. Wiadomo, takie rzeczy mogą się zdarzyć. W czasie występu w Sejmie poseł była ostro, brutalnie atakowana. Nic dziwnego, że po takich przejściach postanowiła się odegrać. Jednak to, co psychologicznie zrozumiałe, politycznie było poważnym błędem. Tym poważniejszym, że zamiast od razu przeprosić – poniosły mnie nerwy, zrobiłam błąd, to się nie powtórzy – posypać głowę popiołem i prosić o wybaczenie, pani poseł wdała się w dość groteskowe tłumaczenia, że nie chodziło o gest, ale o podrapanie oka. Pech chciał, że właśnie ta sprawa nieszczęsnego gestu wydarzyła się dokładnie dzień przed konwencją PiS i oficjalnym startem kampanii prezydenta. Jak zwykle niezawodna opozycja postanowiła wykorzystać tę wpadkę w sposób cyniczny i obrzydliwy, ale, obawiam się, skuteczny: związane z opozycją media rozpoczęły wielką kampanię, która miała wykazać, że gest polityk PiS skierowany był nie, jak to było naprawdę, do prowokujących ją posłów opozycji, ale do chorych na raka. Podłe to i żałosne, ale – tu mści się dotychczasowa pasywna polityka medialna – całkiem sprytne. Jeśli 80 proc. mediów przedstawia ten gest jako znak pogardy dla chorych, to tak właśnie jest to odbierane.

O ile trudno zapanować czasem nad emocjami, o tyle łatwiej, co do zasady, zaplanować poszczególne działania. Dlaczego zatem w tym samym dniu, kiedy to ogłoszono skład sztabu prezydenta, doszło do spektakularnych akcji przesłuchań i sprawdzania mieszkań i gabinetu prezesa NIK, Mariana Banasia? Który z kolei postanowił wysłać swoich inspektorów do prokuratury krajowej. W rezultacie głównym wydarzeniem w środę nie była prezentacja sztabu Andrzeja Dudy, ale dość niejasne informacje, kto kogo, w jakim zakresie, na jakiej zasadzie i w jakim celu przeszukuje/przesłuchuje/sprawdza. Dla opozycji sytuacja, w której różne służby prowadzą jednocześnie skierowane przeciw sobie działania – NIK przeciw prokuraturze, a prokuratura za pośrednictwem CBA przeciw NIK – to prawdziwa gratka. Być może działań tych nie można było odkładać, być może wybór dnia był przypadkowy, ale ja na miejscu opozycji po prostu zacierałbym ręce.

Zresztą nie rozumiem też za bardzo pomysłu stojącego za osobliwą dość strukturą, która ma kierować przebiegiem kampanii prezydenta. W środę okazało się, że w grupie zarządczej są cztery osoby: Beata Szydło odpowiada za program, Joachim Brudziński za prace sztabu, Adam Bielan został rzecznikiem prasowym, a szerzej do tej pory nieznana pani Jolanta Turczynowicz-Kieryłło ma być szefową kampanii. Nie wiadomo zatem, przynajmniej ja nie umiem odpowiedzieć na proste pytanie, kto będzie w tym gronie podejmował ostateczną decyzję.

Tak samo nie wiem, dlaczego trzy spośród czterech kluczowych osób są europosłami i w jaki sposób pogodzą aktywność w Parlamencie Europejskim z zaangażowaniem w Polsce. Dodatkowy niepokój musi budzić brak doświadczenia politycznego szefowej kampanii, co zresztą od razu można było dostrzec podczas jej pierwszego wywiadu w telewizji. Nawet jeśli ogólnie twierdzenie, że „dowolność wolności słowa" może szkodzić interesowi państwa, jest słuszne, to w tej konkretnej sytuacji, kiedy PiS do tej pory przedstawiał siebie, zasadnie, jako obrońcę wolności słowa, rozważania szefowej kampanii były prawdziwym trafieniem kulą w płot. Do tej pory ma ona na swoim koncie dwie kampanie polityczne – bez mandatu. Powierzenie jej obecnie tak kluczowej roli to dowód zaufania. Ale to też duże ryzyko.

Wszystko to są, można powiedzieć, tylko wpadki. Jak jednak słusznie powtarzają politycy PiS, w tych wyborach będzie się liczył każdy głos. Po ostatnich dniach trudno uznać, żeby udało się im przysporzyć głosów Andrzejowi Dudzie. Jeśli się nie obudzą i nie wyciągną wniosków z błędów, to zwycięstwo obecnego prezydenta będzie bardzo, bardzo trudne. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl c63039b557

TEMAT TYGODNIA

18 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
ZDRADA
Interes opozycji ponad narodem

21 ROZMOWA Z MARKIEM JURKIEM
TRZEBA PROWADZIĆ POLITYKĘ SUWERENNOŚCI

KRAJ

24 WOJCIECH WYBRANOWSKI
KULISY STARCIA
NIK, CBA i polityka

27 ROZMOWA Z SEBASTIANEM KALETĄ
INNY STANDARD DLA NIEMIEC, INNY DLA POLSKI?

30 KAMILA BARANOWSKA
JAK UCZCIĆ BOLESNE ROCZNICE

32 PIOTR SEMKA
LANGUSTA NA WYBORACH

34 KAMILA BARANOWSKA
DLACZEGO TVN TRACI WIDZÓW

36 AGNIESZKA NIEWIŃSKA, JACEK PRZYBYLSKI
TROPIKALNE RAJE NAD WISŁĄ

40 PRZEMYSŁAW HARCZUK
TAK NISZCZY III RP

KULTURA

42 PIOTR GOCIEK
ŚWIAT JEST NARKOTYKIEM
Nowe seriale

46 PIOTR SEMKA
MICHAEL WILLMANN, CZYLI ŚLĄSKI REMBRANDT

50 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT
JERZY GRUZA – CZARODZIEJ SZKLANEGO EKRANU

NIE PRZEGAP

52 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

58 MAREK JAN CHODAKIEWICZ
ODTRUTKA NA KŁAMSTWA O MACIEREWICZU
Biografia człowieka do zadań niemożliwych

62 ŁUKASZ WARZECHA
WYKAŃCZANIE STRACHEM

HISTORIA

64 MIROSŁAW SZUMIŁO
BOŻY PRZEMYTNICY
Jak polski Kościół pomagał słowackiemu

ŚWIAT

74 TERESA STYLIŃSKA
SZKOCJA ROZDARTA
Między UE a unią brytyjską

78 WITOLD REPETOWICZ
WIELE TWARZY MUKTADY AS-SADRA

80 PIOTR WŁOCZYK
MITOMANKI Z #METOO

EKONOMIA

82 JACEK PRZYBYLSKI
KORONAWIRUS WŁĄCZYŁ TRYB ZDALNY
Telepraca coraz popularniejsza

86 ROZMOWA Z PREZES FUNDACJI KUPUJ ODPOWIEDZIALNIE
TRUDNO KONTROLOWAĆ NIEZDROWĄ CHEMIĘ W PRODUKTACH

O ZDROWIU

90 KATARZYNA PINKOSZ
SŁUCHAWKI W USZACH
Samobójstwa nastolatków

FELIETONY:

SEMKA (7), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (8), KOWALCZUK (10), GMYZ, GOCIEK (16), ZALEWSKI, WOLSKI (61), ZYCHOWICZ, KOPER (72), WARZECHA (76), GABRYEL, RYBIŃSKI (85), KOMUDA (92), JASTRZĘBOWSKI, MAKOWSKI (96), SIEDLECKA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl c63039b557

#DobryKierowca

Robert Kubica to jeden z najszybszych kierowców świata, jeżdżący w elicie motorsportu. Oczywiście prywatnie też podróżuje samochodem. Zapytaliśmy naszego wybitnego sportowca, kim według niego jest dobry kierowca.

– Robert, zapomnijmy na chwilę o torze wyścigowym i pomówmy o codziennych sytuacjach w ruchu drogowym. Kim jest dobry kierowca?
RK: Dobry kierowca to taki, który jeździ zgodnie z przepisami. Potrafi także przewidywać różne sytuacje, co bezpośrednio przekłada się na bezpieczeństwo. Ustępuje pierwszeństwa pieszym zbliżającym się do pasów i nie przekracza dozwolonej prędkości. Na pewno też wszystkim kierowcom przyda się po prostu uśmiech i uprzejmość wobec innych.

– Zmieniają się niektóre przepisy. Jak oceniasz zasadę jazdy „na suwak"?
RK: To dobre rozwiązanie. Kiedy wejdzie nam w nawyk, by nie jeździć zderzak w zderzak, a zostawiać miejsce na wpuszczenie auta z drugiego, np. zablokowanego pasa, wtedy korków będzie mniej. Albo szybciej się rozładują, bo „suwak" znakomicie poprawia płynność jazdy.

– Korytarz życia to chyba oczywista zasada, prawda?
RK: Większość kierowców wie, że to oznacza zrobienie przejazdu dla karetki, straży czy policji. Wiedzą też, jak zresztą sama nazwa wskazuje, że korytarz służy ratowaniu życia. Pytanie, czy wszyscy wiedzą, jak to zrobić?

– Jak to zatem powinno wyglądać?
RK: Może najłatwiej będzie to wytłumaczyć krótkim zdaniem, którego uczyliśmy dzieci w miasteczku ORLEN: „kierowcy z lewego pasa – na lewo, a reszta – na prawo!". Tak to powinno wyglądać – dziecinnie proste.

– Dziękuję za rozmowę.
RK: Dziękuję również.

www.dobrykierowca.orlen.pl

eprasa.pl c63039b557

Drodzy Czytelnicy,

przypominamy nasz adres e-mailowy – listy@dorzeczy.pl – i zachęcamy do przesyłania korespondencji do redakcji.

„Ostatni bój Korwin-Mikkego", Rafał A. Ziemkiewicz, „DRz" 5/2020

[...] Istnienie Kolegium Elektorskiego świadczy nie tylko o mądrości ojców założycieli i twórców amerykańskiej konstytucji, lecz także o ich braku zaufania do „ludu" i „demokracji". KE miało być remedium na emocje ludu i możliwość manipulacji masami wyborczymi, elektorzy zaś w założeniu mieli być ludźmi rozważnymi i rozsądnymi. Każdy stan ma swoje własne zasady dotyczące wyboru lub mianowania elektorów, podobnie jak różna w poszczególnych stanach jest kwestia tego, jak elektorzy mają głosować (czy zwycięzca „bierze wszystko", czy proporcjonalnie). KE daje przede wszystkim głos tej części Ameryki, która znajduje się poza lewackimi enklawami wschodniego i zachodniego wybrzeża USA. Wbrew temu, co pisze red. Ziemkiewicz, Kolegium nie „jest dziś historyczną zaszłością, skutkiem rozległości kraju", lecz jest krytykowane przez lewactwo po każdej klęsce ich kandydata. Ciekawostką jest, że o ile klęska Hillary Clinton spowodowała amok lewactwa odnośnie do istnienia Kolegium Elektorskiego, o tyle podwójny wybór Billa Clintona tylko dzięki istnieniu tej instytucji nie wzbudzał podobnej reakcji ani u demokratów, ani u republikanów.

Z wyrazami szacunku

Mariusz Szajnert, Michigan

„Realpolitik z buławą", „DRz" 6/2020

Szanowna Redakcjo,
w [...] wywiadzie przeprowadzonym przez p. Piotra Semkę z p. Maciejem Radziwiłłem wkradł się błąd – słynna sentencja Jana III Sobieskiego po pobiciu Turków pod Wiedniem dnia 12 września 1683 r. (parafraza słów Gajusza Juliusza Cezara z 47 A.D.), którą zwycięski król Polski składa w ręce wysłannika papieskiego, brzmi „Venimus, vidimus, Deus vicit", a nie „vincit".

Z serdecznymi pozdrowieniami

Joanna Morska-Osińska

Od autora i redakcji

Za błąd przepraszamy.

„Powolna rozgrzewka", Kamila Baranowska, „DRz" 8/2020

Rzeczywiście, inaczej mogliby sobie wyobrażać start kampanii Andrzeja Dudy jego zwolennicy. Rozgrzewka faktycznie jest powolna, ale w porównaniu z konkurencją to majstersztyk. Słusznie twierdzi w wywiadzie z ostatniego numeru „Do Rzeczy" Ryszard Czarnecki, że „Kidawa-Błońska weszła w buty Komorowskiego". Wpadki duże – takie jak niepotępienie krzykaczy obrażających urzędującego prezydenta i jej kontrkandydata czy wręcz okazanie im wsparcia – to jedno. Wpadki drobniejsze mówią o tej kandydatce równie dużo. Wspomnę tylko dwie, które zasłyszałem w ostatnich dniach. Pierwsza, gdy zapytana przez kogoś na jednym ze spotkań, co udało jej się stworzyć przez osiem lat rządów PO, odparowała: „A co pan stworzył? To może się pan pochwali, wszyscy chętnie usłyszymy". I druga, gdy o myśliwcach wypowiada się „fachowo": „Oczywiście, samoloty są wspaniałe, piękne, ale...". „Wspaniałe"? „Piękne"? Tak mówi potencjalny zwierzchnik sił zbrojnych?!

Reasumując, wyborcy PiS mogą czuć niedosyt, ale co mają powiedzieć wyborcy opozycji? Ci, których znam, nie rozumieją, kto i dlaczego zrobił im krzywdę tą kandydaturą.

A.P., Warszawa

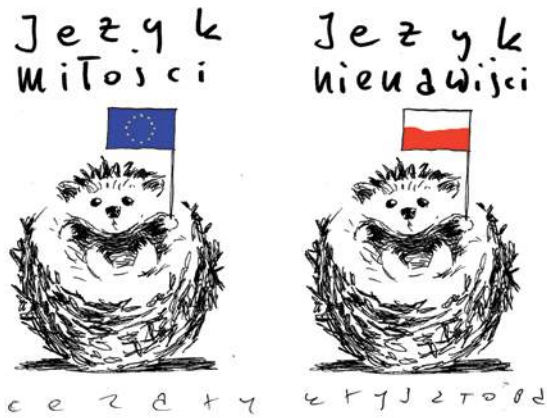

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksowska, Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także „Super Express")

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Fot. Andrzej Szypowski/East News. Obraz Jana Matejki „Rejtan", 1866 r., fragment – postać Tadeusza Rejtana. Ze zbiorów MNW.**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 69,5 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl c63039b557

PIOTR SEMKA

Znikactwo PiS-owskie

Wiem, że nie ma takiego słowa w słownikach języka polskiego, ale już w mowie potocznej słowo to się pojawia. „Znikactwo" uprawiają mężowie chcący wymigać się od świątecznych zakupów czy kelnerzy niemający ochoty zbyt gorliwie obsługiwać klientów.

Termin przyszedł mi do głowy, aby opisać sekwencję wydarzeń zapoczątkowanych obraźliwym gestem Joanny Lichockiej. Wyskok posłanki z okręgu sieradzkiego opozycja zręcznie wykorzystała do wykreowania polityczno-medialnej meksykańskiej fali. Chodzi w takich sytuacjach o to, by wykorzystać wpadkę władzy do szybkiego rozkręcenia nastrojów (tu próbowano zagrać chorymi na raka). Tak było z incydentem sejmowym 16 grudnia 2016 r., opozycja była o krok od wykreowania antypisowskiego Majdanu na terenie Sejmu. Tak było w lipcu 2017 r., gdy rozhuśtano protesty świeczkowe pod Sądem Najwyższym. Tak było i teraz, gdy na akcję pokazywania palca nałożyły się PiS-owi informacje o rewizjach CBA w NIK i kontroli NIK w prokuraturze. Znów nastąpiły długie godziny medialnej mgły.

Wszystkie te wydarzenia łączy powtarzający się w takich sytuacjach dziwaczny paraliż informacyjny ze strony PiS. Po skandalu z gestem Joanny Lichockiej co parę godzin pojawiały się kolejne wersje oceny tego gestu przez jej własną partię. Nie zabrał głosu ani Jarosław Kaczyński, ani nikt z kierownictwa klubu. Zwlekano z wyborem jednej wyraźnej oceny sprawy.

Także mimo nawału sensacji o wojnie na linii CBA i NIK przez długie godziny nie pojawił się żaden wysoki rangą polityk, np. koordynator służb specjalnych Mariusz Kamiński, który wytłumaczyłby, na jakiej podstawie podjęto decyzje o wejściu CBA do biura NIK i jaki jest sens takich działań.

W tę lukę błyskawicznie wchodzą opozycja i media jej kibicujące, lansując hasło: „PiS już się sypie". Dorzućmy jeszcze pisane z sufitu anonimowe głosy „polityków z Nowogrodzkiej" z tezą o zapaści partii i efekt krachu pisizmu mamy jak znalazł.

Skąd się bierze w rządzącej partii to, co nazywam „znikactwem"?

To problem chaosu w podziale kompetencji w kierowaniu gaszeniem medialnego pożaru. Formalni rzecznicy resortów albo czują się niedoinformowani, albo boją się decydować o wyborze linii gaszenia. Sam Kaczyński nie lubi odzywać się z byle powodu, a idąc w dół w partyjnej hierarchii – zbyt wielu się boi, że przestrzeli w ocenie wydarzenia i dostanie potem po głowie. Wolą więc milczeć, a opozycja wchodzi w PiS jak w masło.

Taka jest cena za partię silnie scentralizowaną, w której nie ma indywidualnych wyskoków ani kakofonii różnych narracji. Tyle że w chwilach kryzysu taki paraliż medialny podcina rządzącej partii nogi. Czy ktoś w PiS jest przygotowany na kolejne mikrokryzysy w kampanii? W sztabie prezydenta mamy osobno szefa kampanii, osobno rzecznika kampanii, osobno szefa sztabu operacyjnego, a osobno szefa komitetu programowego – a wszystko to są silne osobowości z własną pozycją polityczną. W razie kolejnego kryzysu wizerunkowego takie rozproszenie kompetencji to proszenie się o wewnętrzny paraliż i tym samym milczenie lub wielogłos. Jedno i drugie dla kampanii prezydenta może być kompromitujące. ©℗

FOT. LUIS GENE/AFP/EAST NEWS

ROBERT KUBICA NA WYSOKICH OBROTACH

Polski kierowca wyścigowy jako pierwszy kierowca testował nowy samochód C39 Alfa Romeo Racing Orlen. – Okazuje się, że hamulce mogą działać tak, jak zapamiętałem z dawnych czasów – cieszył się Kubica po pierwszym dniu testów na torze w Barcelonie. Kubica łączy w tym roku rolę kierowcy rezerwowego i rozwojowego w zespole Formuły 1 Alfa Romeo Racing Orlen ze ściganiem się w niemieckiej serii DTM. Kubica zadebiutował w Formule 1 w 2006 r. w BMW Sauber. Ubiegłoroczny sezon spędził zaś w zespole Williamsa. *(jap)* ©℗

eprasa.pl c63039b557

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Chwytanie palca

Posłanka Lichocka chciała wulgarnym gestem palca obrazić politycznych przeciwników i okazać im wzgardę, a w istocie, można rzec, że im ten palec podała (tak to bywa, gdy czyn wyprzedza myśl). Jej i jej partii szczęście, że to tylko pomocny palec, a nie cała dłoń – niemniej łącząc w jedno dwa przysłowia, to o raku na bezrybiu i o tonącym chwytającym się nawet brzytwy, opozycja uczepiła się podanej jej kończyny z niezwykłą żarliwością. Palec Lichockiej stał się główną gwiazdą „tefałenów", ikoną serwisów informacyjnych i programów publicystycznych, trafił na stacjonarne i objazdowe billboardy oraz na okładki kontrolowanych przez stary układ tygodników. Witold Gombrowicz, ze swoim „Ślubem", gdzie palec (żeby być ścisłym – „palic"), którym wymachuje Pijak, staje się nagle środkiem dworu i całego scenicznego uniwersum, zaciera ręce i przybija piątki z gratulującymi mu proroczego daru kolegami z zaświatów.

Doświadczenie uczy, że duperele potrafią zaszkodzić bardziej niż poważne polityczne błędy

Od czasu, kiedy chamskimi porykami: „Zadzwoń do brata" udało się politykom PO sprowokować Jarosława Kaczyńskiego do gniewnej tyrady o „mordach zdradzieckich", jest to bez wątpienia największy sukces opozycji. Inna sprawa, że pokazujący, jak bardzo żałosna to opozycja, skoro jej polityczny marketing bazuje na takich właśnie sukcesach i na nieustannych lamentach, że, och, ach, nazwali nas „gorszym sortem", powiedzieli, że stoimy tam gdzie ZOMO i temu podobne.

Co ciekawe, przypadek Lichockiej – może nie tyle nawet sam jej gest, ile zaplątanie się w głupich wykrętach – rzucił postrach na polityków i sympatyków PiS. W sumie trudno im się dziwić, Polacy na wszelkie przejawy arogancji władzy są wyczuleni, a doświadczenie uczy, że duperele w rodzaju firanek w limuzynie czy ośmiorniczek potrafią zaszkodzić bardziej niż poważne polityczne błędy. Na szczęście PiS ma „totalną opozycję" i zawsze może liczyć, że każdą nadażającą się okazję przegrzeje ona, przefajnuje i błyskawicznie doprowadzi do absurdu. Chamstwo chamstwem, ale próby wmówienia Polakom, że „fak" Lichockiej pokazany został konającym na raka, że dowodzi głębokiej pogardy PiS dla prostych ludzi, i próbę przykrycia nim słabości własnej kandydatki, jest, najdelikatniej mówiąc, zdecydowanym przecenieniem wagi zdarzenia. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Szlachetne zdrowie

Wygląda na to, że problemy służby zdrowia staną się, obok polexitu i awantury o sądy, wiodącym tematem kampanii prezydenckiej. Nie ma co ukrywać – problemy są, a merytorycznych rozwiązań nie widać.

Tyle tylko, że w sytuacji, gdy szefem sztabu PO zostaje Bartosz Arłukowicz, na „prozdrowotną" narrację sztabowców Małgorzaty Kidawy-Błońskiej trzeba niestety patrzeć mocno przymrużonymi oczami. I to nie tylko dlatego, że kadencja ministra zdrowia Arłukowicza przebiegała w atmosferze ostrego sporu z okulistami (a to po skandalicznej dymisji w 2012 r. ze stanowiska krajowego konsultanta okulistyki prof. Jerzego Szaflika). Arłukowicz doniósł na niego do CBA i zastąpił go znajomym swojego współpracownika, zarzuty okazały się wyssane z palca, a oburzeni okuliści wydawali oświadczenia potępiające ministra zdrowia.

Także dlatego, że nie sposób pamiętać, jak wyglądał stan służby zdrowia za czasów Arłukowicza – regularne protesty lekarzy, zamykane w ramach sprzeciwu kliniki i mocny spadek ocen polskiej służby zdrowia w większości rankingów. Wystarczy przypomnieć, że pod koniec rządów PO-PSL – jak pisała „Gazeta Prawna" – raport Fundacji Watch Health Care wskazywał, iż sytuacja pacjentów onkologicznych systematycznie się pogarsza, raport Ernst & Young mówił zaś, iż dostęp chorych na raka do nowoczesnych leków jest u nas najgorszy ze wszystkich badanych krajów.

Sytuacja pod rządami PiS się nie poprawiła, więcej – jak pisała Karolina Nowakowska w „GP" – Polska we wspomnianych rankingach jeszcze spadła. Tyle że Platforma biorąca dziś „w obronę" pacjentów to jak gangster krzyczący: „Trzymaj złodzieja!". ©℗

eprasa.pl c63039b557

Miller i Kulczyk o Wałęsie

Portal TVP.info opublikował w ubiegłym tygodniu nowe nagrania z tzw. afery podsłuchowej. To fragment rozmowy miliardera Jana Kulczyka z byłym premierem Leszkiem Millerem, którą prowadzili w 2013 r. w Amber Room.

Konwersacja dotyczy ówczesnej premiery filmu Andrzeja Wajdy „Wałęsa. Człowiek z nadziei". Kulczyk sugerował, że przy okazji filmu należy uruchomić w polskich mediach polityczny przekaz. Wystarczy nakierować na to Wałęsę. „[...] Żeby powiedział, że te kaczki, ta kaczka, to jest nieszczęście dla Polski" – tłumaczył Millerowi miliarder. I dodawał: „Trzeba go podsterować, żeby to, co on powie, szło codziennie we wszystkich gazetach, na pierwszej stronie, bo po tym filmie klimat wokół Wałęsy się poprawi, zobaczysz".

Kulczyk twierdził też, że przekonał Wajdę do zmiany ostatniej sceny filmu. Miał kończyć się zbliżeniem na

FOT. WOJTEK LASKI/EAST NEWS

ubeków, „którym tę lojalkę podpisywał 20 lat temu", a ci mieli zapowiadać, że legendę Solidarności jeszcze dopadną.

Leszek Miller z kolei wypowiedział się na temat przeszłości Wałęsy: „Jedna rzecz nie jest prawdziwa, Lechu niestety nie skakał przez żaden płot. On mówi, że przeszedł boczną bramą, a mi nieżyjący już komandor Marynarki Wojennej mówił, że tak naprawdę to go przywieźli" – powiedział polityk SLD.

Lech Wałęsa od lat zaprzecza takiej wersji wydarzeń, którą wytykała mu m.in. śp. Anna Walentynowicz. ***(luz)*** ©℗

ARCYBISKUP HOSER NAGRODZONY

Arcybiskup Henryk Hoser, biskup senior warszawsko-praski, wizytator apostolski o charakterze specjalnym dla parafii Medjugorie, otrzymał Nagrodę im. ks. bp. Romana Andrzejewskiego. Wyróżnienie jest przyznawane przez Fundację Solidarna Wieś za zasługi dla rozwoju polskiej wsi. Kapituła podkreśliła, że hierarchę uhonorowano za „konsekwentne i wytrwałe nauczanie kierowane zarówno do rolników, jak i ludzi władzy odpowiedzialnych za politykę rolną w Polsce". ***(jf)*** ©℗

PODWYŻKI DLA GÓRNIKÓW

Związkowcy z Polskiej Grupy Górniczej planowali wielki protest w stolicy 28 lutego. Protestu jednak nie będzie, bo rząd już się z górnikami porozumiał. Minister Jacek Sasin obiecał im 6 proc. podwyżki od 1 stycznia 2021 r. (średnio 400–500 zł netto). PGG wyda na podwyżki płac rocznie więcej o 260 mln zł. ***(luz)*** ©℗

REKLAMA

TROPEMWILCZYM

Największy na świecie BIEG PAMIĘCI ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH

Masz w rodzinie Bohatera?

Pobiegnij dla Niego 1 marca!

zapisy na tropemwilczym.org

PATRONAT
Patronat Narodowy Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy
1918·2018

ORGANIZATOR
FUNDACJA WOLNOŚĆ I DEMOKRACJA

WSPÓŁORGANIZATOR
wolne dźwięki.pl

MECENAS PLATYNOWY
PZU
FUNDACJA PGNiG

MECENAS ZŁOTY
ORLEN
KGHM POLSKA MIEDŹ

PARTNER EDUKACYJNY
INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

PARTNER
Bank Polski
Fundacja
LOTTO
BGK
FESTIWAL FILMOWY NNW

PATRON MEDIALNY
TVP
POLSKIE RADIO
WP

PARTNER MEDIALNY
DO RZECZY
HISTORIA

eprasa.pl c63039b557

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Życie codzienne w nowożytnym Rzymie

Jeśli padniecie ofiarą kretyńskiej, aroganckiej biurokracji, to nie rzucajcie grubym słowem. Podziękujcie Panu Bogu, że nie mieszkacie w Rzymie. Cena rezydowania w jednym z najpiękniejszych miast świata jest wysoka. I nie chodzi tylko o czynsz.

W sobotę rano z powodu awarii sieci padł nam Internet. Niestety, technicy potężnej firmy Vodafone dzięki zdobyczom socjalnym nie pracują w weekend. Połączenie via telefon komórkowy też nie działało. Trzeba było wezwać informatyka. Sześć godzin i 80 euro później mogłem funkcjonować zawodowo. W międzyczasie poszedłem do bankomatu po pieniądze dla fachowca. Połknęło mi kartę bez dania racji. Pociągnąłem z kredytowej, co oczywiście kosztuje. Naturalnie połkniętą kartę musiałem zastrzec i poprosić o nową. Kosztuje 10 euro. A że mi się spieszyło (rychły wylot do Polski), zapłaciłem 20 euro za kuriera.

W poniedziałek udałem się do urzędu podatkowego, by rozpocząć procedurę wystawiania zaświadczenia o rezydencji podatkowej. Niestety, obecny był tylko portier. Reszta była na zebraniu związkowym, czyli w domu, co jest w Italii nagminnie stosowaną formą strajku. Naturalnie w ramach zdobyczy socjalnych. Naród pod urzędem złorzeczył. Portier zaś na pytanie, dlaczego nie ogłosili o strajku na swojej stronie internetowej, zmuszając ludzi do niepotrzebnej podróży na peryferie miasta, oświadczył, że tak się robi na całym świecie. Jeden z petentów, w świecie bywały, powiedział, że tak się robi jedynie w Amazonii i Ułan Bator.

Do wracających z urzędu autobusem na chwilkę uśmiechnęło się szczęście. Oba elektroniczne kasowniki były popsute. Autobus woził za darmo. Ale stację metra, do której dowoził, zamknęli. Zebranie związkowe.

We wtorek, po 40 minutach czekania przed budynkiem na zimnie i godzinie w środku, udało mi się złożyć podanie o zaświadczenie o rezydencji podatkowej. Banalny dokument, znowu odstając swoje, mam odebrać po 30 dniach. Nastąpił ogromny postęp. Dziesięć lat temu czekało się tydzień. ©℗

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Czas pożogi i spustoszenia

W Sejmie czas pełen emocji, gestów, drapania się pod okiem i odwracania kota ogonem. Weźmy chociaż Joannę Lichocką, która po brawurowej obronie przekazania 2 mld zł na TVP sięgnęła po zły palec, i zaczął się raban. „Niech POstkomuna film pokaże, a nie stop-klatki. Sądzą po sobie. Kłamią, jak oddychają, manipulują" – przekonywała.

Na szczęście znaleźli się ludzie dobrej woli, a ze wsparciem ruszyły zaprzyjaźnione media. „Ma Pani rację, ale naprawdę proszę uważać. Zrobią wszystko, by Panią i innych zniszczyć. Tym bardziej proszę o ostrożność" – tweetnął Wojciech Biedroń. „Każde z tych ujęć (pozbawionych perspektywy i wyjętych z kontekstu sytuacyjnego) można wykorzystać do politycznego ataku. Ciekawe, czemu zdecydowali się na to tylko politycy opozycji w przypadku Joanny Lichockiej?" – pobiegł z odsieczą Jarek Olechowski, szef „Wiadomości".

I gdy wydawało się, że okopy już przygotowane, przyszedł ktoś, kto umiał nazwać rzeczy po imieniu. „Jeśli ktoś chce być twarzą poselskiej uchwały potępiającej nienawiść i agresję w życiu publicznym, to nawet jak jest brutalnie atakowany, to powinien mieć w sobie siłę i przeprosić, gdy poniosą go złe emocje na sali sejmowej" – napisał prosto Joachim Brudziński.

Cokolwiek złego działoby się w rządzie, zawsze pozostaje nam jednak moralna busola szeroko rozumianej opozycji. „To bardzo subtelna różnica: opozycja chce przeznaczyć 2 mld na onkologię, a PiS na nowotwór" – stwierdził Donald Tusk. „2 mld poszły na propagandowe ścierwo, chociaż 2 mld mogły iść na terapię 16-letniej dziewczyny. Nie poszły. Właśnie umarła. Tak działa partia #PożogaiSpustoszenie, w ramach programu #eksterminacja+" – dodała Maria Kędzierska, była rzecznik Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych. „Nie musimy się nienawidzić, nie musimy być w stanie wojny z UE, nie musimy mieć pseudoprezydenta kłamczucha, a ceny nie muszą tak rosnąć. Gdańsk jak zawsze wybierze dobrze! #Kidawa2020 PRAWDZIWY prezydent" – przekonywała Magdalena Adamowicz. I co, można kulturalnie o polityce? Można, tylko trzeba pogonić tych siejących pożogę i dokarmiających nowotwory kłamczuchów. ©℗

eprasa.pl c63039b557

Poczta Polska

Pocztex
Kurier Poczty Polskiej

najbliższy punkt odbioru Twojej przesyłki *

- ponad **12 000** punktów odbioru
- śledzenie przesyłki online
- powiadomienie SMS

* dotyczy przesyłek: Paczka+ oraz przesyłek kurierskich Pocztex Ekspres24 i Pocztex Kurier48

pocztex.pl **odbiorwpunkcie.poczta-polska.pl**

eprasa.pl c63039b557

WŁAŚCIWA OSOBA NA WŁAŚCIWYM MIEJSCU

Bloomberg poinformował, że Dominika Kulczyk właśnie stała się właścicielką luksusowego domu w Londynie, za jedyne 57,5 mln funtów, czyli za równowartość blisko 300 mln zł! Tymczasem już 8 marca na antenę TVN wraca program pani Dominiki „Efekt domina", w którym znów będzie się pochylać nad biedą i warunkami, w jakich muszą żyć ludzie w różnych zakątkach świata. Tym razem, jak czytamy, odwiedzi m.in. Nepal, Indie, Kambodżę i Senegal i „opowie o historii osób zmagających się z wieloma problemami". Nie ma to jak właściwa osoba na właściwym miejscu. Albo we właściwym temacie.

NAPISZ KOMENTARZ!

Tymczasem inna celebrytka, też milionerka, Joanna Przetakiewicz, odkrywa, jak funkcjonuje polska służba zdrowia. I że funkcjonuje nie najlepiej. Po raz pierwszy w życiu pani Przetakiewicz miała okazję odwiedzić szpital onkologiczny i swoje wrażenia opublikowała w obszernym internetowym komentarzu, cytowanym m.in. przez portal Pudelek.

„Kilka tygodni temu zobaczyłam piekło. Ludzkie tortury. Nie! To nie był film. To był szpital onkologiczny w Warszawie, w 2020 roku!!! 7 stycznia przekroczyłam jego próg z kimś, kto był chory. I nogi się pode mną ugięły. Moje najstraszniejsze obawy okazały się bardzo naiwne. Zobaczyłam setki cierpiących, przerażonych ludzi. Kolejka do pierwszego prostego badania: minimum dwie godziny czekania. Na stojąco. Kolejne procedury podobnie. Tyle łez, rozpaczy i bezradności nie widziałam NIGDY" – opisuje pani celebrytka. Nie byłaby jednak sobą, gdyby nie miała pomysłu, jak poprawić tę sytuację.

– 100 tys. ludzi rocznie umiera w Polsce na nowotwór, z czego około 10 tys. całkowicie i wyłącznie z winy złej organizacji i braku odpowiedniego leczenia! Gdy w katastrofie lotniczej ginie 300 pasażerów – cały świat płacze. A 10 tys. osób to 30 takich katastrof lotniczych w ciągu roku, czyli średnio ponad dwie takie tragedie w ciągu miesiąca!!! Proszę Cię, zabierz głos. Nie milcz. Napisz komentarz. Stwórzmy wspólnie APEL SPOŁECZNY – pisze poruszona. O tak! Tylko internetowe komentarze i społeczny apel pani Przetakiewicz mogą uratować polską onkologię. A jak już pani Joanna naprawi nam onkologię, to weźmie się do poprawy funkcjonowania SOR-ów. Tej siły nic już nie powstrzyma.

FOT. PAWEŁ GROMADA

BOHATERKA PRZEZ DUŻE B

Małgorzata Walczak, dziennikarka TVP Info, a prywatnie partnerka gwiazdy TVN Filipa Chajzera, poinformowała świat, że kończy swoją współpracę z Telewizją Polską, bo ma już dość. Czarę goryczy przelał materiał „Wiadomości", poświęcony wyczynom Kingi Rusin na przyjęciu po gali oscarowej. W materiale pojawił się także wątek Filipa Chajzera, co wzburzyło jego partnerkę i pomogło jej podjąć decyzję. Napisała, że to uderzanie w jej rodzinę i nie może tego akceptować. Doczytaliśmy, że pani Walczak przyszła do pracy w TVP w czerwcu 2019 r. Okazuje się, że przyszła głównie po to, by po pół roku z przytupem z niej odejść. W tych ponurych czasach wielkiego reżimu PiS takich bohaterów nam właśnie trzeba!

DRZWI DO SŁAWY

Lara Gessler, córka popularnej matki, wzięła udział w kampanii reklamowej firmy produkującej drzwi. Niby nic, ale reklamy są specyficzne i zdążyły już oburzyć połowę show-biznesu. Czym? Otóż na plakacie reklamującym drzwi widać panią Larę i podpis: „Miejsce kobiet jest w kuchni". Sama Gessler tłumaczy, że reklama ma głębsze przesłanie, które nie wszyscy dostrzegają. – To, co uchodzi za kobiece cechy, to nie jest powód do wstydu, jeśli z głową się do tego podejdzie i się to posiądzie. Tak samo faceci w kuchni nie powinni uchodzić za pantoflarzy. Żyjemy w czasach, kiedy granice się zacierają, a to, co uchodziło za typowo babskie, może być tak samo pożądane jak typowo męskie cechy – tłumaczy celebrytka. Jeszcze lepsze wydaje się tłumaczenie innej celebrytki Gabi Drzewieckiej, która też wzięła udział w tej samej kampanii. Na plakatach występuje z podpisem „Kobiety ciągle gadają i gadają". – Jeśli jesteś w czymś mocna, lubisz to robić – uczyń z tego swój atut. Zacznij z tego korzystać, postaraj się związać z tym swoją karierę. Nie zapominaj o tym. Dawaj radość sobie i innym. O to chodzi w tej kampanii. Ja nie reklamuję drzwi, ja mówię o promowaniu swoich mocnych cech – przekonuje. Podsumujmy: pani Lara i pani Gabi twierdzą, że kampania ma na celu promowanie mocnych cech kobiet i obalanie stereotypów ich dotyczących i dlatego wzięły w niej udział. Tylko co do tego wszystkiego mają drzwi?! ©℗

FOT. PIOTR FOTEK/REPORTER

eprasa.pl c63039b557

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, nasze wątpliwości rozstrzygnęły się same. Po niefortunnej wypowiedzi Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, iż facet z facetem nie może mieć dziecka, nasz głos musi zostać oddany na Roberta Biedronia.

Nie zrozumcie nas źle: nie mamy pretensji do osobokidawy, iż znamy jej sztukę retoryczną, jednak nie możemy poczuć się komfortowo, głosując na osobokandydatkę mającą na koncie taką wpadkę.

Mogła jeszcze dodać, iż ten pan to się nawet do Sejmu nie dostał. Więc tym bardziej, jak ma czelność zadawać podobne pytania?! Szokujący brak szacunku.

Przed nami Wielki Post. Nie dość, iż sytuacja w tym kraju jest tak strasznie przygnębiająca, to jeszcze czeka nas ustawowo-kościelny czas, w którym nie można się cieszyć, jeść, pić i będzie trzeba chodzić na rekolekcje.

Musimy natomiast ją docenić za celną ripostę wymierzoną w jakiegoś pisowca. Mianowicie Kidawa-Błońska została zapytana, co zrobiła przez ostatnie osiem lat, odpowiedziała: „Wiele rzeczy, proszę pana. A co pan stworzył, to może się pan pochwali, wszyscy chętnie usłyszymy".

My, jako osoby z natury wolne, kolorowe i cieszące się urokami życia, stanowczo protestujemy więc przeciwko wprowadzaniu Wielkiego Postu w tym kraju.

Poza tym obawiamy się, iż Wielki Post będzie miał w tym roku charakter państwowy. Wiecie: obowiązkowe rekolekcje dla wszystkich, zakaz odtwarzania muzyki w smartfonie, latte bez cukru trzcinowego albo nawet ksylitolu, łapanki na ulicach, iżby zaciągać nas na gorzkie żale i podbijać frekwencję w kościołach. Strach będzie wyjść na ulicę.

Doszły nas słuchy, iż na Podlasiu ma zostać otwarta w jednym z liceów klasa o profilu disco polo. Sama idea jest mniej więcej słuszna, ale sposób realizacji już w ogóle nie.

Nasze zdanie o disco polo jest złożone. Z jednej strony zazwyczaj rozumiemy tekst, więc OK. Z drugiej jednak – słuchają tego janusze i grażyny, więc nie OK. Trudno rozstrzygnąć.

Jednak w przypadku tej klasy licealnej najważniejsze jest to, iż ktoś dostrzegł, że wielu młodych ludzi może chcieć wiązać swoją przyszłość z popkulturą. Tyle tylko iż zamiast disco polo klasy powinny mieć profile „memy", „śmieszne stronki na Fejsie" czy „granie w gry".

Może to pozwoliłoby stopniowo eliminować ze szkół takie archaiczne przedmioty, jak matematyka, historia czy biologia. Jeśli klasa disco polo ma w tym pomóc, to jesteśmy na tak! ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

To taki tik

Aśka, takie rzeczy to możesz mówić ciemnemu ludowi, ale nie mnie. Jakie znowu swędzenie pod okiem? Pokazałaś, co chciałaś pokazać, i tyle.
Jarku, ale kiedy naprawdę! Musisz mi uwierzyć! Sejm, a już zwłaszcza to, że się muszę stykać z tymi... małpoludami z opozycji – kompletnie mnie to nerwowo wykończyło.

Miłe to to nie jest, ale co to ma do pokazywania tego... no, wiesz czego?
To są takie tiki. Ja na to nic nie mogę poradzić. Jak mnie tu swędzi pod okiem, to tak właśnie robię, o, tak jak teraz, z nerwów.

Przecież się też śmiałaś, widziałem.
Też z nerwów. Albo to, o!

Gdzie z tą nogą?! Doniczkę mi z parapetu zrzucisz!
Właśnie, to też taki tik, tylko nad tym siłą woli w miejscach publicznych na ogół panuję. Ile mnie to kosztuje! Albo taki jak teraz.

Możesz mi to jeszcze raz pokazać?
To tak na zawołanie trudno, bo to z nerwów, ale spróbuję... O!

Genialne! W życiu nie widziałem, żeby ktoś tak uszami wachlował. Bez pomocy rąk. ©℗ ***Łukasz Warzecha***

OD RZECZY

„A co pan stworzył? To może się pan pochwali, wszyscy chętnie usłyszymy".

MAŁGORZATA KIDAWA-BŁOŃSKA,
kandydatka PO-KO na prezydenta RP, w odpowiedzi na pytanie wyborcy: „Co pani wytworzyła przez osiem lat?"

eprasa.pl c63039b557

eprasa.pl c63039b557

FOT. POOL/REUTERS/FORUM

POLSKA WALCZY O LEPSZY BUDŻET DLA EUROPY

– Nie da się zrobić więcej za mniej pieniędzy, a tak postulują niektórzy – przekonywał szef rządu Mateusz Morawiecki w Brukseli, gdzie unijni przywódcy próbowali uzgodnić wydatki Unii Europejskiej na lata 2021–2027.

Gdy w piątek zamykaliśmy obecne wydanie „Do Rzeczy", nie wiadomo było, czy podczas szczytu uda się dojść do porozumienia. Mimo wielogodzinnych negocjacji unijni przywódcy wciąż nieskutecznie próbowali bowiem przełamać budżetowy pat. O co toczyła się tak zażarta walka? Parlament Europejski chciał znacznego podwyższenia wydatków aż do 1,3 proc. dochodu narodowego brutto (DNB) w porównaniu z 1,074 proc. dochodu narodowego brutto w projekcie przewodniczącego Rady Europejskiej. Podczas zaciętych negocjacji swojego stanowiska twardo broniły m.in.: Austria, Holandia, Dania i Szwecja, określane mianem „oszczędnej czwórki". Kanclerz Niemiec Angela Merkel, prezydent Francji Emmanuel Macron oraz duński premier Mark Rutte przekonywali do wariantu, w którym udałoby się zaoszczędzić dodatkowo 20 mld euro i obniżyć wydatki do 1,03–1,05 proc. DNB. Rozmowy utrudnia brexit, który wymusił cięcia w budżecie.

Polska postulowała też wprowadzenie trzech nowych podatków europejskich: podatku cyfrowego jako źródła dochodów własnych, podatku od jednolitego rynku europejskiego czy na przykład podatku od śladu węglowego. © ℗

dwaj panowie g

Rzadko się to zdarza, ale chcielibyśmy rozpocząć naszą rubrykę od poezji. Oto inspirowany twórczością Ludwika Jerzego Kerna utwór, dzięki któremu nie będziemy musieli pisać osobno o kilku obszernych sprawach:

Raz agent Tomek poszedł do miasta
do adwokata – lecz go nie zastał.
Bowiem adwokat poszedł do miasta
gdzie prokurator – lecz go nie zastał.
Gdyż ten ostatni poszedł do miasta
do szefa NIK-u – lecz go nie zastał.
Bowiem szef NIK-u poszedł do miasta
do inspektora – lecz go nie zastał.
Bowiem inspektor poszedł do miasta
w Proku. Krajowej, chcąc kogoś zastać.
Wieczorem wszyscy wrócili z miasta
i nikt nikogo nigdzie nie zastał.
(Zanim nastąpił więc zachód słonka
Zamknęli chociaż agenta Tomka).

Skoro już o służbach. Nominacja nowego szefa CBA ożywiła spekulacje na temat tego, że Ziobro przejmuje służby specjalne, a płk Andrzej Stróżny ma być właśnie z zaciągu ZiZou. Nasze wiewiórki twierdzą jednak, że Stróżny bardziej związany jest z wiceszefem CBA Grzegorzem Ocieczkiem. Znają się od lat. Ocieczek z powodów osobistych nosi się z zamiarem odejścia z CBA. I myślał o Stróżnym jako swoim następcy. Ten jednak wylądował oczko wyżej.

Tymczasem ZiZou był jednym z wielu wielkich nieobecnych na gali XXX-lecia Krajowej Rady Sądownictwa. Zapowiedzi były huczne, ale ostatecznie nie przybyli ani prezes TK Julia Przyłębska, ani sędzia Lemańska z SN, ani oficjalna delegacja premiera Mateusza, o ZiZou nie wspominając. Złe języki rozpowiadają, że na gali miał się pojawić pewien Włoch z Brukseli, żeby na własne oczy zobaczyć, jak PiS niszczy demokrację i konstytucję. Stąd unik. Włoch jednak zachorował, nie przybył i cała sztuka uników na nic. A szkoda. Kaczka na obiad była bardzo dobra.

Pojawił się za to prokurator krajowy Bogdan Święczkowski, który pokazał, jak należy wchodzić na oficjalne uroczystości. Podczas gdy inni goście pojawiali się pojedynczo, popularny Godzilla wmaszerował w ostatniej chwili orszakiem ośmioosobowym, w szyku 2-1-3-2, gdzie „1" oznacza Święczkowskiego. Powiało profesjonalizmem. I grozą.

Na panelu, który uświetnił galę KRS, padały same herezje. Profesor Legutko mówił, że nie ma czegoś takiego jak władza sądownicza Unii Europejskiej. Profesor Szwagrzyk twierdził, że nawet komuniści w 1956 r. potrafili lepiej rozliczyć zbrodnie stalinowskie niż demokraci w 1989 r. zbrodnie jaruzelskie. Profesor Polak przypomniał za to, że pod zaborami księża uczyli dzieci pisać i czytać po polsku. Na sali widziano także prawdziwego księdza. Toż to już gorsze niż Hiszpania gen. Franco!

Skoro już o imprezach. W ostatni weekend karnawału odbył się bal w Kiejkutach, który wydał szef Agencji Wywiadu. Niestety, panowie G. nie dysponują certyfikatem dostępu do informacji niejawnych, więc musieli obejść się smakiem. Na czas balu opróżniono szpiegowski ośrodek ze wszystkich adeptów szpiegostwa. W dodatku cel był charytatywny, więc trzeba było płacić za wjazd. Na dodatek gościom nie zapewniono typowo kiejkuckich rozrywek takich jak waterboarding. Jesteśmy rozczarowani. Popić i potańczyć to możemy sobie w domu.

Dysponujemy za to dobrą pamięcią, chcieliśmy więc uzupełnić prasowe doniesienia o tym, że specem od zagranicy

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

eprasa.pl c63039b557

u Robika Biedronia został Stanisław Ciosek, reklamowany jako „doradca prezydenta Kwaśniewskiego". Cóż, dużo wcześniej Ciosek był doradcą innego wielkiego przywódcy – Wojciecha Jaruzelskiego. Należał nawet do specjalnego zespołu wraz z Jerzym Urbanem i wiceszefem MSW gen. Pożogą. Razem pisali obszerne memoranda dla Jaruzela. Ciosek to zatem prawdziwa legenda Nowej Lewicy.

Sięgnęliśmy do poufnych wypowiedzi Cioska z dawnych lat. Jak nie informował szefa, że „w tej chwili aktywa naszej ekipy sprowadzają się do poparcia radzieckiego", to opowiadał szpiegom Stasi, że „Wałęsa jest parszywym, prymitywnym i zakłamanym typem". Mamy nadzieję, że te opinie trafią teraz do przemówień wiecowych Robika Biedronia.

Zgodnie z naszymi zapowiedziami w sztabie prezydenta Andrzeja Sebastiana główne skrzypce zagrają ekspremier Bełata oraz JoJo Brudziński. Niespodzianką dla wielu było pojawienie się Jolanty Turczynowicz-Kieryłło jako szefowej sztabu. Uspokajamy – oznacza to jedynie, że prawdziwym szefem sztabu i tak pozostaje sam zainteresowany, czyli prezydent Andrzej Sebastian.

Jolanta Turczynowicz-Kieryłło jest świetną szachistką, co sprawiło, że zaczęliśmy od razu myśleć o uatrakcyjnieniu kampanii. Proponujemy oficjalny mecz szachowy między Kieryłło a senatorem niezależnym, kiedyś szefem NIK, kiedyś ministrem z PeŁo, Krzysztofem Kwiatkowskim. On, o czym mało kto wie, też swego czasu miał w szachach ciekawe osiągnięcia. Żeby nie grać o pietruszkę, proponujemy: zwycięzca bierze większość w Senacie.

Tymczasem w Eine Totalopposition. „Prawdziwa Prezydent. Pewna przyszłość". To oficjalne hasło wyborcze kandydacicy na prezydencicę Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. Czyli cztery razy P. Poprzednio w dziejach III RP skrót PPPP oznaczał coś innego: Polską Partię Przyjaciół Piwa. Było to ciekawsze zjawisko, posłem i twarzą PPPP był wszak Janusz Rewiński.

Prawdziwy platformers gardzi piwem i wybiera wino, o czym świadczy opisywana już przez nas afera Fridgegate, czyli zniknięcie lodówki na wino z gabinetu szefa PeŁo. Mamy w tej sprawie nowe fakty. Otóż ważne wiewiórki z PeŁo mówią, że Grzegorz Odstrzelony Schetyna pija jedynie białe wino, więc jego rola we Fridgegate może być istotna. Donald pijał wyłącznie czerwone. Po co zatem Palikot kupił mu lodówkę? To proste, Donald chłodził w niej swoje zimne oczy.

Prawdziwy platformers gardzi piwem i wybiera wino, o czym świadczy opisywana już przez nas afera Fridgegate, czyli zniknięcie lodówki na wino z gabinetu szefa PeŁo

À propos PeŁo. 29 lutego konwencja prezydencka kandydacicy Kidawy. Odbędzie się w Warszawie. Co ciekawe, sztab ma przygotowane dwie różne lokalizacje i dwa nieco odmienne scenariusze, gdyż ostateczny kształt imprezy (i lokalizacja) zależą od tego, czy pojawi się pewien Ważny Gość. Liczyliśmy na Obamę albo chociaż Timmermansa, ale wiewiórki z PeŁo mówią, że chodzi o postać polską, ze świata kultury. Dawna PeŁo postawiłaby na jakiegoś aktorzynę. Nowa, jak sądzimy, wybierze noblistkę Olgę Tokarczuk.

Krysia Janda jest oburzona, że Rafcio Trzaskowski nie dał jej kasy na teatr, a dotąd przecież stolyca zawsze dawała

Liczymy na to, że konwencja będzie jeszcze bardziej huczna od Rady Krajowej PeŁo, którą relacjonowało aż sześć kamer! I żadna nie miała niczego ciekawego do pokazania! Idźmy więc dalej: 20 kamer byłoby naszym zdaniem w sam raz. Po jednej na każdy procencik, jaki zdobędzie Kidawa w pierwszej turze.

Chciałabym, żeby małe dziewczynki w przedszkolu nie płakały" – zadeklarowała tymczasem Małgorzata Kidawa-Błońska na jednym z wieców wyborczych. My też. Dlatego prosimy rodziców: nie pokazujcie dzieciom transmisji z konwencji PeŁo.

Skoro już o dzieciach i o kulturze. Krysia Janda jest oburzona, że Rafcio Trzaskowski nie dał jej kasy na teatr, a dotąd przecież stolyca zawsze dawała. My też jesteśmy oburzeni, ale z innego powodu – to znaczy, że zamiast na onkologię władze Warszawy dawały Jandzie? Hańba!

Podajemy opis najnowszej premiery u Krysi Jandy. „Lily" Jacka Popplewella. „Kryminalna zabawa teatralna. Trup przemieszcza się, pojawia się i znika. Jako inspektor węszył będzie Piotr Machalica". Czy inspektor Machalica nie mógłby wywęszyć, dlaczego pieniędzy Rafcia nie dostały chore na raka dzieci?

Jeszcze o dzieciach. Już po feriach zimowych. Zauważmy, że okazały się zemstą PiS. Termin wolnego ogłoszono tak, że mieszkańcy mazowieckiego, dolnośląskiego i zachodniopomorskiego mieli ferie jako ostatni, kiedy już nigdzie nie było śniegu. Jako pierwsi za to, zauważmy, na ferie pojechali mieszkańcy podkarpackiego i lubelskiego. Tak oto dzięki dyktaturze PiS tylko janushe z Podkarpacia mogły tarzać się w śniegu, bo wtedy jeszcze był. A młodzi wykształceni z województw bliskich PeŁo – nie. Zaiste, dyktatura nie zna litości.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c63039b557

Zdrada

Rafał A. Ziemkiewicz

Jeśli pojęcie „zdrada narodowa" w ogóle ma cokolwiek znaczyć, to „opozycja totalna" budując wyborczy program na postulacie uznania „nadrzędności prawa europejskiego nad krajowym", tej właśnie zbrodni się dopuszcza

W ostatnich tygodniach spór polityczny w Polsce został zdefiniowany na nowo. Co zaskakujące, nie zrobił tego PiS, tylko „totalna opozycja", która przez kilka ostatnich lat przyzwyczajała nas do braku pomysłów i biernego reagowania na posunięcia władzy. Co jeszcze bardziej zaskakujące, polaryzacja, którą zbudowała, jest zbawienna dla zużywającego się w rządzeniu PiS, a dla niej samej niekorzystna – choć wszystko wskazuje na to, że politycy opozycji, a szczególnie kibicujące jej media, żywią wręcz przeciwne przekonanie.

Nie ma się jednak z czego cieszyć. Nowa oś sporu cofa bowiem debatę publiczną III RP o kilkanaście, jeśli nie o całe 30 lat, unieważnia wszelkie dyskusje merytoryczne, sprowadzając najbliższe wybory do pytania, na które, wydawało się, dawno już odpowiedzieliśmy: Czy chcemy, aby Polska była niepodległa?

Lewicowo-liberalna opozycja oczywiście formułuje to inaczej: „Czy chcecie, żeby Polska była w Europie?". Jednak sposób, w jaki przedstawia nasze „bycie w Europie", nie pozostawia wątpliwości, że chodzi jej w istocie o zrzeczenie się niepodległości na rzecz organów unijnych. Nie w części, nie w konkretnych dziedzinach określonych traktatami – ale w każdej sprawie.

Taka byłaby oczywista konsekwencja zaaprobowania przez wyborców zasady, która stała się hasłem zbuntowanych przeciwko rządowi sędziów Sądu Najwyższego, a wraz z nimi całej liberalno-lewicowej opozycji: nadrzędności orzeczeń TSUE nad polską konstytucją i prawem. Jeśli zgodzimy się, że nasze członkostwo w UE oznacza, iż polskie sądy nie są już sądami polskimi, tylko „europejskimi", i że jako „europejscy sędziowie" ich pracownicy mają obowiązek podporządkować się wyrokom przysłanym z Brukseli, mającym zdaniem opozycji moc powszechnej wykonalności na terenie całego kraju, to zrzekniemy się automatycznie niepodległości.

„WOJEWÓDZTWO W UE"

Zdumiewające jest, jak bardzo sędziowie i politycy obozu III RP bronią się przed uznaniem tej oczywistości. Skoro orzeczenie TSUE może unieważnić ustawy polskiego Sejmu dotyczące wymiaru sprawiedliwości – to może też zmienić każde inne polskie prawo we wszystkich innych obszarach niewyszczególnionych w traktatach. Od nakazania Polsce wprowadzenia „małżeństw" homoseksualnych, homoadopcji czy zakazu używania określeń „ojciec" i „matka", do zakazu produkcji mięsa czy wydobycia węgla.

Czyli w praktyce: jeśli główny postulat opozycji, maskowany hasłem „obrony praworządności", zostałby zrealizowany, Polska stałaby się jedynie „województwem w Unii", terytorium zależnym, autonomicznym i z własną administracją, ale rządzonym przez obcych. Dodajmy

eprasa.pl c63039b557

FOT. FREDERICK FLORIN/AFP/EAST NEWS

– stałaby się nim z własnej woli, zanim ktokolwiek by od nas tego formalnie zażądał.

Cieszący się – zasłużenie zresztą – rosnącą popularnością Jacek Bartosiak i jego think tank Strategy & Future odnotowali tę zmianę stwierdzeniem, że „w Polsce dojrzewają dwa główne stronnictwa: kontynentalne i niepodległościowe", oba te podejścia uznając za równouprawnione stanowiska w sporze o przyszłość kraju. Warto tę konstatację odnotować, ale nie można się z nią pogodzić. Odrzucenie polskiej suwerenności na rzecz ośrodków, na które Polacy nie mogą mieć żadnego wpływu, nie może być uznawane za jedną z równorzędnych opcji w sporze o przyszłość kraju. Cała nasza historia, tradycja polityczna i zwykły zdrowy rozsądek każą to nazwać inaczej: zdradą narodową. Tak, pora zacząć to mówić jasno i wyraźnie. Jeśli pojęcie „zdrada narodowa" w ogóle jeszcze cokolwiek znaczy, to „opozycja totalna" sięgając po hasło: „Wchodząc do Unii Europejskiej, zgodziliśmy się podporządkować wszystkim jej decyzjom", tej właśnie zbrodni przeciwko niepodległości i państwu polskiemu się dopuściła.

Eksperci Strategy & Future nie mają zresztą racji, dopatrując się w postępowaniu opozycji politycznej strategii. „kontynentalnej" czy w ogóle jakiejkolwiek. Głoszenie podległości lokalnej władzy unijnemu „superpaństwu" nie jest żadną polityczną koncepcją, choćby dlatego że takie superpaństwo jest dopiero postulowane. Te postulaty głoszone są otwarcie, formułował je m.in. Martin Schulz w czasie, gdy wydawało się, że będzie następcą Angeli Merkel i jedną z najbardziej wpływowych osób w Europie: „Do 2025 r. muszą powstać stany zjednoczone Europy, a jeśli któreś z państw się temu nie podporządkuje, zostanie z Unii wyrzucone". Podobne idee głoszą Guy Verhofstadt i niektórzy inni wpływowi eurokraci, nie ma jednak wciąż żadnego poważnego planu, który można by negocjować, i nie ma z kim go negocjować.

NARZUCANIE ZWIERZCHNICTWA

Proces, który dziś widzimy, to tylko „rozpychanie" się wspólnotowych instytucji, uzurpujących sobie pozycję wyższą niż przyznana im w traktatach. Komisja Europejska, stworzona jako sekretariat koordynujący wspólną politykę, próbuje być europejskim rządem ponad rządami państw. Europejski parlament, pierwotnie niesłużący właściwie do niczego poza przyciąganiem i korumpowaniem ogromnymi apanażami elit politycznych państw członkowskich, stara się narzucać swoje rezolucje państwom jako europejskie „nadustawy". Najbardziej zaś ekspansywny jest w tym TSUE, który sprytnie stworzywszy precedens przy skardze sędziów portugalskich na zmniejszenie im wynagrodzeń (TSUE odmówił im racji, dzięki czemu nie wywołał reakcji portugalskiego rządu), skorzystał z okazji, by bez niczyjego protestu uznać się za właściwy do rozpatrzenia sprawy i stworzyć tę wykładnię, którą entuzjastycznie przyjęli liderzy sędziowskiego buntu w Polsce – że wszyscy sędziowie w UE nie są sędziami swoich państw, ale sędziami „europejskimi", związanymi orzeczeniami TSUE.

Ten proces narzucania – co ważne, zupełnie pozatraktatowego – swego zwierzchnictwa nad państwami członkowskimi przez eurokrację spotyka się z różnym przyjęciem. Niektóre państwa, takie jak kraje Beneluksu, milcząco uzurpacje aprobują. Inne, takie jak Włochy, Dania, niedawno Hiszpania, w różnych konkretnych sprawach odmawiają uznania wyroków TSUE czy dyrektyw. Najdalej poszedł w tym sąd konstytucyjny Niemiec, który nie czekając nawet na konkretny spór, niejako z góry wydał ogólne postanowienie, z którego wynika, że na terenie Niemiec obowiązują zasady traktatowe. A więc: Unia Europejska nie jest superpaństwem, tylko organizacją państw, które dla wspólnego pożytku scedowały na wspólnotowe organa swoje kompetencje w określonych dziedzinach, poza nimi jednak zachowują pełną suwerenność.

Jest to jedyne rozsądne spojrzenie na Unię. I jest ono całkowicie sprzeczne z wizją „wspólnej Europy" głoszonej przez tę część Polski, która buduje swą tożsamość w opozycji do tradycji patriotycznej i katolickiej. W wypowiedziach autorytetów opozycji Unia przedstawiana jest jako jakiś rajski ogród, do którego łaskawie nas, barbarzyńców, wpuszczono, by podzielić się dobrodziejstwem cywilizacji, a przy okazji i dobrobytem. Winniśmy za to wdzięczność, wyrażającą się posłuszeństwem, a naszą mądrością i powinnością powinno być wykorzystanie tej łaski do przyjęcia „europejskich wartości" i tym samym wzniesienia się na wyższy cywilizacyjny poziom. Nie rozwodząc się nad mentalnością rodzimych „brukselczyków", wartą osobnego eseju – jej istotną składową jest przekonanie, że Unia Europejska jest naszą nową ojczyzną, dla której Polskę, z jej pełną nieszczęść i niemożności historią oraz całym „zacofaniem" i „zaściankowością" trzeba po prostu zostawić za sobą. Tak jak większość elity III RP, wyrosłej z PRL-owskiego awansu społecznego, zostawiła kiedyś za sobą rodzinną wieś i uczyniła ją przedmiotem wstydliwej pogardy. Słowa Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, że Kaczyńskiemu nie zależy

Jeśli główny postulat opozycji zostałby zrealizowany, to Polska stałaby się terytorium zależnym, autonomicznym, ale rządzonym przez obcych

eprasa.pl c63039b557

na Europie, a tylko na Polsce – użyte jako oskarżenie! – nie były wpadką, tylko dokładnym oddaniem nastrojów sfer, które kandydatka reprezentuje.

KONSEKWENCJA POSTINTELIGENCKIEJ DROGI

Ludzie, którzy przez pięć lat obnosili się z hasłem „konstytucja", wypisywali je na koszulkach, sztandarach i murach, organizowali jakieś błazeńskie „czytania konstytucji", bez cienia refleksji przeszli do porządku dziennego nad konstytucją, która w art. 82 mówi wyraźnie, że „obowiązkiem każdego obywatela jest wierność Rzeczypospolitej Polskiej". Nie żadnej organizacji międzynarodowej, do której ona przystąpiła – tylko Rzeczypospolitej.

Jeśli jednak prześledzić duchowe dzieje III RP, to przekroczenie tej granicy, którą nazywam tu wprost granicą narodowej zdrady, jest tylko logiczną konsekwencją drogi wybranej przez postinteligencką formację intelektualną, dominującą w życiu publicznym lat 90. i stopniowo słabnącą w wieku XXI. Jak każda elita postkolonialna miała ona wpojony odruch podległości jakiemuś zewnętrznemu centrum cywilizacyjnemu – z radością wymieniając w tej roli nigdy Polakom nieimponującą Rosję na budzący ich żywiołowy zachwyt Zachód. Zdominowana przez lewicę, przejęła jej szczególną tradycję znakomicie oddaną w sławnym liście Tadeusza Krońskiego do Czesława Miłosza, w którym młody entuzjasta stalinizmu perswadował przyszłemu nobliście, że jemu podobni „sowieckimi kolbami" nauczą ciemnych Polaków racjonalnego, nowoczesnego myślenia. Przekonanie, że ten beznadziejny „polski ciemnogród" można ucywilizować tylko za pomocą siły zewnętrznej, jest grzechem pierworodnym i nieodłącznym dziedzictwem polskich postępowców.

Liderzy i zwolennicy liberalnej lewicy wypierają ze świadomości, że przekraczają granice narodowej apostazji i zdrady

Łatwo jednak znaleźć w całym okresie III RP niezliczone wypowiedzi prominentnych postaci lewicowo-liberalnych elit, że „państwa narodowe to przeżytek", że same „narody" istnieć przestają, że rozpłynięcie się i zmieszanie we wspólnej Europie to oczywista i jak najbardziej pożądana przyszłość. Sen Geremka o „wspólnej Europie", zrodzony z entuzjazmu po upadku ZSRS, śniony jest przez „wysadzone z siodła" elity III RP do dziś – z tą tylko zmianą, że co kiedyś było rozkosznym marzeniem, w ostatnich latach stało się ucieczką przed „coraz bardziej otaczającą rzeczywistością".

Ucieczka do Europy jawi się bowiem ostatnim ratunkiem przed buntem „polskiego ciemnogrodu", który dał władzę PiS i mimo wszystkich użytych broni, przyzwanych w sukurs autorytetom, użycia najcięższych propagandowych dział stale poparcie dla tej władzy zwiększa. Europa stała się ostatnią nadzieją. Politycznym planem opozycji jest zamienić drugą turę wyborów w plebiscyt „w Unii czy poza nią". Chociaż trudno w to uwierzyć, to „totalni", opierając się na sondażach, według których miażdżąca większość Polaków nie chce wyjścia z UE, żyją w błogiej pewności, że w takim plebiscycie najgorszy nawet kandydat, przy najbardziej beznadziejnej kampanii, po prostu musi w drugiej turze z Andrzejem Dudą wygrać.

TOTALNA DESTRUKCJA

A jeśli wygrają? Czy mają polityczny plan na taką okoliczność? Wydaje się, że tak – tym planem są totalna destrukcja i anarchizacja państwa polskiego. Nie ulega wątpliwości, że ewentualna, uchowaj Boże, prezydentura Małgorzaty Kidawy-Błońskiej byłaby prezydenturą „totalnego weta". Zresztą jeśli przegrają, będą robić to samo, wszędzie tam, gdzie mogą – czyli w samorządach. Opozycja przecież już teraz odrzuca właściwie wszystkie instytucje państwa, poza Senatem, dopóty dopóki ma w nim większość. Neguje prawomocność Trybunału Konstytucyjnego, KRS, rządu, jej kandydatka wręcz twierdzi, że „nie mamy prezydenta". Nie jest to czyste warcholstwo, jak może się zdawać, ale cyniczna polityka „im gorzej, tym lepiej", im bardziej dorowadzi się do paraliżu i rozpadu „państwo PiS", tym bardziej oczywiste będzie zwrócenie się do nowej, prawdziwej ojczyzny – Europy – o ratunek, o przywrócenie porządku w Warszawie, nadanie właściwych instytucji. Nie bez wyrachowania, że wszystko to uczyni Europa rękami swych wiernych, przyzywających ją w sukurs wyznawcom. I tą metodą elity, odrzucone przez „polski ciemnogród" w demokratycznych wyborach, wrócą jako namiestnicy „cywilizującej" Polaków metropolii.

To cuchnie. Po prostu cuchnie. Jeśli trzeba jeszcze dowodów, że nie ma żadnego „stronnictwa kontynentalnego", równoprawnego z „niepodległościowym", a jest tylko zdrada, to zważmy, że zdrada, w przeciwieństwie do opcji politycznych, kieruje się pobudkami najniższymi. Chęcią powrotu z obcego nadania do odebranych im przez wyborców stanowisk, wpływów i latyfundiów.

Liderzy i zwolennicy liberalnej lewicy wypierają ze świadomości, że przekraczają granicę narodowej apostazji i zdrady. Podobnie jak kiedyś uczestnicy zapisanej w naszych dziejach jako archetyp narodowej zdrady targowicy, przekonują, że wisząc u klamki eurokratów, występują w obronie wartości wyższych, „wolności", budując w swych mediach przekonanie, że błagania Sikorskiego, Belki czy Sadurskiego o sankcje na „państwo PiS", by obniżyć poziom życia Polaków, zachwiać ich poczuciem bezpieczeństwa i w ten sposób skłonić do głosowania przeciwko PiS, jest tym samym, czym było kiedyś korzystanie przez podziemną Solidarność ze wsparcia Zachodu w walce z narzuconym Polsce przemocą sowieckim komunizmem.

ANTYPISOWSKIE SZALEŃSTWO

Nie ma wystarczająco mocnych, a zarazem cenzuralnych słów, by należycie określić szaleństwo, w które zapędziła się w antypisowskim zacietrzewieniu opozycja. Mniejsza już o jej rachuby krajowe, które zapewne zostaną przez wyborców udaremnione. Występując sama z siebie z ofertą podporządkowania idącą znacznie dalej, niż odważyło się, po doświadczeniach z Niemcami, żądać TSUE (proszę, kto ciekawy, porównać jego odpowiedź na „pytanie prejudycjalne" z uchwałą trzech izb SN), tutejsza liberalna lewica tworzy oczekiwany przez eurokratów precedens zachęcający do dalszego ich „rozpychania się" ponad kompetencje traktatowe – to zaś może się dla całej Europy skończyć wielkimi zaburzeniami. Wydaje się, że polska opozycja, której perspektywy kończą się na „żeby znowu było, jak było" w ogóle sobie z tego nie zdaje sprawy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c63039b557

Z Markiem Jurkiem, byłym marszałkiem Sejmu, byłym europosłem
rozmawia Maciej Pieczyński

Trzeba prowadzić politykę suwerenności

MACIEJ PIECZYŃSKI: Czy pojęcie zdrady narodowej jest wciąż aktualne, czy może – jak chce część opozycji – w dobie integracji europejskiej oraz globalizacji należałoby je odłożyć do lamusa?

MAREK JUREK: Zdrada stanu to przestępstwo, zawsze trzeba chronić przed nim państwo. Nie należy natomiast tego pojęcia nadużywać w bieżącej debacie politycznej. Oczywiście należy zawsze żądać od wszystkich sił politycznych lojalności i solidarności narodowej, działań na rzecz praw Polski i interesu narodowego. Natomiast jeśli ktoś chce poważnie komuś stawiać zarzut zdrady stanu, to powinien to robić w prokuraturze, a nie w parlamencie czy w mediach.

Jest jeszcze pojęcie zdrady dyplomatycznej. W myśl Kodeksu karnego popełnia ją ktoś, kto – będąc upoważnionym do występowania w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej w stosunkach z rządem obcego państwa lub zagraniczną organizacją – działa na szkodę swojego państwa. Czy tego zapisu nie da się zastosować do polityków antypisowskiej opozycji, apelujących do instytucji unijnych o ukaranie polskiego rządu?

Nie jestem za jego nadużywaniem, choć sam np. chciałbym znać telefoniczne rozmowy premiera Tuska z (wówczas) premierem Putinem. Jeśli – mówię teoretycznie – byłyby tam wątki odsunięcia prezydenta Rzeczypospolitej od udziału w obchodach rocznicy katyńskiej, to taka zmowa z pewnością na taki (albo jeszcze mocniejszy) zarzut i odpowiedzialność by zasługiwała. Nic takiego jednak nie wiemy.

Czyli nie zgadza się pan również z określaniem opozycji, zabiegającej o pomoc Brukseli, mianem „współczesnej targowicy"?

W XVIII w., długo przed konfederacją targowicką, szukano wsparcia na obcych dworach. Grę z zagranicą podejmowały na zmianę stronnictwo hetmańskie i Familia. Jeśli nie my ich, to oni nas. Jedni zabiegali o pomoc zagranicy częściej, drudzy rzadziej. Targowica była ostatecznym dnem tego procesu. Natomiast w przypadku Brukseli mamy u nas do czynienia z mentalnym federalizmem, część liderów opinii (a nawet część samej opinii) gotowa jest przyznawać Brukseli formalną suwerenność wobec Rzeczypospolitej, nie tylko wbrew moralnym powinnościom narodowym, lecz także wbrew traktatom. To sygnał, że tzw. integracja państw grozi na końcu wynarodowieniem społeczeństw.

Czyli Koalicja Europejska nie tyle dopuszcza się zdrady, ile lekceważy suwerenność Polski?

Wyjaśniłem już panu, dlaczego nie uważam takiego języka za najlepszy. Używany jest on nie tyle jako kwalifikacja prawna i moralna, ile po prostu narzędzie walki wyborczej, co więcej – dyspensujące od odpowiedzialności tych, którzy go używają. I działa na sposób saski – oni dopuszczają się zdrady, więc my jesteśmy krynicą wierności. A to nie jest tak. W czasie ratyfikacji traktatu lizbońskiego PiS i PO razem sprzeniewierzyły się nie tylko powinnościom obrony pozycji Polski i polskich wartości w traktatach europejskich, lecz także po prostu własnym wielokrotnie podejmowanym zobowiązaniom wobec społeczeństwa. Razem ten federalizm pompowały. Zachowanie liberalnej opozycji jest oczywiście oburzające i tak to należy nazywać. Pamiętajmy jednak, że ich polityka ma mandat społeczny. To nie jest żadne usprawiedliwienie, ale jest to problem. Pokazuje, jak bardzo Polska potrzebuje głębokiej reformy intelektualnej i moralnej.

„Słyszę, że Polska jest nękana przez Unię Europejską. Nie, to wy – mówię do Prawa i Sprawiedliwości – nękacie sędziów i Polaków" – powiedział podczas debaty w Parlamencie Europejskim w Strasburgu Andrzej Halicki. Jak by pan na to odpowiedział?

Opozycja kompletnie lekceważy traktatowe prawa Polski w Unii, więc otwarcie sprzeniewierza się obowiązkom obrony polskiego prawa. Nigdy nie słyszałem, żeby choć w najmniejszym stopniu reagowała podobnie na oczywiste łamanie prawa przez władze unijne. Co więcej, wspiera to bezprawie i nawet się go domaga. Traktaty mówią wyraźnie, że UE tworzą państwa demokratyczne. Za niedemokratyczne uznać można jedynie państwo, które za takie zostanie uznane przez wszystkie pozostałe. Nawet twierdzić, że w jakimś państwie demokracja jest zagrożona, można tylko wówczas, jeśli stwierdzi to 21 rządów, wspólnie i formalnie na Radzie Europejskiej. Komisja po złożeniu swego wniosku o uruchomienie przeciw Polsce art. 7 powinna natychmiast zaniechać nękania Polski, bo tak działa podział władz. A kiedy Rada Europejska tego wniosku nie podjęła, Komisja powinna przyjąć

eprasa.pl c63039b557

do wiadomości, że nie został uznany za zasadny. Komisja Europejska w ogóle jest jedynie organem koordynującym działania Unii, powinna wspierać rządy, a nie je zwalczać. Niestety, problem polega na tym, że opozycja lekceważy tę zasadę, a rząd dostatecznie jej nie broni.

Co ma pan na myśli?

Właśnie takie stanowisko rząd powinien przedstawić Komisji, zamiast wchodzić w tzw. dialogi. Traktat mówi wyraźnie, że postępowanie w obronie zagrożonej demokracji może prowadzić Rada w ramach mechanizmu międzyrządowego i po formalnym uruchomieniu art. 7. Komisja nie może sobie przypisywać kompetencji państw, nawet jeśli dla dominujących rządów takie nadużycie władzy byłoby wygodne. Jeszcze dalej idącym nadużyciem jest pomysł zastąpienia „nieefektywnych" traktatowych kompetencji Rady jakimś nowym „mechanizmem nadzoru demokracji". Niestety, były wypowiedzi przedstawicieli naszych władz przychylnie odnoszące się do tego pomysłu. A przecież jest on przekreśleniem traktatów. Rząd też powinien bronić zasad podstawowych. Dlaczego władze Unii nakłaniają państwa do ratyfikacji genderowej konwencji stambulskiej, która nie jest dokumentem Unii i której grupa państw Unii nie chce? Komisja powinna z równym szacunkiem odnosić się do tych, którym ta konstytucja gender się podoba, i do tych, którzy ją odrzucają. Bułgarski Trybunał Konstytucyjny stwierdził wprost, że przyjęcie konwencji stambulskiej zadałoby gwałt konstytucyjnym gwarancjom praw rodziny. I ta decyzja Trybunału Konstytucyjnego (!) jest ciągle atakowana wezwaniami do bułgarskiej ratyfikacji. Jeśli PiS nie chce wypowiedzieć konwencji stambulskiej (co ma obowiązek zrobić w imię praw rodziny), to powinien przynajmniej (w imię równości państw) bronić tych, którzy tej konwencji nie chcą, a więc Bułgarii, Węgier, Słowacji, Litwy.

Komisja Europejska nie może sobie przypisywać kompetencji państw, nawet jeśli dla dominujących rządów takie nadużycie władzy byłoby wygodne

Europa, w której są państwa przeciwne gender, jest bezpieczniejsza dla Polski. Władza jednak prowadzić takich działań nie chce. Jednak i tu od piętnowania zdrady ważniejsze jest wytrwałe nakłanianie władz, aby od zaniechania obowiązków przeszły do ich wypełniania.

Obrona własnych działań na forum wewnętrznym to też obrona suwerenności. Tak czy inaczej wydaje się, że jest wiele poziomów tego, co jedni nazywają „targowicą" czy „zdradą", pan zaś – „lekceważeniem suwerenności". Na przykład europoseł Lewicy, Bogusław Liberadzki, popiera samą debatę unijną na temat praworządności w Polsce, ale odrzuca już pomysł kar finansowych za „łamanie praworządności".

Zawsze może pan liczyć na to, że własnych interesów politycy będą bronić jak niepodległości. Rzecz w tym, żeby bronili suwerenności również wtedy, gdy nie dotyczy to ich strategii politycznych. Na przykład wtedy, gdy Parlament Europejski atakuje bezpośrednio Polaków, społeczne inicjatywy ustawodawcze. Czy jest bowiem ważniejszy obowiązek władzy od obrony swoich obywateli i ich praw?

Wróćmy do wspomnianych kar finansowych. Czy jeśli polski europoseł popiera pomysł, aby jego kraj został ukarany finansowo za konkretne rozwiązania ustawodawcze, to już zdrada czy jeszcze nie?

Oczywiście, że jest to drastyczne działanie na szkodę Polski i Polaków. Sankcje finansowe nie mają żadnych podstaw prawnych, są aktem otwartej przemocy wobec Polski i prokuratura miałaby podstawy do kroków przeciw polskim obywatelom, którzy takie działania przeciw Polsce wspierają. My tego za nią jednak nie zrobimy. Istotne jest to, żeby kryteria praw Polski, racji stanu, solidarności narodowej stały się na nowo kryteriami oceny polityki.

Część komentatorów przypomina, że PiS, który dziś mówi o „donoszeniu na Polskę", również w swoim czasie umiędzynaradawiał konkretne problemy wewnętrzne, choćby w sprawie podejrzeń o fałszerstwa w wyborach samorządowych.

Bardzo od tego kolegów odwodziłem nawet wcześniej, gdy składali skargi na SLD-owską telewizję. Mówiłem im: nie uprawomocniajcie takich apeli, które jutro uderzą w Węgry, a pojutrze, po zmianie władzy, w nas. Ja z medialną polityką SLD walczyłem w Sejmie jako autor pierwszego wniosku o śledztwo parlamentarne w czasie afery Rywina.

Czyli podziela pan zdanie tych komentatorów, którzy uważają, że PO robi dziś to samo co kiedyś PiS?

Jest ogromna różnica ilościowa i jakościowa. Opozycja de facto przypisuje Unii suwerenność wobec Polski. Natomiast, oczywiście, PiS byłby dziś o wiele bardziej wiarygodny, gdyby odwoływał się do nienaruszalności zasady nieangażowania zagranicy w polskie spory.

Opozycja powtarza często argument, który można streścić w następujący sposób: „My nie donosimy na Polskę. Przecież Polska jest częścią większej Wspólnoty i to naturalne, że zwracamy się do naszych przyjaciół".

Ten argument jest kompletnie niepoważny. Gdyby politycy opozycji rzeczywiście tak myśleli, krytykowaliby naganne zjawiska w innych państwach unijnych, a nie tylko atakowali własne. Nie pamiętam, by kogokolwiek z działaczy Platformy zainteresowała – po moich wypowiedziach w Parlamencie Europejskim – cenzura we Francji czy choćby najbardziej drastyczne konsekwencje prawa eutanazyjnego w Holandii. A przecież zarówno wolność słowa, jak i niezbywalne prawo do życia to zasady formalnie uznane przez Unię. Nie pamiętam również, by kiedykolwiek krytykowali władze tej „większej Wspólnoty". Nie chodzi o żadną „większą Wspólnotę", ale o protektorat, z którego chcą korzystać.

Skoro lekceważenie suwerenności nie jest kategorią prawną i nie można tego zjawiska penalizować, to jak w takim razie można z nim walczyć?

Jeśli w odniesieniu do budżetowych praw Polski prokuratura widziałaby taką potrzebę, wówczas może to robić. Natomiast opinia publiczna musi przede wszystkim – powtórzę to raz jeszcze – przywrócić znaczenie

eprasa.pl c63039b557

FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

kategoriom racji stanu, obowiązków narodowych, solidarności. Władza może to robić, dając narodowym obowiązkom pierwszeństwo przed wyborczymi strategiami. I podejmując konkretne działania. Zawarcie Międzynarodowej Konwencji Praw Rodziny (na początek w gronie antygenderowych państw Europy Środkowej) przywróciłoby ideową równowagę wewnątrz Unii i stworzyłoby mechanizm wspólnej obrony naszej suwerenności w podstawowych dziedzinach rodziny i wychowania.

Wspomniał pan o tym, że na razie coraz silniejszy jest „mentalny federalizm", uznawanie Unii, nie Polski, za podmiot suwerenności. Z czego to wynika? Z kompleksów?

Dla części polityków i opinii publicznej podstawowym odniesieniem politycznej lojalności stała się Unia Europejska. A ściśle biorąc – jej władze, bo oni nie potrafią nawet odróżnić Unii od jej władz. Na taki stan rzeczy długo pracowano. Już Trybunał Konstytucyjny uznał, że traktaty europejskie należy rozpatrywać w świetle nie litery prawa, ale imperatywu przynależności Polski do UE. W okresie debaty akcesyjnej przestrogi przed przyszłymi naciskami finansowymi kompletnie ignorowano. Traktat lizboński dominujące partie przyjęły razem. W czasie jego negocjacji władza (ta sama co dziś) nie chciała zabiegać choćby o umieszczenie w art. 2 traktatu UE praw rodziny jako wartości podstawowej Unii. W deklaracji rzymskiej nie podjęto żadnego sporu o zasady. Nasi ostatni premierzy mówili w Strasburgu, że chcemy takiej Polski jak Unia, że w sprawie wartości nic nas nie różni. Tak powstawał ten konsensus, który w części opinii jeszcze utwierdził przekonanie, że z Unią się nie polemizuje. Unii nie traktowano jak normalnej organizacji międzynarodowej o ograniczonych kompetencjach, w której uczestniczymy dla Polski i w zakresie, który służy Polsce. Prezydent Unię chciał wręcz wpisać do konstytucji. Jest więc do wykonania wielka praca nad przebudzeniem, odbudowaniem i wzmocnieniem świadomości państwowej. Trzeba prowadzić politykę suwerenności i przekonywać do jej konkretnych nakazów. A wobec dzisiejszych tendencji w polityce unijnej musimy być w systematycznej, a nie okazjonalnej, opozycji, także w sferze zasad, a nie tylko interesów wynikających z wewnętrznej walki o władzę.

Sankcje finansowe nie mają żadnych podstaw prawnych, są aktem otwartej przemocy wobec Polski i prokuratura miałaby podstawy do kroków przeciw polskim obywatelom, którzy takie działania przeciw Polsce wspierają

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wojciech Wybranowski

Konflikt koordynatora służb specjalnych z szefem CBA i zmiana na stanowisku szefa tej służby. Wejście CBA do Najwyższej Izby Kontroli. Czy w ubiegłym tygodniu rozpoczęła się walka na szczytach władzy? I tak, i nie

Kulisy starcia

eprasa.pl c63039b557

Marian Banaś, prezes Najwyższej Izby Kontroli FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

W środku ubiegłego tygodnia do mediów trafiła informacja o wejściu funkcjonariuszy Centralnego Biura Antykorupcyjnego do mieszkań szefa NIK Mariana Banasia w Krakowie i Warszawie, jego córki, a także gabinetu szefa NIK i 19 innych lokali na terenie kraju. CBA wykonywało polecenie Prokuratury Regionalnej w Białymstoku, zlecone w ramach śledztwa dotyczącego tzw. afery Banasia.

Niemal w tym samym czasie portal Onet podał informację o rzekomym zatrzymaniu przez CBA syna Banasia – Jakuba. Szybko wyszło na jaw, że to informacja nieprawdziwa, a dziennikarze Onetu wyjaśniając to, ujawniają źródło swojej informacji. Okazuje się, że SMS-y wysyłał im sam Jakub Banaś.

Polityczna afera przykrywa medialnie m.in. zaplanowaną na ten dzień prezentację sztabu wyborczego ubiegającego się o reelekcję prezydenta Andrzeja Dudy.

Był to też ostatni dzień funkcjonowania na stanowisku szefa CBA Ernesta Bejdy, jednego z założycieli tej służby. – W związku z końcem kadencji szefa CBA Ernesta Bejdy premier Mateusz Morawiecki bardzo dziękuje za jego służbę. Na pełniącego obowiązki szefa CBA premier powołał płk. Andrzeja Stróżnego – poinformował w środę Piotr Müller, rzecznik rządu Mateusza Morawieckiego.

KAMIŃSKI KONTRA BEJDA

Bejda to jeden z najbardziej zaufanych ludzi Mariusza Kamińskiego, ministra koordynatora służb specjalnych i obecnie także szefa MSWiA. Jest jednym z ojców sukcesów CBA w latach 2006–2009, kiedy to pełnił funkcję zastępcy Kamińskiego w tej służbie. – Wspólnie tworzyli CBA. Bejda w nowej służbie odpowiadał za kwestie prawne, minister Maciej Wąsik [sekretarz Kolegium ds. Służb Specjalnych – przyp. red.] ogarniał sprawy administracyjne i organizacyjne, a „Mario" czuwał nad całością – opowiada nam jeden z funkcjonariuszy CBA.

Jeszcze trzy miesiące temu wydawało się, że Ernest Bejda ma w kieszeni kolejną kadencję w CBA. To, że nie przedłużono mu misji i powołano na to stanowisko płk. Andrzeja Stróżnego (byłego funkcjonariusza ABW, a wcześniej policjanta), wywołało spekulacje o rosnących wpływach Zbigniewa Ziobry. Według medialnych doniesień Stróżny miałby być zaufanym człowiekiem Ziobry.

Cichy konflikt o wpływy w służbach specjalnych i rządzie między Kamińskim a Ziobrą nie jest tajemnicą. Podobnie jak rywalizacja prokuratury i CBA.

Stróżny rzeczywiście jest zaufanym człowiekiem obecnego prokuratora krajowego Bogdana Święczkowskiego. A Święczkowski to człowiek Ziobry, znają się jeszcze z pracy w ABW. Właściwie jednak Stróżny to bardziej zaufany Grzegorza Ocieczka, obecnego wiceszefa CBA, który wcześniej nadzorował pion śledczy w ABW. Związki Ocieczki i Stróżnego są silne. Obaj pojawili się np. w domu Barbary Blidy krótko po jej samobójczej śmierci. Stróżny pełnił wówczas funkcję wiceszefa Departamentu Postępowań Karnych ABW. – To Grzegorz Ocieczek optował za nominacją dla Stróżnego. Można powiedzieć, że to on przekonał Kamińskiego, by dał szansę jego człowiekowi – opowiada nasz rozmówca z Biura.

Czy nominacja Stróżnego oznacza jednak wzrost znaczenia ludzi Ziobry w CBA i utratę części wpływów Kamińskiego? I tak, i nie.

– Święczkowski jest człowiekiem Ziobry, ale jest też bardzo niezależny, z dużym doświadczeniem. Można się zastanawiać, kto ma na kogo większy wpływ. W dodatku Stróżny jako wiceszef CBA dobrze współpracował z Kamińskim. I, co ciekawe, to Kamiński nie miał nic przeciwko zmianie Bejdy na niego – słyszymy od naszego źródła w służbach specjalnych.

Nasi informatorzy z kręgów służb mówią, że Bejda podpadł Kamińskiemu. Minister koordynator miał być niezadowolony z tempa działań CBA w najbardziej istotnych sprawach. Uważał, że są prowadzone za wolno. Kroplą, która przelała czarę goryczy, miała być sprawa „kasjerki z CBA". Chodzi o Katarzynę G., która pracując w CBA, wyprowadziła z funduszu operacyjnego służby kilka milionów złotych. Została zatrzymana wraz z mężem. Biuro przekonuje, że nie utraciło żadnych pieniędzy. W wyniku tej afery funkcje stracili szef pionu finansów CBA i dyrektor pionu bezpieczeństwa wewnętrznego, należący do zaufanych ludzi Bejdy.

Mariusz Kamiński już wcześniej pokazał, że nie ma problemów z rozstawaniem się z tymi, którzy stracili jego zaufanie, nawet jeśli znali się od lat. W styczniu z kierowania ABW zrezygnował Piotr Pogonowski, również przez wiele lat zaufany człowiek Kamińskiego, wcześniej członek kierowanej przez obecnego ministra koordynatora służb specjalnych

eprasa.pl c63039b557

antykomunistycznej Ligii Republikańskiej. Oficjalnym powodem dymisji miała być „sytuacja osobista". Jednak z nieoficjalnych informacji wynika, że Pogonowski systematycznie tracił zaufanie Kamińskiego. Temu drugiemu nie podobało się np. to, że ludzie ABW próbowali blokować ujawnienie części dokumentów z esbeckiego „zbioru zastrzeżonego". Sprawę ujawniło „Do Rzeczy" w czerwcu 2016 r. w artykule „Ktoś chroni esbeckie tajemnice?". Nie bez wpływu była też „afera Banasia", bo jest dowodem, że służba kierowana przez Pogonowskiego nie była w stanie zweryfikować przeszłości i bulwersujących powiązań szefa NIK.

PROKURATURA I CBA KONTRA NIK

W ubiegłym tygodniu funkcjonariusze CBA na polecenie Prokuratury Regionalnej w Białymstoku przeszukiwali lokale, w których mogły znajdować się dokumenty i materiały związane ze śledztwem dotyczącym m.in. podejrzeń nieprawidłowości w oświadczeniach majątkowych i deklaracjach podatkowych Mariana Banasia. Jak ujawnili dziennikarze TVN, Banaś, wcześniej szef Ministerstwa Finansów, nie przedstawił w swoich oświadczeniach majątkowych pełnych informacji dotyczących posiadanego majątku. Ma chodzić m.in. o zaniżenie dochodów z wynajmu kamienic ludziom, którzy prowadzili tam pokoje „na godziny". PiS chciał dymisji Banasia z funkcji szefa NIK i według nieoficjalnych przecieków on sam był gotów się na to zgodzić. Miał jednak zastrzec, że zrobi to tak, jak sam wybierze – w sposób pozwalający mu wyjść z tego z honorem. Jednak do mediów wyciekła informacja o jego bliskiej dymisji i Banaś miał uznać, że został wystawiony „do odstrzału". Dlatego dymisji nie złożył.

– Wiele wskazuje, że w jego oświadczeniu są błędy. Czy celowe? On taki jest, bardzo chaotyczny, zapomina o niektórych sprawach, nie przywiązuje do nich wagi. W dodatku pokutuje w nim przekonanie, że skoro naprawia Polskę, to wybaczy mu się więcej, bo to sprawa wyższej wagi – mówiła nam kilka miesięcy temu osoba z bliskiego otoczenia Mariana Banasia.

Oświadczenia majątkowe szefa NIK zostały skontrolowane przez CBA. Funkcjonariusze uznali, że nieprawidłowości w nich uzasadniają skierowanie sprawy do prokuratury.

Ubiegłotygodniowe wejście CBA do pomieszczeń związanych z Banasiem to efekt polecenia wydanego przez białostocką prokuraturę. Jak informowała PAP, śledczy dotarli do dwóch kserokopii umów dzierżawnych zawartych między Banasiem a inna osobą, różniące się kwotą wpływów z tego tytułu.

Starcie potężnych instytucji – NIK, prokuratury i CBA – zwiastuje kolejną wojnę obozu rządzącego i Mariana Banasia

– Ustalenia te, poczynione przez CBA, wskazują na konieczność poszukiwania oryginałów umowy, a także weryfikacji tego, czy nie zostały sporządzone inne umowy dotyczące wynajmu nieruchomości. W związku z tym CBA zwróciło się o wydanie postanowienia o przeszukaniu i ten wniosek został uwzględniony przez prokuratora prowadzącego śledztwo. Stąd też dzisiejsze działania CBA – mówił w środę PAP wiceszef białostockiej prokuratury regionalnej Paweł Sawoń.

Według naszych nieoficjalnych informacji realizacja w siedzibie NIK była zaplanowana już wcześniej, jej termin miał być przekładany. W ostatnich tygodniach zdecydowano jednak o przyspieszeniu działań. – Terminy czynności realizacyjnych są determinowane dynamiką działań i ustaleniami śledztwa. Nie zdradzamy, kiedy i gdzie jakie czynności są zaplanowane – usłyszeliśmy z kręgów śledztwa.

Nie udało się nam naszej informacji zweryfikować – prok. Paweł Sawoń nie odebrał od nas w czwartek telefonu.

Funkcjonariusze CBA początkowo nie zostali wpuszczeni do gabinetu szefa NIK i przez kilka godzin musieli oczekiwać na korytarzu mimo decyzji prokuratury o dokonaniu przeszukań. Prezes NIK uznał bowiem, że „nie zostały spełnione konstytucyjne przesłanki, a on sam nadal jest objęty immunitetem". Ostatecznie jednak doszło do przeszukania. Banaś skierował ostry list do marszałek Sejmu Elżbiety Witek. „Takie działanie organów ścigania jest bez precedensu, oznacza bowiem możliwość naruszenia niezależności konstytucyjnego, naczelnego organu kontroli państwowej. Stanowczo sprzeciwiam się takim działaniom, zwłaszcza że poinformowałem funkcjonariuszy CBA o treści opinii Biura Analiz Sejmowych, z której jednoznacznie wynika, iż wobec osoby, której przysługuje immunitet, nie wolno podejmować tego rodzaju czynności" – napisał w nim.

W czwartek funkcjonariusze CBA przeszukali też mieszkanie Jakuba Banasia.

Jednocześnie kilka godzin po tym, jak funkcjonariusze CBA weszli do NIK, do mediów trafiła (nieoficjalnie wiadomo, że z kręgów bliskich Banasiowi) informacja, że właśnie kontrolerzy NIK weszli do Prokuratury Krajowej. I znów okazała się informacją nieprawdziwą. Jak wyjaśniał w rozmowie z IAR kierownik Wydziału Prasowego Najwyższej Izby Kontroli Zbigniew Matwiej, taka kontrola zaplanowana była już wcześniej. – Dzisiejsza obecność dyrektora departamentu w prokuraturze została ustalona już w ubiegłym tygodniu z kierownictwem prokuratury, a ta obecność związana jest z prowadzoną od kilku miesięcy kontrolą – mówił Matwiej.

Rzeczywiście, program kontroli NIK w Prokuraturze Krajowej został ogłoszony już wiele tygodni temu, kontrola w PK formalnie zaczęła się wcześniej.

POLITYCZNE KONSEKWENCJE

Starcie potężnych instytucji – NIK, prokuratury i CBA – zwiastuje kolejną wojnę obozu rządzącego i Mariana Banasia. Rozgorzała na dobre po pierwszych planach odwołania go ze stanowiska. To wtedy szef NIK zapowiedział kontrole w kluczowych dla obozu „dobrej zmiany" instytucjach – nie tylko w Prokuraturze Krajowej, lecz także w Telewizji Polskiej i instytucjach zajmujących się ochroną środowiska. Część z polityków PiS zakładała, że konflikt na linii PiS–Banaś ucichnie, a przynajmniej nie będzie eskalował w trakcie prezydenckiej kampanii wyborczej. Jak widać, te nadzieje były płonne.

„Wojna na szczycie" już przykryła ubiegłotygodniowe ogłoszenie składu sztabu wyborczego prezydenta Andrzeja Dudy. Paliwo polityczne dostali politycy opozycji. Lider Lewicy Włodzimierz Czarzasty wezwał już do likwidacji zarówno CBA, jak i ABW, a przedstawiciele jego formacji w mediach mówili o „wojnie gangów". Z kolei klub PSL-Kukiz'15 zażądał od marszałek Elżbiety Witek zwołania Komisji Nadzoru Państwowego i zbadanie działań CBA w NIK. Klub Koalicji Obywatelskiej z kolei chce przedstawienia dokumentów, w oparciu o które CBA weszło do NIK. Politycy opozycji, którzy jeszcze niedawno krytykowali Banasia, teraz w pewnym sensie stają w jego obronie, twierdząc, że naruszono immunitet prezesa NIK.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c63039b557

Z Sebastianem Kaletą, sekretarzem stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości
rozmawia Marcin Makowski

Inny standard dla Niemiec, inny dla Polski?

MARCIN MAKOWSKI: W 2017 r. Zbigniew Ziobro powiedział odnośnie do reformy Krajowej Rady Sądownictwa, że „wprowadzi do polskiego prawa europejskie standardy". Czy trzy lata później owe standardy do naszego wymiaru sprawiedliwości już zawitały?

SEBASTIAN KALETA: Na pewno w części dotyczącej KRS to się w dużej mierze udało. Pamiętajmy, że spór o sądownictwo w swojej gorącej formie ogniskuje właśnie wokół Krajowej Rady Sądownictwa, bo nawet dyskusja na temat Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego jest jego pokłosiem.

A konkretnie co się udało?

W dyskusji pomija się wiele rzeczy, które nie budzą kontrowersji, a świadczą właśnie o podniesieniu standardów. Chodzi np. o sądy specjalistyczne, które przyspieszyły postępowania w wielu sprawach, opozycja nie oponowała również przy naszym projekcie sądów własności intelektualnej, który – jak rozumiem – uznała za dobry. Sukcesem są również losowe mianowanie sędziów do spraw i systemy elektroniczne, umożliwiające prowadzenie postępowania wieczysto-księgowego albo usunięcie procesowych absurdów, takich jak ogłaszanie miesiącami wyroków do pustej sali. Co ważne, znacząco podnieśliśmy wynagrodzenia po raz pierwszy od ośmiu lat pracownikom administracyjnym i wspierającym w sądach.

Tyle że to zmiany wprowadzone z inicjatywy Ministerstwa Sprawiedliwości, a ja pytam o to, jak wzorowano się na „europejskich standardach". Co w reformie KRS było zaczerpnięte z innych państw Unii i dlaczego?

Nasza reforma została skonstruowana na wzór hiszpańskiego odpowiednika KRS, czyli Rady Głównej Władzy Sądowniczej. To, w jakich obszarach mogliśmy przenieść rozwiązania z Półwyspu Iberyjskiego, określa oczywiście polska konstytucja, dlatego nie zakwestionowaliśmy zapisu mówiącego o posiadaniu większości w KRS przez samych sędziów, natomiast spór dotyczy sposobu ich wyboru. Posłużyliśmy się doprecyzowaniem tego zagadnienia za pomocą ustawy i wykładnią Trybunału Konstytucyjnego, dodając zapis o członkach sędziowskich, powoływanych bezpośrednio przez parlament – tak samo jak w Madrycie. Dlatego jeśli mówimy o rzekomym upolitycznieniu naszej Rady, analogicznie należałoby mówić o Radzie Głównej Władzy Sądowniczej, a przecież jest ona szanowana przez Unię Europejską. Ba, sędziowie wskazani przez tę radę w hiszpańskim Sądzie Najwyższym ostatnio zakwestionowali nawet wyrok TSUE.

W Hiszpanii jest jednak pewna różnica. Z 20 członków Rady tylko 12 z listy prawie 40 kandydatur zgłoszonych przez środowisko sędziowskie powołują politycy. Reszta to profesorowie, adwokaci i prawnicy wybrani przez króla.

Procedura zgłaszania jest w Polsce faktycznie nieco inna, ale na początku w 2016 r. proponowaliśmy nawet, aby sędziowie sami zgłaszali się wewnątrz KRS. Jednak i ten postulat spotkał się z gigantycznymi atakami środowiska sędziowskiego, co pokazuje, że od początku nie było ono nastawione na jakąkolwiek dyskusję i kompromis. Aktualnie ci członkowie KRS, którzy zostali wybrani przez polityków, cieszą się również poparciem grupy co najmniej 25 sędziów albo 2 tys. osób. Łącznie listy do KRS podpisało 360 sędziów. Rozstrzyganie, czy w Hiszpanii jest nieco inaczej niż w Polsce, gdzie wybiera większa, a gdzie mniejsza większość, jest wtórne, bo w obydwu przypadkach mówimy o ostatecznym wyborze przez władzę, wraz z poparciem przedstawicieli sędziowskich. W Polsce, poprzez wymóg trzech piątych Sejmu przy aprobowaniu kandydatur, legitymacja członków KRS jest dodatkowo wzmocniona.

Mówi pan o przejmowaniu wzorców. Dlaczego jednak w Polsce, chociaż w Hiszpanii są, nie wprowadzono do tej pory postulowanych przez Pawła Kukiza i Władysława Kosiniaka-Kamysza sędziów pokoju?

Jeśli Kosiniak-Kamysz chciałby sędziów pokoju, to przypominam, że PSL z PO miało osiem lat na podjęcie jakichkolwiek prób reformy systemu, a z tego, co mi wiadomo, na żadne istotne zmiany ówczesna koalicja się nie zdobyła, a Paweł Kukiz zbudował swój ruch na opozycji do tych partii oraz

eprasa.pl c63039b557

ich małej wiarygodności. Kosiniak-Kamysz chciałby odwrócenia naszych reform, czyli przywrócenia punktu wyjścia. Sprawa sędziów pokoju stanęła jednak w poprzedniej kadencji w Ministerstwie Sprawiedliwości i poświęciliśmy sporo czasu na to, aby przeanalizować dostępne możliwości prawne w celu ustanowienia sędziów do rozpatrywania pomniejszych spraw cywilnych i wykroczeń. Niestety, problem rozbija się o ich funkcjonowanie zgodnie z konstytucją, która nie przewiduje takiego rodzaju sądów. Stąd wynika konieczność dalszych analiz, bo przy opozycji, która nie chce żadnych reform, i tak może zostać zakwestionowana.

Proszę wybaczyć, ale argument, że poprzedni rząd miał osiem lat na wprowadzenie jakichś zmian coraz bardziej dotyczy Zjednoczonej Prawicy. Pół dekady to sporo czasu, jeśli ktoś chce, aby na lewo i prawo przeanalizować możliwość ustanowienia sędziów pokoju. Patrząc szerzej, wygląda to tak, że rząd przyjmuje z Zachodu to, co mu pasuje, a trudniejsze – ale potrzebne – reformy pomija.

To niecelny argument, bo w obydwu przypadkach, co podkreślałem, ramą działania jest polska konstytucja. W KRS mogliśmy czerpać ze wzorców hiszpańskich, bo były ku temu wymagane zbieżności, sędziowie pokoju to jednak inna dyskusja i szukamy w celu ich wprowadzenia adekwatnych narzędzi ustawowych. Nie wybieramy z Unii rzeczy „w ciemno", bo gdybyśmy chcieli tak robić, moglibyśmy mianować sędziów tak jak w Niemczech – bezpośrednio przez polityków. Tam upolitycznienie jest skrajne, a nikt Niemców przed trybunały nie prowadzi. Ten mechanizm jest również u nas do wprowadzenia, ale nie bez zmiany konstytucji. Minister Zbigniew Ziobro wskazał ostatnio, że jeżeli Komisja Europejska chce w całej wspólnocie jednolitych standardów, to możemy się do nich zastosować, ale coś za coś. Nie może być pod tym względem podwójnych standardów.

Przywołał pan przykład Niemiec oraz przypomniał słowa Zbigniewa Ziobry, który po spotkaniu z komisarz Věrą Jourową wskazał, że model niemieckiego wybierania sędziów może być polskim sposobem pójścia na kompromis z komisją. Rozumiem, że to była ironia.

Zacznijmy od tego, że wszystkie państwa UE są równe. Mówi o tym art. 4 Traktatu o Unii Europejskiej, który przypomina również o poszanowaniu różnic narodowych i konstytucyjnych. Spoglądając na to, co się dzieje wokół Polski – na pozatraktatowy nacisk, bo nie znajdziemy żadnego przepisu, który dawałby wprost Unii kompetencje do oceny wymiaru sprawiedliwości w innym kraju – nie sposób uciec od analogii, którą uczynił minister Ziobro. To zwrócenie uwagi na to, że mając radykalnie upolityczniony system mianowań sędziowskich, Niemcy nie mają w oczach Komisji problemów z praworządnością. Mamy tutaj do wyboru dwie możliwości – albo Unia uzna, że państwa członkowskie posiadają kompetencje do zmian ustrojowych i sądowych w obrębie własnych ustaw zasadniczych, albo musi narzucić jednolity standard.

Tylko do jakich wzorców niemieckich odwoływał się minister sprawiedliwości, skoro większość kompetencji odnośnie do mianowania sędziów leży w gestii poszczególnych landów, a one same różnią się w zależności od kraju związkowego. Nie ma jednego systemu niemieckiego.

W większości landów jest to proces ściśle upolityczniony, w wielu z nich sędziów bez wiążącej opinii środowiska powołuje minister sprawiedliwości, ale oczywiście Niemcy są państwem federalnym, a zatem także sądy federalne. Właśnie tam obserwujemy najwięcej polityki. Komisja, która powołuje sędziów, liczy 32 członków – połowa przedstawicieli parlamentu, połowa to ministrowie sprawiedliwości poszczególnych landów. Bardziej upolitycznionego systemu nie da się wymyślić.

Niemiecki Trybunał Konstytucyjny ma już gotowe orzecznictwo na wypadek interwencji TSUE w ich system sądownictwa, kwestionujący kompetencje unijne

Słyszę z pana ust krytykę zbytniego upolitycznienia wymiaru sprawiedliwości u naszych sąsiadów, a równocześnie Ministerstwo Sprawiedliwości nieustannie powołuje się na Zachód, jako przykład, z którego czerpiemy wzorce w reformach. To się kłóci.

Uważamy (i tak skonstruowana jest KRS), że politykom nie potrzeba takiego wpływu, który mają w Niemczech, a miernikiem oceny zmian w Polsce dla Unii i opozycji jest owo „upolitycznienie" i jego natężenie. My stawiamy następujące pytanie: Skoro tak, dlaczego tą samą miarą nie ocenia się innych? Jeśli Komisja uważa, że zbyt duży udział polityków w mianowaniu sędziów KRS sprawia, że są zależni od władzy w Polsce, nie stosuje tych samych kryteriów gdzie indziej? A nawet kiedy my te rozwiązania przyjmujemy, w Polsce są one niepraworządne, a w Czechach, Austrii, Niemczech, we Francji – gdziekolwiek – już są?

Wspomniał pan o Francji. W jakim stopniu czerpano z tamtejszych rozwiązań odnośnie do tzw. ustawy dyscyplinującej sędziów? Bo pojawiło się takie wytłumaczenie w dyskusji.

Chodzi o doprecyzowanie pojęcia „apolityczności" sędziów, bo tutaj konstytucja pozostawia duże pole interpretacji. Przepisy francuskie, które dotykają tego zagadnienia, pozwoliły nam skonstruować definicję tego terminu, co pozwoli rzecznikom dyscyplinarnym ocenić, co jest, a co nie jest działaniem na szkodę wymiaru sprawiedliwości. To są przepisy przetłumaczone w konkretnym elemencie i zakresie z języka francuskiego, nie chodzi oczywiście o cały system prawa, który jest w naszych państwach różny.

Gdy przywołał pan ten przypadek na Twitterze, w dyskusję i polemikę wszedł z panem prof. Laurent Pech, tłumaczący, że wyrywa pan rzeczy z kontekstu, a francuskie prawo nie zezwala na dyscyplinowanie sędziów przez władzę, gdy ci stosują prawo Unii Europejskiej.

To była rozmowa, w której profesor włożył mi w usta słowa czy opinie, których nie wyartykułowałem, a potem sam wszedł z nimi w dyskusję. Wyraźnie podkreśliłem, że projekt ministerstwa i odniesienia do Francji dotyczą tylko jednego segmentu „apolityczności", a nie pytań prejudycjalnych czy stosunku do prawa Unii. Laurent Pech zaprezentował natomiast ideologię dotyczącą organizacji UE, uznając absolutny prymat jej prawa nad prawem krajów członkowskich, gdzie do tej pory trwa spór z TSUE. Przedstawił się jako kibic dominacji Unii Europejskiej, dodatkowo zyskując wsparcie opozycji polityczno-sędziowskiej w naszym kraju. Takie rzeczy mnie już nie dziwią, a jego głos uznaję za zdanie kogoś zaangażowanego w spór, a nie chłodnego analityka. Podkreślam – nie ma we wspólnocie konsensusu na temat nadrzędności praw, niemiecki Trybunał Konstytucyjny ma już gotowe orzecznictwo na wypadek interwencji TSUE w ich system sądownictwa, kwestionujący kompetencje unijne. Dlaczego my mamy wyznawać inne standardy? Mniej suwerenne?

eprasa.pl c63039b557

FOT. PIOTR MOLECKI/EAST NEWS

A może standardem jest dyskusja wewnątrz Unii?

Moim zdaniem o reformie polskiego wymiaru sprawiedliwości powinnyśmy rozmawiać w Polsce, zamiast nieustannego szukania poklasku za granicą. To, co robi w tej sprawie opozycja, przypomina najczarniejsze karty z naszej historii i oznacza niezgodę na wynik demokratycznych wyborów. To ostatecznie szkodzi nie PiS, ale polskiej racji stanu, bo skoro w traktatach unijnych nie ma słowa o ingerencji w krajowe sądownictwo, gdy raz otworzy się tę furtkę, da się sposobność do ingerencji w przyszłości, przy każdym innym rządzie. Tak można wywierać nacisk również w kwestiach ideologicznych: aborcji, małżeństw osób homoseksualnych, eutanazji czy np. gospodarki – polityki fiskalnej czy euro.

Czy w takim razie pana zdaniem spór o sądy z Unią jest sporem, w którym nie ma kroku wstecz? Czy może istnieje jakaś przestrzeń do dyskusji? Premier Jarosław Gowin w niedawnym wywiadzie dla „Do Rzeczy" sugerował, że może to być Izba Dyscyplinarna SN.

Kwestią kluczową jest uznanie prawa Polski do suwerennego reformowania sądownictwa na własnym terytorium. Dyskusyjna jest zawsze konkretna treść tego prawa, to oczywiste. Mam nadzieję, że odpowiedź na wiele wątpliwości co do kształtu dalszych reform poznamy po wyroku Trybunału Konstytucyjnego. Zgodnie z polskim porządkiem ustrojowym inny sądowy punkt odniesienia nie istnieje. Nikt w Zjednoczonej Prawicy nie kwestionuje zobowiązań traktatowych, swobodnego przepływu towaru i usług w Unii. Nikt nie odmawia kompetencji tym organom, do których się sami zobowiązaliśmy. Cały ten spór toczy się jednak o to, aby nie tworzyć poza traktatami nowych uprawnień, bo nie za nimi Polacy głosowali w referendum.

W przeszłości rząd cofał się w reformie sądownictwa pod naciskiem wyroków TSUE, choćby w przypadku wieku emerytalnego sędziów.

Rzeczywiście, nasze państwo w przeszłości wykazało się dużą dozą zaufania do instytucji unijnych w zakresie znalezienia złotego środka w dyskusji o reformach. Widzimy jednak, że Komisja Europejska chce wywierać dalszy nacisk na sprawę, która nie znajduje się w jej kompetencjach. Uleganie wobec takiej postawy byłoby niewybaczalnym błędem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c63039b557

Kamila Baranowska

Jak uczcić bolesne rocznice

FOT. WOJCIECH PACEWICZ/PAP

Polskie władze chcą uczcić 80. rocznicę mordu katyńskiego i 10. rocznicę katastrofy smoleńskiej w Rosji. Pytanie, czy organizowanie tam tak ważnych uroczystości nie jest pomysłem ryzykownym

W 10. rocznicę katastrofy smoleńskiej chcę się udać do Smoleńska i do Katynia, aby oddać hołd ofiarom straszliwego sowieckiego mordu oraz ofiarom katastrofy. Oba te wydarzenia na zawsze zmieniły historię Polski – poinformował premier Mateusz Morawiecki.

Wygląda więc na to, że decyzja o wyjeździe do Rosji już zapadła. Z informacji „Do Rzeczy" wynika, że strona polska wysłała do Rosjan noty dyplomatyczne w sprawie przyjazdu polskiej delegacji. Na jej czele ma stanąć premier Mateusz Morawiecki, ale w tej sprawie trwają jeszcze rozmowy z pałacem prezydenckim. Gdyby prezydent Andrzej Duda uznał, że także chce jechać w tym dniu do Katynia i Smoleńska, to wówczas na czele polskiej delegacji stanąłby on, a nie premier.

– Agresja Władimira Putina w grudniu, zakłamywanie historii drugiej wojny światowej pokazują, że strategia prowokacji jest stałym elementem polityki międzynarodowej Rosji. I myślę, że nie można wykluczyć tutaj zaaranżowania jakiejś sytuacji – ocenił z kolei w RMF FM doradca prezydenta socjolog prof. Andrzej Zybertowicz. Spytany, czy prezydent powinien pojechać do Smoleńska na obchody 10. rocznicy katastrofy, socjolog odparł: „Moim zdaniem nie".

Na razie jednak w pałacu jest inny pomysł na uczczenie obu rocznic przez głowę państwa. Rozważana jest opcja, by tego dnia prezydent udał się do Charkowa i tam oddał hołd ofiarom rosyjskiej zbrodni dokonanej na polskich oficerach oraz uczcił pamięć ofiar katastrofy smoleńskiej. Dodatkowo obecność prezydenta akurat w tym miejscu miałaby także kontekst polityczny.

Wszyscy dobrze pamiętają kompromitujące zachowanie prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, który podczas wizyty w Charkowie w 1999 r. był pijany. Jednak ostateczna decyzja co do wyjazdu Andrzeja Dudy jeszcze nie zapadła. Pytany o plany prezydenta rzecznik Błażej Spychalski odpowiedział, że możliwe są „różne scenariusze".

Więcej wiadomo o planowanej wizycie premiera Morawieckiego. Z informacji „Do Rzeczy" wynika, że premier wraz z delegacją miałby się udać samolotem do Witebska na Białorusi i stamtąd już transportem kołowym jechać do Smoleńska (to jakieś 2,5 godziny drogi). Otoczenie premiera podkreśla, że wyjazd premiera nie miałby charakteru wizyty dwustronnej i nie są planowane spotkania z władzami rosyjskimi. – Jego zasadniczym celem jest oddanie hołdu tym osobom, które zginęły 10 lat temu w zdarzeniu chyba najbardziej dramatycznym po zakończeniu drugiej wojny światowej, które dotknęło nasz kraj. Jesteśmy w trakcie analizowania możliwości i przygotowywania takiego wyjazdu – powiedział szef kancelarii premiera Michał Dworczyk w RMF FM.

CO MOŻE PÓJŚĆ NIE TAK

Plany kancelarii premiera sprowokowały jednak dyskusję, czy aby na pewno wyjazd polskiej delegacji do Rosji w celu

eprasa.pl c63039b557

uczczenia obu ważnych dla Polski rocznic jest dobrym pomysłem. – Apeluję do polityków, żeby nie odbywali podróży do Rosji, która jawnie deklaruje wrogość wobec nas. Chciałabym, żeby politycy się nie narażali. Niech zrobią to dla nas, dla rodzin smoleńskich – takimi słowami w rozmowie z portalem wPolityce.pl zwróciła się do rządzących Magdalena Merta, żona wiceministra kultury Tomasza Merty, który zginął w katastrofie smoleńskiej.

– Niech oszczędzą nam stresu, lęku i przerażenia, żeby już nie było więcej łez, więcej bólu i więcej rozpaczy. Cokolwiek Rosja złego wyrządzi Polsce, pozostanie bezkarna i nikt się tym nie przejmie, bo będą interesy ważniejsze niż np. kolejna śmierć polskiej delegacji – mówi.

Jednak ryzyko związane z wyjazdem dotyczy nie tylko kwestii bezpieczeństwa, które poruszają wdowę po śp. ministrze Mercie. Znając sposób działania Rosjan, nie można wykluczyć wykorzystania tego typu wyjazdu do przeprowadzenia różnego rodzaju prowokacji. Począwszy od tych politycznych, przez historyczne, a kończywszy na organizacyjnych. Rosja od miesięcy prowadzi wobec Polski zmasowany atak propagandowy, posługując się kłamliwymi oskarżeniami, że to nasz kraj wywołał drugą wojnę światową. Niewykluczone, że Putin zechce wykorzystać bolesne dla nas daty do tego, by rzucić kolejne oskarżenia. Można sobie także łatwo wyobrazić sytuację, w której Rosjanie nie będą ułatwiać przejazdu polskiej delegacji. Doświadczył tego boleśnie sam Jarosław Kaczyński, gdy w 2010 r. w dniu katastrofy próbował pokonać dokładnie tę samą trasę z Witebska do Smoleńska. Rosjanie robili wtedy wszystko, łącznie z celowym spowalnianiem ruchu, szczegółowymi kontrolami, blokowaniem przejazdu, by prezes PiS i jego współpracownicy dotarli na miejsce jak najpóźniej (chodziło o to, by Kaczyński przybył po Tusku, który miał się spotkać z Putinem). Do tego wszystkiego należy dodać jeszcze kontekst polityczno-kampanijny. Każda sytuacja, nawet w oczywisty sposób sprowokowana przez Rosjan, w kraju zostanie wykorzystana do politycznego ataku na obóz rządzący.

Strona rządowa patrzy jednak na ten wyjazd inaczej. Słychać tłumaczenia, że choćby ze względu na ostatnie wzmożenie Rosji i samego Putina w sprawie głoszenia kłamliwej wersji historii Polska nie może odpuścić sobie tak ważnej historycznie podwójnej rocznicy. – Katyń i Smoleńsk to miejsca symboliczne. Jeśli Putin będzie chciał wykorzystać te rocznice do własnej propagandy, to dla nas będzie to okazja do powiedzenia prawdy, która jeszcze mocniej wybrzmi na świecie, a która jest dla Rosji bardzo niewygodna. Zarówno ta dotycząca Katynia, jak i tego, jak zachowują się rosyjskie władze w sprawie śledztwa smoleńskiego, przetrzymywania wraku itd. – mówi nam jedna z osób z otoczenia premiera. Po stronie rządowej pojawiają się też argumenty, że po ostatnich zagrywkach Rosji w kontekście historycznym tym bardziej nie należy odpuszczać tak ważnych rocznic, przypominających rolę Rosji w czasie drugiej wojny światowej. A sam wyjazd delegacji na wysokim szczeblu jest traktowany jako jasny sygnał, że Polska nie cofnie się w walce o prawdę historyczną.

– Nie jest naszym celem, by kogokolwiek prowokować, lecz by oddać należny hołd ofiarom i przypomnieć światu, co się tam wtedy wydarzyło – słyszymy od współpracowników premiera.

BEZ SPOTKANIA Z PUTINEM

A czy może być tak, że Rosja nie zgodzi się na przyjazd polskiej delegacji? Oficjalnej zgody jeszcze nie ma. Ten scenariusz raczej nie jest brany pod uwagę, bo byłaby to jawna prowokacja, z której Putinowi trudno byłoby się wytłumaczyć przed światową opinią publiczną. – To by było pójście, mówiąc kolokwialnie, „po bandzie", że w tak ważną rocznicę ważnemu państwu i przywództwu tego państwa odmawia się wizyty w tym – w pewnym sensie świętym dla nas – miejscu. Myślę, że to jest raczej mało prawdopodobne, więc jestem optymistą. Myślę, że duża ważna delegacja państwowa w czasie tych obchodów tam na miejscu będzie – mówił wiceminister kultury Jarosław Sellin w rozmowie z portalem Gazeta.pl. Dopytywany, czy strona rosyjska powinna wysłać na uroczystości swoją delegację na odpowiednim szczeblu, odparł, że „gdyby taki gest strona rosyjska wykonała, to byłoby właściwe".

Strona rządowa stoi jednak na stanowisku, że nie oczekuje obecności strony rosyjskiej na obchodach i w żadnym razie nie jest to wizyta bilateralna. Słyszymy, że to polskie uroczystości z polską delegacją. I nikomu specjalnie nie zależy na żadnych spotkaniach na wysokim szczeblu.

Chociaż – jak informowała „Rzeczpospolita" – początkowo polskie MSZ planowało podjąć próbę organizacji takiego spotkania. Minister Jacek Czaputowicz chciał w tej sprawie rozmawiać ze swoim rosyjskim odpowiednikiem Siergiejem Ławrowem. Do rozmowy jednak nie doszło, bo wcześniej w mediach pojawiła się informacja o zamiarach premiera. O tym, że Mateusz Morawieckim wybiera się do Rosji, poinformował Michał Dworczyk. Dzień później odezwał się rzecznik prezydenta Błażej Spychalski, twierdząc, że minister Dworczyk wyszedł przed szereg, deprecjonując rolę prezydenta.

– Prezydent wyraził oczekiwanie wobec premiera i rządu, by podjąć działania celem godnego przygotowania uroczystości w 80. rocznicę zbrodni katyńskiej. W najbliższych dniach dojdzie do spotkania szefów MSZ Polski i Rosji w tej kwestii – dodał. Sęk w tym, że w momencie, gdy o tym informował, takie spotkanie nie było jeszcze umówione. Na razie Ławrow się z Czaputowiczem nie spotkał, choć była ku temu okazja, bo obaj uczestniczyli niedawno w Konferencji Bezpieczeństwa w Monachium. Jednocześnie rzecznik Kremla poinformował, że Władimir Putin „na razie" nie planuje wizyty w Smoleńsku i spotkania z polskim premierem. Dworczyk i Spychalski dzień później zamieścili na Twitterze wspólne zdjęcie z podpisem, że wyjaśnili sobie całą sytuację, określając ją mianem „drobnego nieporozumienia".

OBCHODY W POLSCE

Magdalena Merta w cytowanym powyżej wywiadzie mówi, że jej zdaniem obchody rocznicowe powinny odbywać się w Polsce. – One się powinny odbywać wszędzie tam, gdzie istnieją upamiętnienia katyńskie. W Warszawie mamy Muzeum Katyńskie, podziemia kościoła św. Krzyża, kamień katyński na Starówce i wiele innych godnych miejsc. W Smoleńsku i Katyniu też powinno odbyć się upamiętnienie, ale nie z udziałem tych, którzy najbardziej są narażeni na podłość Rosjan – przekonuje.

Wydarzenia upamiętniające rocznicę katastrofy smoleńskiej są planowane także w kraju. 10 kwietnia nie będą tak uroczyste ze względu na to, że to akurat Wielki Piątek. Z naszych informacji wynika, że główne uroczystości planowane są nieco później, już po świętach Wielkiejnocy w dniach 17–18 kwietnia. Dziesięć lat temu właśnie w tych dniach odbywały się uroczystości pogrzebowe pary prezydenckiej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c63039b557

Piotr Semka

Langusta na wyborach

Poparcie popularnego dominikanina dla Szymona Hołowni zbulwersowało wielu katolików. Dlaczego ta deklaracja wywołała tak wielką reakcję i co mówi o sytuacji w polskim Kościele?

FOT. KS. RAFAŁ PASTWA/FOTO GOŚĆ/FORUM

Chyba niewielu ludzi interesujących się życiem Kościoła w Polsce nie słyszało o o. Adamie Szustaku, charyzmatycznym kaznodziei. Odcinki jego internetowego vloga „Langusta na palmie" mają po kilkaset tysięcy wejść (a kilka najpopularniejszych nawet ponad milion i więcej). Nieprzypadkowo w 2016 r. o. Szustak OP zdobył nagrodę publiczności w medialnym konkursie Grand Video Awards za wideo „Dobranocka [#2] Słoń". Spotkania z o. Szustakiem przyciągają tłumy, głównie młodych ludzi.

42-letni dominikanin, charakteryzujący się niezwykle zdecydowanym sposobem mówienia, nie czyni nikogo obojętnym. Barczysty, wygolony na zero, surowo marszczący czoło – kojarzy się wielu raczej z bramkarzem w dyskotece niż z ewangelizatorem. A jednak zwolennicy o. Szustaka komplementują go, wskazując, że właśnie dzięki stylowi bycia „Bożego atlety" umie trafić do pokolenia, które tradycyjny styl ewangelizacji przyjmuje jedynie wzruszeniem ramion.

Trudno się dziwić, że przy tak dużej rozpoznawalności wydanie „Langusty" z niedzieli 16 lutego wywołało ogromny rezonans. Popularny dominikanin zapytany został o opinię na temat kandydata na prezydenta Szymona Hołowni. Duchowny postanowił odpowiedzieć, choć zaznaczał, iż to, co powie, jest jego prywatną opinią, nie jest stanowiskiem Kościoła ani zachętą do poparcia tego kandydata.

„Chciałbym na to pytanie odpowiedzieć, bo ono mnie w ogóle cieszy. Tylko to jest, uwaga, moja prywatna sprawa. I uwaga – nie powiedziałem tego, czego nie powiedziałem, czego zaraz nie powiem. Bo wiem, że zaraz będzie: »No ale Szymon Hołownia to albo tamto«. Uwaga! Powiem to, co teraz powiem. Otóż, po raz pierwszy od 23 lat pójdę na wybory. Od 23 lat nie byłem na wyborach. Wiem, grzech i w ogóle co to za patriota, co to za Polak. Nie byłem, bo nie ma w kim wybierać, nie ma zupełnie. Po raz pierwszy, kiedy będą teraz wybory prezydenckie, pójdę na wybory i zagłosuję na Szymona Hołownię" – poinformował dominikanin.

Po pewnym czasie o. Szustak zamieścił w sieci kolejne nagranie, w którym przeprosił za upublicznienie swojej preferencji wyborczej. Poinformował, że zadzwoniło do niego „paru braci, których opinie cenię" (tu padły nazwiska jezuity Dariusza Piórkowskiego i dominikanina Wojciecha Jędrzejewskiego) i zrozumiał swój błąd.

„Przemyślałem to, co mi powiedzieli – i mają rację. Nie jestem żadną częścią czyjejkolwiek kampanii wyborczej, również Szymona Hołowni. Szymona cenię, moje zdanie na jego temat się nie zmienia. Nigdy go w ogóle w życiu nie spotkałem na żywo, ale... nie jestem częścią żadnej jego kampanii. To nie była próba robienia polityki. Nie przemyślałem tego" – powiedział. „Obiecałem jakiś czas temu, że na kanale »Langusty« nie będzie nigdy polityki. I przez 3 tys. odcinków nie było chyba nigdzie polityki. Pojawiła się dwa dni temu w tamtym vlogu – i to był błąd. Chciałem bardzo przeprosić za to, że nie dotrzymałem własnej obietnicy i że wpuściłem politykę w jakiejkolwiek formie na »Langustę«" – dodał.

Dlaczego deklaracja dominikanina wywołała tak wielką reakcję i co ona mówi o sytuacji w polskim Kościele?

WSKAZYWAĆ CZY NIE?

Zacznijmy od problemu numer jeden. Czy ludzie Kościoła powinni

eprasa.pl c63039b557

ujawniać wiernym, na kogo głosują w ważnych wyborach? Jeszcze 60 lat temu w krajach katolickich takich jak Włochy czy Irlandia wskazania w przypadku wyborów parlamentarnych czy lokalnych nikogo nie szokowały. Od biskupa – czy w przypadku wyborów lokalnych – od księdza wierni oczekiwali jakiegoś wskazania. Nawet politycy lewicy kiedyś nie robili z tego powodu awantur, przyjmując do wiadomości, że to taki sam element podziału ideowego społeczeństwa jak np. poparcie związków zawodowych dla kandydatów Labour Party czy socjalistów. Tyle że takie wskazania nie były brane „z kapelusza". Poparte były analizą programów wyborczych kandydatów pod kątem ich zgodności z nauką moralną i społeczną Kościoła. Za coś naturalnego uważano analizę życia prywatnego polityka, np. rozwody.

Wszystko zmieniło się wraz z nowym myśleniem wyprowadzanym z ducha Soboru Watykańskiego II. Wtedy wahadło poszło w drugą stronę. Zdobyła przewagę opinia, że Kościół katolicki winien utrzymywać równy odstęp wobec lewicy i prawicy. Wszelkie przypadki poparcia dla polityków ze strony Kościoła zaczęto uważać za skandal i ingerencję kleru w życie publiczne. Zaczęło dominować przekonanie, że ksiądz, wskazując na tego czy innego polityka, dzieli wiernych.

Konserwatywni katolicy krytykowali izolacjonizm, wskazując, że stoi za nim milczące uznanie, że nie ma różnicy miedzy chadekiem a libertyńskim liberałem, lansującym zmiany w prawie, których katolicy nie mogą zaakceptować. Pewną formułą kompromisu między starymi i nowymi praktykami były wezwania biskupów, by wierni dokonywali w swoim sumieniu oceny programu kandydatów pod kątem zgodności ich poglądów z nauczaniem Kościoła.

Na tym tle casus o. Szustaka jest dziwną hybrydą, choć znamienną dla obecnej sytuacji Kościoła. Zakonnik w swoim pierwszym wystąpieniu wykonuje dziwny łamaniec. Popiera Szymona Hołownię, nie wdając się w jego program. Jednocześnie zaznacza, że to jego prywatna sprawa i w żadnym stopniu za Hołownią nie agituje.

Był to wywód karkołomny. Wiadomo, że gdy charyzmatyczny zakonnik uznawany za autorytet przez tłumy młodych ludzi odpowiada na pytanie, na kogo zagłosuje, to samą swoją deklaracją wyborczą wpływa na swoich zwolenników.

Zaciemnić to miała masa skomplikowanych zastrzeżeń typu: „To moja Adamo-Szustakowa decyzja" lub: „Nie powiedziałem tego, czego nie powiedziałem, czego zaraz nie powiem".

AMATOR UWODZI ZAWODOWCÓW

To, co bardziej zbulwersowało wielu katolików od samej deklaracji politycznej preferencji, jest poparcie dla akurat tego kandydata, który mija się z nauką Kościoła w tak istotnych kwestiach jak akceptacja programów in vitro, zapowiedź, że w razie wygranej z Pałacu Prezydenckiego znikną krzyże, czy niesmaczne, publiczne kpiny na tematy ważne dla ludzi wierzących. Parodiowanie premiera Morawieckiego w kontekście jego odwiedzin na Jasnej Górze czy żarty, że jeden z dziennikarzy mógłby aplikować na funkcję prezydenckiego kapelana, wywoływały niesmak równy deklaracjom Hołowni o wspieraniu programów in vitro.

A jednak kandydat z tak wieloma kontrowersyjnymi z punktu widzenia katolicyzmu poglądami – jak się okazało – mógł oczarować popularnego kaznodzieję. I oczarowuje, jak się zdaje, nadal.

Z ekspiacji za feralny odcinek „Langusty na palmie" wynikało bowiem, że o. Szustak wycofał się jedynie z publicznego poparcia Hołowni. I ubolewał, że wpuścił politykę do swego programu. Sam zresztą zaznacza, że „Szymona popiera nadal".

I tu dochodzimy do trzeciej, najważniejszej chyba refleksji z całej sprawy. Jak blisko zakonnikom i kaznodziejom lansującym nowy, młodzieżowy styl ewangelizacji do postaci takiej jak Hołownia? Kogoś, kto na własną rękę, bez kościelnej rekomendacji, wchodzi w rolę teleewangelisty, wybierającego z nauczania Kościoła to, co jest mu wygodne.

Medialna potęga przekazu, z której z dużym znawstwem nauczył się korzystać Hołownia, szybciej uwodzi duchownego niż na odwrót. To nie Hołownia schyla głowę przed Kościołem, ale zakonnik „kupuje" wizję katolicyzmu, którą lansuje popularny showman. Nic nie wskazuje, by interesowało go, kto stoi za kampanią celebryty, skąd płyną pieniądze i jak jego ewentualna wygrana zmieniłaby życie publiczne. Ważne jest tylko, że w indywidualnej ocenie o. Szustaka wybór Szymona „przyniesie dużo dobra".

Na jakiej podstawie o. Szustak to mówi? Czy śledził uważnie politykę?

Chyba nie, skoro, jak deklaruje, od momentu uzyskania prawa wyborczego 23 lata temu nigdy nie był na wyborach. Można uznać stanowisko, na mocy którego dominikanin postrzegał sferę polityki za coś nieczystego. Sferę budzącą wątpliwości moralne, wobec której jedynym wyjściem jest skupienie się na ewangelizacji. Jednak nagle zakonnik ulega fascynacji kimś, kto jest w pełni politykiem. Tyle że w sprytny sposób wymachuje sztandarem apolityczności.

Co powiedzieć wobec takiej naiwności? Czy nie jest to sygnał, że w dzisiejszej sytuacji katolicyzmu dobrze wymyślony gwiazdor deklarujący wiarę może okazać się znacznie skuteczniejszy w przyciąganiu uwagi nawet doświadczonych duchownych? Bardziej skuteczny niż biskupi i autorytety zakonne? Owszem, w tym przypadku telefony od znanych zakonników skłoniły o. Szustaka do kroku w tył. Ale – powtórzmy – nie zmieniły one ogólnego zdania dominikanina („Szymona Hołownię nadal cenię").

SYRENI ŚPIEW

Ktoś powie, że w polskim Kościele bywały przypadki pochwał ze strony księży wobec polityków. Łatwo wskazać, że np. o. Tadeusz Rydzyk też ma swoje polityczne sympatie i nie kryje się z nimi, a niektórzy proboszczowie obecnie nie kryją się z poparciem np. dla prezydenta Andrzeja Dudy, choć rzadko czynią to z ambony.

Tak, ale przypadek o. Szustaka to chyba jednak coś innego. Andrzej Duda, Jarosław Kaczyński czy Mateusz Morawiecki nie mają bowiem ambicji, by sami kreować własne rozumienie, czym jest katolicyzm w dystansie wobec hierarchii, a Hołownia to czyni. Autor słynnej tezy o sądzeniu ludzi przez zwierzęta na Sądzie Ostatecznym bardziej przypomina teologa kontestatora niż kogoś, kto jest jedynie politykiem. Grzesznym lub nie, ale jedynie politykiem.

Gwiazdorsko-katolicka kreacja Hołowni, która – zdawałoby się – winna budzić przynajmniej ostrożność, niezwykle łatwo i szybko została „kupiona" nie przez świeżo upieczonego kleryka, ale przez 42-letniego, doświadczonego, wydałoby się, zakonnika. Kogo jeszcze uwiedzie syreni śpiew Hołowni?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c63039b557

Dlaczego TVN traci widzów

Kamila Baranowska

TVN od pół roku notuje duże spadki oglądalności. W minionym roku ani razu nie zajął pozycji lidera. Dlaczego widzowie rezygnują z programów tej stacji?

Telewizja ma się świetnie – zapewniał w sierpniu ubiegłego roku dyrektor programowy TVN Discovery Polska Edward Miszczak, prezentując jesienną ramówkę. Z tym entuzjazmem jednak trochę przesadził, zwłaszcza w kontekście własnej stacji. Bo już wtedy widać było, że TVN radzi sobie nie najlepiej. Dane z pierwszej połowy 2019 r. pokazały, że stacja notuje spadki i w grupie widzów powyżej czwartego roku życia przestaje wygrywać z konkurencją. Dane z drugiej połowy ubiegłego roku i ze stycznia tego roku pokazują, że nie idzie ku lepszemu. Wręcz przeciwnie – TVN w grupie ogólnej 4+ trwale spadł na trzecią, a przesuwa się nawet na czwartą pozycję. Każdego miesiąca wyprzedzają go TVP1 i Polsat, a coraz częściej (tak jak w grudniu 2019 r. i styczniu 2020 r.) także TVP2.

TVN przez większość roku 2019 pozostawał liderem w grupie komercyjnej, najistotniejszej z punktu widzenia reklamodawców, bo obejmującej widzów w przedziale wiekowym 16–49 lat, choć i tutaj zalicza ogromne spadki, gdy porówna się liczbę widzów rok do roku – w ostatnich dwóch miesiącach nawet w tej grupie TVN musiał ustąpić miejsca Polsatowi. Jeszcze gorzej jest, gdy rozszerzymy grupę komercyjną do przedziału wiekowego 16–59 lat, wtedy Polsat wygrywa z TVN regularnie.

GDZIE DWÓCH SIĘ BIJE...

Co ciekawe, TVN zaczął masowo tracić widzów wśród kobiet z grupy komercyjnej. Kobiety (zwłaszcza te z grupy komercyjnej, czyli w wieku 16–49 lat) to dla każdej stacji telewizyjnej najcenniejszy skarb, bo są najlojalniejszymi widzami. I o ile w ostatnim półroczu spadki TVN w całej grupie 16–49 lat mieściły się w przedziale od –6 do –14 proc., o tyle wśród kobiet w wieku 16–49 lat wyniosły od –9 aż do –17 proc.!

Powodów odpływania widzów, zwłaszcza kobiet, od najchętniej niegdyś oglądanej stacji jest przynajmniej kilka i są one ze sobą ściśle powiązane.

TVN od początku istnienia pozycjonował się jako stacja skierowana do widza młodego, wykształconego, wielkomiejskiego i otwartego na świat. I choć niektórych mogła irytować serwowana przez TVN wizja świata, w którym wszyscy mieszkają w wielkich apartamentach, pracują w przeszklonych biurowcach i jeżdżą SUV-ami, to właśnie produkcje serwujące takie obrazki były kluczem do sukcesów TVN. Z biegiem lat wielkomiejski widz się jednak mocno wyrobił. Zmienił się także rynek. Segment, w który jeszcze parę lat temu trafiał TVN, dziś jest zagospodarowywany przez kanały tematyczne, w tym tak sprofesjonalizowane jak Netflix, HBO GO, Canal+ czy do niedawna Showmax. TVN podjął wyzwanie i rozpoczął nierówny wyścig w walce o widza seriali premium. Powstały niezłe jak na telewizyjną produkcję seriale „Pułapka", „Pod powierzchnią" czy „Chyłka", ale daleko im do produkcji Netflixa czy HBO. Do tego umieszczanie ich premierowych odcinków na platformie Player (gdzie można je oglądać na żądanie) musi przekładać się na mniejszą oglądalność na głównej antenie.

– W naszej galerii programowej nie ma podróbek, przecen, to produkcje najwyższej jakości – zachwalał dyrektor Miszczak, trochę zaklinając rzeczywistość. Wiadomo, że seriale TVN to nie ten budżet, nie ta skala i nie te możliwości, które oferuje dziś np. Netflix. A dzisiejszy widz nie znosi półśrodków i niedociągnięć w fabule czy realizacji. Natychmiast je wychwytuje i łatwo się zniechęca.

W tym samym czasie, gdy TVN walczy o swojego wielkomiejskiego widza, podnosząc poziom seriali, wytraca mniej wymagającą część widowni. I to na własne życzenie. Wdrażaną właśnie strategią grupy Discovery jest wzmacnianie i promocja siostrzanej stacji TVN, czyli TVN7. Tam idą dziś duże pieniądze zarówno na zagraniczne filmy oraz seriale, jak i na własne produkcje. – W ramówkę zainwestowaliśmy rekordowy budżet. Znaczną część środków przeznaczyliśmy na dwie produkcje własne dla TVN7 – mówił portalowi Wirtualnemedia.pl Miszczak w styczniu 2019 r. To w Siódemce pojawiły się „Big Brother" i nowy serial „Zakochani po uszy". To tutaj trafi za chwilę nowy format „Hotel Paradise", a także znane z TVN tytuły takie jak „Szkoła", „19+" czy „Ślub od pierwszego wejrzenia".

– Stwierdziliśmy, że to dobry moment, aby zbudować drugi duży kanał, który byłby uzupełnieniem dla TVN. Siódemka ma ogromy potencjał, jest dostępna w każdym domu, podobnie jak główna stacja. Można ją oglądać zarówno w naziemnej telewizji cyfrowej, jak i u operatorów kablowo-satelitarnych. Dlatego postanowiliśmy zainwestować w ten kanał – tłumaczył Miszczak. – Do tej pory nasze budżety produkcyjne wkładaliśmy w główną antenę, a teraz musieliśmy pozyskać dodatkowe środki, aby wyprodukować nowe programy dla TVN7 – przyznawał. Ta strategia ma jednak jeden słaby punkt, na który wskazują eksperci rynku medialnego. Jej skutkiem jest kanibalizacja anten. TVN7, wbrew zało-

eprasa.pl c63039b557

FOT. MACIEJ ŁUCZNIEWSKI/REPORTER

żeniom, nie odbiera widzów konkurencji, lecz głównie TVN, bo obie stacje odwołują się do tego samego widza i podobnie się pozycjonują na rynku.

ŚNIADANIE Z POLITYKĄ CZY BEZ

Problemy z oglądalnością TVN najbardziej widać jednak na przykładzie oglądalności porannego pasma. Telewizja śniadaniowa w wykonaniu TVN przez długi czas pozostawała poza konkurencją. Polsat całkiem sobie ten wyścig odpuścił, a poranne programy TVP („Pytanie na śniadanie" i dawniej „Kawa czy herbata") były tak siermiężne, że nie były w stanie nikomu zagrozić. To się jednak zmieniło. Nowa formuła, nowi prowadzący i inaczej dobierane tematy sprawiły, że widzowie zaczęli preferować poranki z TVP. Pierwsze półrocze 2019 r., w którym „Pytanie na śniadanie" wyprzedziło „Dzień dobry TVN", dało do myślenia także kierownictwu stacji z Wiertniczej. Dokonano zmian, głównie personalnych, i przesunięto godzinę emisji na wcześniejszą. Bez efektów. W paśmie śniadaniowym nadal to TVP jest górą. Zwłaszcza że gdy TVN postanowił emitować „Dzień dobry TVN" 30 minut wcześniej, TVP zaczęła emitować „Pytanie na śniadanie" 40 minut wcześniej. – Nikt nie wyprzedzi Telewizji Polskiej. Jeżeli TVN zrobi „Dzień dobry TVN" o godz. 6, to my zrobimy „Pytanie na śniadanie" o godz. 5.45. Dlatego nie ma sensu ścigania się na siłę z TVP – zapowiadał nie bez satysfakcji Jacek Kurski, prezes TVP. Widać było, że utrzymanie przewagi w tym paśmie stało się dla TVP priorytetem.

Śniadaniowemu programowi TVN na pewno nie pomagają też wpadki wizerunkowe, które zaliczali jego prowadzący. Filip Chajzer parodiujący osobę chorą psychicznie czy niedawno para prowadzących nabijająca się z urody koreańskiego piosenkarza stwarzają dysonans między tym, jak TVN próbuje się pozycjonować (jesteśmy otwarci, tolerancyjni, postępowi), a rzeczywistością. Widz takie rzeczy od razu wychwytuje. I potępia. Warto zwrócić uwagę na to, że TVN najmocniej za ostatnie wyskoki obrywało się od zaprzyjaźnionych mediów – najwięcej krytyki wylało się na portalach takich jak Gazeta.pl czy NaTemat.

TVP, zmieniając formułę „Pytania na śniadanie", robiła badania, w którym kierunku powinny iść zmiany. Okazało się, że widzowie o tej porze nie chcą np. polityki ani osób politycznie kojarzonych. Gdy do programu zapraszano polityków, oglądalność leciała na łeb na szyję. Widzowie, a są to głównie kobiety, o tej porze chcą tematyki poradnikowej, zdrowotnej czy rozrywkowej. A co jakiś czas oczekują zmian personalnych, bo to zawsze działa odświeżająco. W TVN zapewne także wiedzą to wszystko, a mimo to ich poranny program jest naszpikowany polityką i politycznymi odniesieniami. Prowadzący nie stronią od politycznego zaangażowania i wyrażania swoich opinii zarówno w programie, jak i poza nim. Poza tym TVN, chcąc nie chcąc, jest postrzegany przez pryzmat TVN24, który stał się kanałem mocno zaangażowanym politycznie, z jasną linią polityczno-programową. O ile jeszcze parę lat temu nikogo to tak bardzo nie raziło, o tyle teraz, gdy polaryzacja w społeczeństwie mocno się pogłębiła, dla części widzów może to być czynnik decydujący.

SPRAWDZONE METODY NIE WYSTARCZAJĄ

Na niekorzyść TVN z pewnością działają zmiany, które wprowadza u siebie konkurencja. Kiedy TVN inwestował w kolejne seriale premium, które nie przynoszą oczekiwanych efektów oglądalnościowych, Polsat wprowadził na antenę nowy serial z kategorii popularnej „W rytmie serca", stworzony przez Tadeusza Lampkę, autora takich hitów jak m.in. „M jak miłość".

– Bardzo się cieszę z tego serialu, zarówno z jego jakości, jak i wyników. Tadeusz Lampka to bardzo dobra marka. Pracuję z nim już od wielu lat, niemal 20 lat temu wspólnie wprowadzaliśmy na antenę Dwójki „Na dobre i na złe" i „M jak miłość". Bardzo się cieszę, że po przerwie znów pracujemy razem i że nasz nowy projekt również się udał. „W rytmie serca" to po prostu dobry serial, który publiczność potrafi docenić – zachwalała serial Nina Terentiew, dyrektor programowa oraz członek zarządu Telewizji Polsat w rozmowie z portalem Wirtualne Media.

TVP też nie zasypia gruszek w popiele. Uporządkowanie ramówki, stworzenie atrakcyjnego pasma popołudniowego w TVP1 z teleturniejami („Koło fortuny", „Jaka to melodia", „Jeden z dziesięciu"), które trzymają widza aż do wejścia w prime time, dało bardzo dobre efekty. Jedynka i Dwójka są jedynymi stacjami spośród wielkiej czwórki, które w ostatnim półroczu zaliczają wzrosty oglądalności (porównując analogiczny okres sprzed roku). Co ciekawe, widać, że TVP mocno zyskuje wśród kobiet w wieku 16–49 lat, czyli tam, gdzie duże spadki odnotowuje TVN (Polsat zresztą też).

Wśród ekspertów rynku medialnego słychać jeszcze jedną hipotezę tego, co się dzieje z oglądalnością TVN – że może to być pierwszy efekt zmian, które zachodzą powoli w badaniach Nielsena. TVP od wielu miesięcy apeluje o to, by panel był bardziej reprezentatywny. I choć oficjalnie nadal TVP pozostaje w sporze z Nielsenem, to niewykluczone, że po cichu pewne korekty w panelu są wprowadzane, co przekłada się na wyniki oglądalności. Trudno tu jednak o jednoznaczne dowody poza faktem, że stacjom TVP zaczyna rosnąć oglądalność w grupie komercyjnej, gdzie dotychczas zawsze przegrywała z konkurencją.

Pytania zasadnicze brzmią: Co zrobi TVN? Jak zareaguje na spadającą oglądalność? Czy należy się spodziewać rewolucyjnych zmian, także personalnych? Na razie nic na to nie wskazuje. Nasi rozmówcy twierdzą, że TVN wpadł w pewną pułapkę stosowania sprawdzonych rozwiązań, które zawsze działały. Sęk w tym, że jeśli chodzi o rynek telewizyjny, to coś, co świetnie sprawdzało się pięć lat czy nawet dwa lata temu, nie sprawdzi się w dzisiejszych realiach. Widzowie, bombardowani zewsząd coraz atrakcyjniejszą ofertą, mają z czego wybierać. Ratunkiem dla dużych stacji jest bardzo dokładna wiedza na temat preferencji swojego wiernego widza i wychodzenie naprzeciwko jego oczekiwaniom, zanim zdąży zrobić to konkurencja. Tej umiejętności zaczyna właśnie brakować TVN, co jeszcze parę lat temu wydawało się nie do pomyślenia. ©℗

Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c63039b557

Tropikalne raje nad Wisłą

Agnieszka Niewińska

Jacek Przybylski

Pod Mszczonowem powstał największy w Europie zadaszony park wodny, który przez cały rok oferuje tropikalną atmosferę. Wielkich aquaparków mamy już w Polsce dziesiątki, bo dzieci pokochały wodne rozrywki

Ponad 740 palm sprowadzonych z Malezji, Kostaryki i USA, 32 zjeżdżalnie, 3 mln litrów wody w basenach, wielki otwierany dach oraz temperatura wnętrz, która przez cały rok ma przekraczać 30 st. C.

To tylko niektóre zalety największego zadaszonego parku wodnego w Europie, który 20 lutego został otwarty we wsi Wręcza między Warszawą a Łodzią. Suntago Wodny Świat, bo tak się nazywa ten gigantyczny obiekt, jest większy od Stadionu Narodowego. W trakcie budowy – która kosztowała ponad 720 mln zł – zużyto 38 tys. m sześc. betonu (więcej niż do budowy Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie) oraz 5 tys. ton stali (to więcej niż połowa stali w wieży Eiffla). Do dyspozycji gości jest też sześć restauracji i barów, m.in. z kuchnią polską, amerykańską, włoską oraz japońską, a także z przekąskami dla dzieci. A kompleks z wodnymi atrakcjami to dopiero początek. Suntago Wodny Świat to pierwszy etap większego projektu pod nazwą Park of Poland, czyli wielkiego parku tematycznego. O szczegółach jego budowy inwestorzy na razie nie chcą jeszcze mówić.

ŹRÓDŁA TERMALNE JAK ZŁOŻA ROPY

– Zaledwie 35 minut jazdy samochodem z Warszawy wystarczy, aby dojechać nie tylko do jednego z najlepszych aquaparków na świecie, lecz także aby wyjechać na ekscytujące tropikalne wakacje – podkreśla w rozmowie z „Do Rzeczy" Idan Greidinger, prezes zarządu Park of Poland, który wstępnie szacuje, że Suntago Wodny Świat będzie przyciągał ponad milion gości rocznie. – Polska jest wystarczająco duża, aby taki obiekt

eprasa.pl c63039b557

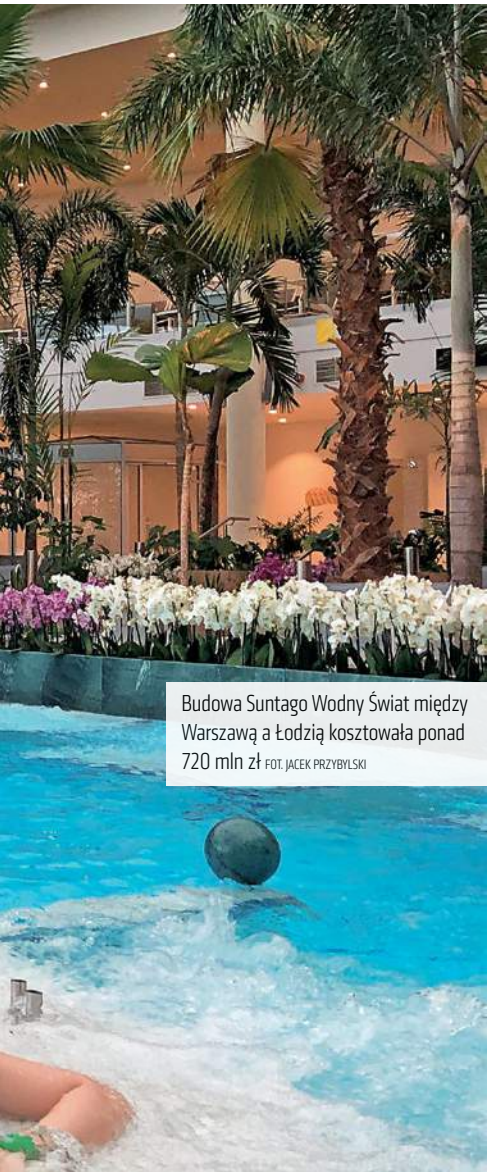

Budowa Suntago Wodny Świat między Warszawą a Łodzią kosztowała ponad 720 mln zł FOT. JACEK PRZYBYLSKI

mógł się utrzymać. Spodziewamy się jednak, że do Suntago będą przyjeżdżać turyści z całej Europy, a nawet ze świata – dodaje. Dla odwiedzających przygotowano 8 tys. szafek.

Z inwestycji cieszy się burmistrz Mszczonowa, na którego terenie zbudowano park wodny. – Odnalezione na terenie naszej gminy źródła wody termalnej są dla Mszczonowa niczym odkrycie złóż ropy naftowej. To wielka szansa dla całej gminy i całego regionu – zauważa Józef Kurek. I podkreśla, że istotna część pracowników Suntago to mieszkańcy jego gminy. W obiekcie pracę znalazło 350 osób.

W Polsce w ostatnich latach powstało bardzo wiele różnego rodzaju kompleksów basenowych ze zjeżdżalniami, sztucznymi falami, saunami. Liczba tych o największych rozmiarach i z największą liczbą atrakcji przekroczyła już 20, a gdyby na mapie zaznaczyć także te nieco mniejsze wodne parki atrakcji i termy, okazałoby się, że jest nimi usiana od morza do Tatr. Nad morzem mamy aquaparki m.in. w Sopocie, Redzie czy Koszalinie. Na Warmii i Mazurach – Termy Warmińskie i Warmia Park. Swój park wodny mają Kraków, Poznań, Kalisz, Łódź, Polkowice, Kutno, Dąbrowa Górnicza, Tychy. W Jeleniej Górze można się wygrzać i pobawić w Termach Cieplickich. Pod Tatrami są Aqua Park Zakopane, Termy Chochołowskie, Termy Bukovina, Terma Bania. Przykłady można mnożyć, a nawet pokusić się o stwierdzenie, że staliśmy się basenową potęgą.

Czyżby Polacy aż tak pokochali spędzanie czasu w basenowych kompleksach? – Nie tyle wszyscy Polacy to pokochali, ile dzieci – mów dr Krzysztof Łopaciński, ekspert w dziedzinie turystyki ze Szkoły Głównej Turystyki i Hotelarstwa Vistula. – Niedawno wśród dzieci z warszawskiego Bemowa w wieku 5–10 lat robiliśmy badanie na temat ich ulubionych miejsc. Z przeszło 800 rysunków większość z nich przedstawiała zjeżdżalnie i wodę. Dzieci widzą takie obiekty w filmach, w telewizji. Wyjście do lasu czy wyjazd nad jezioro może być atrakcyjny dla rodziców, ale już nie dla współczesnych dzieci – mówi dr Łopaciński.

SURFING POD DACHEM

Aquaparki ostro konkurują, jeśli chodzi o proponowane gościom atrakcje. Suntago Wodny Świat, który pod względem powierzchni czy tropikalnej atmosfery utrzymywanej przez cały rok wysunął się na prowadzenie, jest podzielony na trzy strefy tematyczne. Pierwsza z nich to egzotyczna dżungla, w której poza palmami i basenami znajdą się również 32 zjeżdżalnie. Jedna z nich należy do najdłuższych w Europie i liczy aż 320 m – można więc sobie wyobrazić, jakby się zjeżdżało z wierzchołka wieży Eiffla. Jest też krótka, niemal pionowo ustawiona zjeżdżalnia, w której 55 m pokonuje się w błyskawicznym tempie. Całe rodziny lub grupy przyjaciół mogą się też ścigać na zjeżdżalni z ośmioma równoległymi torami. Młodsze dzieci mają zaś do dyspozycji wodny plac zabaw oraz mniejsze zjeżdżalnie. Miłośnicy adrenaliny mogą z kolei spróbować surfingu na maszynie double surf-air. Są również basen ze sztucznie generowaną falą oraz zewnętrzny i wewnętrzny basen termalny z barem.

Kolejne dwie strefy – Saunaria i Relax – to 10 saun oraz łaźni (w tym Akwarium, która może pomieścić naraz nawet 90 osób). W strefie tej są również dwa baseny witalne, grota solna, Koreańska Sala Wypoczynku oraz Mont Blanc, czyli pomieszczenie, w którym panuje temperatura –12 st. C i w którym można się natrzeć naturalnym śniegiem. W strefie Relax można odpocząć wśród palm. Do dyspozycji są też zewnętrzny i wewnętrzny basen z wodami termalnymi oraz jacuzzi, hydromasaże i dwa osadzone w basenie bary. Jest też basen z bogatą w minerały wodą solankową oraz basen siarkowy.

Wieści o atrakcjach Aquaparku Wrocław dotarły nawet za ocean. Zjeżdżalnie obiektu przetestowała ekipa amerykańskiej telewizji Travel Channel. Wrocławski aquapark znalazł się w programie „Xtreme Waterparks" przeznaczonym dla entuzjastów wodnych rozrywek. Przyciąga multimedialną zjeżdżalnią, na której nie tylko można wpaść w porządny poślizg, lecz także obejrzeć świetlne animacje, posłuchać muzyki. – Zjeżdżalnia zakończona jest lejem, do którego wpadają zjeżdżający, co sprawia, że nasz obiekt jest unikalny. Drugą największą atrakcją wybieraną przez naszych gości jest Magic Eye, zjeżdżalnia pontonowa, po której dwa pontony mogą zjeżdżać jednocześnie – podkreśla Anna Lisowska, kierownik ds. Komunikacji i PR Aquaparku Wrocław.

W 2019 r. Aquapark Wrocław odwiedziło 1,74 mln osób, co plasuje stolicę Dolnego Śląska na drugim miejscu spośród najczęściej odwiedzanych w Europie kompleksów tego typu. Najczęściej odwiedzany jest Tropical Islands pod Berlinem.

Kto jednak marzy o spotkaniu oko w oko z drapieżcami, powinien wybrać się do nadmorskiej Redy. Otwarty w lipcu 2016 r. kompleks Aquaparku Reda, który rocznie odwiedza ok. 1 mln gości, to jedyny obiekt w Polsce, w którym można pływać w towarzystwie rekinów. Sprowadzono je specjalnie ze Sri Lanki. Jedna ze zjeżdżalni poprowadzona jest właśnie przez gigantyczne akwarium, w którego obiegu jest 330 tys. litrów wody. Rekiny pływają w nim wraz z innymi rybami. Można je obserwować m.in. przez przezroczyste ściany tunelu zjeżdżalni oraz w basenie do nurkowania. – Rekinami

eprasa.pl c63039b557

Aquapark Reda to jedyny obiekt w Polsce, w którym można pływać w towarzystwie rekinów FOT. MATERIAŁY PRASOWE

opiekuje się kilku przygotowanych do tego akwarystów. Co drugi dzień karmimy je dorszami, śledziami, ośmiorniczkami czy krewetkami, więc nie zdarza się, żeby na oczach gości pożerały inne ryby pływające z nimi w akwarium – wyjaśnia Aneta Mirończuk z Aquaparku Reda.

A rekiny to niejedyne zwierzęta w tym kompleksie. Odwiedzić można także papużarnię czy strefę gadów, do której dołączył niedawno 75-kilogramowy pyton. W kompleksie możemy także skorzystać ze strefy saun i spa, pojeździć na crazy cartsach, wybrać się na seans do kina 7D. Ostatnio do atrakcji, które udostępniono odwiedzającym obiekt, dołączyła obrotowa zjeżdżalnia – jedyna taka w Europie. – Druga taka zjeżdżalnia znajduje się w Chinach, ale tam działa sezonowo – opowiada Aneta Mirończuk z Aquaparku Reda.

Zwiedzenie wszystkiego w jeden dzień jest niemożliwe, dlatego też goście mają do dyspozycji strefę hotelową, dzięki czemu w kompleksie mogą zatrzymać się na dłużej. – Wśród gości Aquaparku przeważają rodziny z dziećmi. Maluchy chętnie korzystają nie tylko ze zjeżdżalni, lecz także z płytkiego basenu ze statkiem pirackim, w którym mogą się bawić – mówi Aneta Mirończuk.

Ofertę hotelową ma też Suntago Wodny Świat. – Praktycznie gotowa jest już wioska wakacyjna. W ciągu kilku tygodni wystąpimy o pozwolenie na użytkowanie. Wtedy będzie tu można przyjechać na dłużej – mówi „Do Rzeczy" prezes Greidinger. Wioska będzie się składać z 92 w pełni wyposażonych domków typu bungalow. W najbliższej przyszłości firma planuje rozbudowę wioski o kolejnych 100 domków. Następnym krokiem jest budowa liczącego niemal 400 pokoi hotelu, połączonego z parkiem wodnym specjalnym tunelem. – Inwestycja jest już na etapie decyzji środowiskowej – dodaje Greidinger.

Ceny dziennych biletów do aquaparków wahają się od ok. 20 do 60 zł w zależności od obiektu, dnia tygodnia, pory roku. Czteroosobowa rodzina, jeśli chce korzystać z dodatkowych atrakcji czy oferty gastronomicznej, musi liczyć się z kosztami całodziennej wyprawy w granicach 200–300 zł. Myli się ten, kto sądzi, że tak ogromnym inwestycjom jak aquaparki trudno się utrzymać. Zwłaszcza te zlokalizowane w okolicach dużych miast potrafią przynosić nawet kilkunastomilionowe zyski. Część z nich to miejskie spółki, często jedne z niewielu, do których samorządy nie muszą dokładać. Jednym z takich przykładów jest Aquapark Fala w Łodzi. W 2018 r. był jedną z zaledwie sześciu łódzkich miejskich spółek z zyskiem (wygenerował 2,5 mln zł). Aquapark Wrocław w 2018 r. miał 13,7 mln zł zysku. – W 2019 r. ze sprzedaży biletów wpłynęło na nasze konto 45 mln zł. Jesteśmy spółką miejską, ale od wielu lat wypracowujemy zysk i wyłącznie z niego się utrzymujemy, nie pobierając funduszy z miasta – mówi Anna Lisowska. Zaznacza, że wstępny zysk netto obiektu za 2019 r. to niespełna 3 mln zł, ale trwa jego rozbudowa, na którą w ubiegłym roku przeznaczono znaczne środki.

Aquaparki – choć z różnym natężeniem – są odwiedzane przez cały rok, bo łączą ruch turystyczny z lokalnym. – Obserwowałem kiedyś tablice rejestracyjne samochodów na parkingu jednego ze śląskich aquaparków. Największą część stanowiły auta mieszkańców okolicznych miejscowości oddalonych od aquaparku o 20–40 km – zwraca uwagę dr Łopaciński.

W Redzie słyszymy, że obiekt odwiedzają turyści z najodleglejszych części Polski. – Szczególnie z województwa kujawsko-pomorskiego i mazowieckiego. Cieszymy się także popularnością wśród turystów z zagranicy – odwiedzają nas Rosjanie, głównie z obwodu kaliningradzkiego, Skandynawowie – zwłaszcza mieszkańcy szwedzkiej Karlskrony – wylicza Aneta Mirończuk.

Anna Lisowska z Aquaparku Wrocław: – W okresie międzyurlopowym przyjeżdżają do nas mieszkańcy Wrocławia i Dolnego Śląska, którzy mają karnety oraz goszczą u nas regularnie, nawet kilka razy w tygodniu. W wakacje, ferie czy długie weekendy przyjeżdżają osoby z całej Polski, a także z zagranicy. Wtedy sprzedajemy więcej biletów całodziennych.

SZCZECIN Z FABRYKĄ WODY

Wiele samorządów za punkt honoru stawia sobie to, by na ich terenie powstał aquapark. Trwa budowa kolejnego kompleksu. Pod koniec ubiegłego roku ruszyły prace nad budową szczecińskiego aquaparku pod nazwą Fabryka Wody. Wykonawca zobowiązał się oddać go w ciągu 30 miesięcy. Na budowę miasto przeznaczyło blisko 450 mln zł.

Istniejące już aquaparki rozbudowują się, poszerzają się o nowe atrakcje, by nie zostać w tyle. Tak jest i w Redzie i we Wrocławiu. Aquapark Wrocław w przyszłym miesiącu otworzy nową zjeżdżalnię. W tym roku chce jeszcze oddać do użytku dwa zewnętrzne baseny rekreacyjne, zewnętrzny płytki basen dla dzieci i kolejne miejsca parkingowe dla klientów. Otwarcie planowane jest na czerwiec.

Doktor Krzysztof Łopaciński zwraca uwagę, że choć basenowych kompleksów mamy już wiele, to rynek nie jest jeszcze nasycony i możemy się spodziewać kolejnych aquaparków. – Może nie będzie już tak dynamicznie przybywać tych największych obiektów. To kosztowne inwestycje. I chociaż producenci sprzętu dla takich parków – w większości zachodni – zachęcają do zakupów, zapewniają instalację, serwis, a nawet preferencyjne kredyty, to potrzebny jest inwestor gotowy wydać dziesiątki czy setki milionów. Spodziewałbym się raczej mniejszych, lokalnych inwestycji – basenów z kilkoma zjeżdżalniami i atrakcjami dla dzieci. Miejsca te będą również poszerzać swoją ofertę o inne atrakcje – małpie gaje, parki linowe, indiańskie miasteczka. Dzieci szybko się nudzą – podkreśla dr Łopaciński.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c63039b557

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2020

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNER

Grupa Inwest®

HM Inwest S.A.

eprasa.pl c63039b557

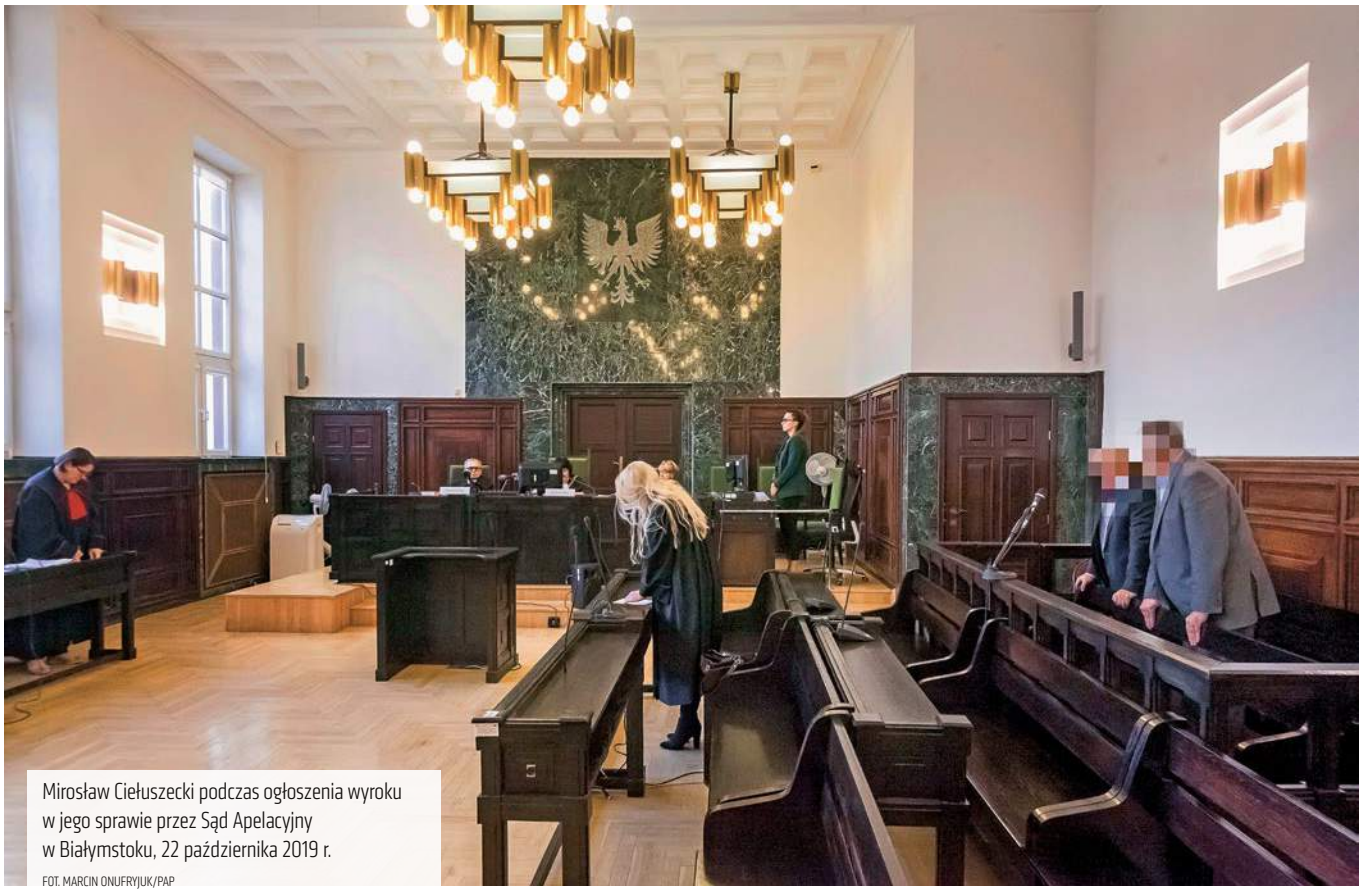

Mirosław Ciełuszecki podczas ogłoszenia wyroku w jego sprawie przez Sąd Apelacyjny w Białymstoku, 22 października 2019 r.

FOT. MARCIN ONUFRYJUK/PAP

Tak niszczy III RP

Przemysław Harczuk

Przedsiębiorca Mirosław Ciełuszecki ma iść do więzienia, bo okradł sam siebie. Jego historia to blisko dwie dekady nękania przez wymiar sprawiedliwości. W tle sprawy są rosyjskie interesy oraz tajemnicza śmierć wybitnego eksperta

Marek Karp – twórca Ośrodka Studiów Wschodnich, wybitny ekspert w sprawach Rosji i krajów byłego ZSRS, którego analizy trafiały na biurka prezydentów USA i Polski, kolejnych rządów Rzeczypospolitej – oraz Mirosław Ciełuszecki, przedsiębiorca, który 20 lat temu ośmielił się wejść do biznesowej ekstraklasy w Polsce. Współpraca tych dwóch ludzi była nie na rękę wielu wpływowym środowiskom, głównie na Wschodzie. Obaj zostali oskarżeni w absurdalnym procesie. Dyrektor OSW został zaszczuty, zmuszony do odejścia z ośrodka. Zmarł kilka tygodni po tajemniczym wypadku samochodowym. Ciełuszecki stracił firmę, zdrowie, majątek. Po blisko 20 latach procesu, pomimo absurdalności zarzutów, został prawomocnie skazany na więzienie. Wniosek o ułaskawienie trafił do prezydenta.

NARUSZONE INTERESY

Na początku lat 90. Mirosław Ciełuszecki wrócił z emigracji, w odpowiedzi – jak sam przyznaje – na apel Lecha Wałęsy, który wezwał Polaków z USA do powrotu do wolnej już Polski. Zarobione w Stanach Zjednoczonych pieniądze zainwestował na Podlasiu. Jego firma w ciągu kilku lat stała się potentatem na rynku chemicznym. Doradcą Ciełuszeckiego był Marek Karp – twórca i dyrektor Ośrodka Studiów Wschodnich. OSW w tym czasie to nie tylko think tank, lecz także instytucja zajmująca się kontaktami gospodarczymi ze Wschodem. Idea była prosta: dążyć do jak największego uniezależnienia państw byłego ZSRS od Moskwy. Firma Ciełuszeckiego była w tym pomocna, ponieważ sól potasową sprowadzała z Białorusi, co odciągało ten kraj gospodarczo od Rosji. Działaniami firmy interesowali się wysocy urzędnicy rządu Jerzego Buzka.

Dyrektor OSW Marek Karp był postacią znaną na całym świecie. Ma na koncie działalność doradczą dla prezydentów USA, Komisji Europejskiej, prezydentów Polski – Lecha Wałęsy i Aleksandra Kwaśniewskiego, kolejnych polskich rządów. Doradzał też firmie Ciełuszeckiego. Spółka

eprasa.pl c63039b557

się rozwijała. Pojawili się jednak niezadowoleni.

KREML, SŁUŻBY, OLIGARCHA PUTINA

Działalność OSW była nie na rękę rosyjskiemu lobby w Polsce. Rosyjskie koncerny Lukoil i Gazprom z niepokojem przyjmowały pomysły alternatywnych form wydobycia gazu (proponowane przez Ciełuszeckiego). Z kolei bezpośrednim konkurentem dla firmy przedsiębiorcy stał się rosyjski oligarcha Dmitrij Rybołowlew – w Rosji określany jako „król nawozów". Rybołowlew to barwna postać. W latach 90. sądzony był w Rosji za związki z zabójstwem biznesowego konkurenta. Został uniewinniony. Mocno za niewinnością Rybołowlewa świadczył jego druh, były pułkownik KGB, wówczas mer Petersburga – Władimir Putin. O możliwych związkach Rybołowlewa ze sprawą Ciełuszeckiego i Karpia pisał kilka lat temu dziennikarz Witold Gadowski. W roku 2020 Rybołowlew jest jednym z najbogatszych Rosjan. Ma miliardy, jego rozwód z żoną i podział majątku były tematem kolorowych pism na Zachodzie. Jest właścicielem klubu piłkarskiego AS Monaco.

Działalność Ciełuszeckiego była też nie na rękę lobbystom związanym z państwowymi spółkami oraz lokalnemu układowi na Podlasiu. – Czuliśmy presję. Było mocne poruszenie, że jakaś tam malutka spółeczka z Podlasia nagle urosła i startuje w ważnych przetargach. To niektórym nie mieściło się w głowie. Z drugiej strony nasza działalność w jakimś stopniu odciągała Białoruś od Rosji, a to było zgodne z linią ówczesnego rządu [AWS-UW – przyp. red.]. Naszą działalnością interesowali się wysocy urzędnicy rządu – wspomina Ciełuszecki.

Sytuacja zmieniła się diametralnie, gdy w roku 2001 do władzy doszedł SLD. MSZ miało inną niż OSW wizję relacji ze Wschodem. Zaczęła się wojna podjazdowa z Markiem Karpiem. „Zrezygnuj, a będzie dobrze" – mieli mówić do dyrektora OSW wysocy urzędnicy ministerstwa. Atmosfera – jak wspomina Ciełuszecki – była coraz bardziej gęsta. – Czuć było w powietrzu, że „coś się wydarzy" – dodaje.

ATAK SŁUŻB

W roku 2002 Ciełuszecki został zatrzymany przez Urząd Ochrony Państwa. Prokurator okręgowy w Białymstoku Sławomir Luks w mediach oznajmił, że „biznesmen Mirosław C. wyrządził szkodę w ogromnym rozmiarze". Przedsiębiorca trafił do aresztu, gdzie spędził osiem miesięcy. Oskarżony w sprawie (ale odpowiadał z wolnej stopy) był także Marek Karp.

Zarzuty wobec Ciełuszeckiego były szokujące. Po pierwsze – miał okraść sam siebie. To znaczy – sprzedał swojej własnej spółce, w której miał 98 proc. udziałów, swoje własne działki. Pieniędzy tych nie wziął dla siebie – tego samego dnia z powrotem wpłacił je na konto spółki. Firma zyskała więc działki i pieniądze z ich sprzedaży. Chodziło o podniesienie kapitału, a więc wartości firmy. Przedsiębiorca mógł równie dobrze wziąć te pieniądze w ramach dywidendy. Wolał jednak podnieść kapitał spółki. To prokuratura uznała za działanie na jej niekorzyść. Działaniem na niekorzyść miało być też to, że przedsiębiorca policzył za działki ok. 7 mln zł, podczas gdy zdaniem prokuratury powinny one kosztować 70 tys. Rzecz w tym, że działki znajdowały się na granicy z Białorusią. Był tam kolejowy terminal przeładunkowy z torów szerokich na wąskie. A więc logicznie patrząc, działki nie mogły kosztować tyle samo co gdzie indziej. Ciełuszecki sprzedając działki, nie kierował się własnym instynktem, ale operatem szacunkowym, przygotowanym przez eksperta, Andrzeja Gierasimiuka. – To do dziś jeden z najlepszych w Polsce rzeczoznawców przy transakcjach handlowych, z jego usług korzystają samorządy, instytucje państwowe – tłumaczy Ciełuszecki. I właśnie według operatu cena wynieść miała tyle, za ile działki sprzedał Ciełuszecki. Co więcej, operat ten został uznany przez urząd skarbowy przy naliczaniu podatku, a potem przez wojewódzki sąd administracyjny. Generalnie w sprawie tej nie ma pokrzywdzonych. A Skarb Państwa na sprzedaży działek… zarobił.

Zarzuty wobec Marka Karpia były jeszcze bardziej absurdalne. Według prokuratury dyrektor OSW fikcyjnie doradzał firmie Ciełuszeckiego i brał za to pieniądze. Zdaniem śledczych Karp „nie miał kwalifikacji", by doradzać takiej firmie. Przypomnijmy, że chodzi o jednego z najwybitniejszych polskich znawców tematyki wschodniej, doradcę polskich i amerykańskich prezydentów, Unii Europejskiej.

Marek Karp został przesłuchany w prokuraturze. Jak zeznała potem pod przysięgą jego żona, jej męża przesłuchiwał prok. Sławomir Luks. W aktach sprawy Luks nie figuruje, za to chętnie wypowiadał się medialnie, przesądzając z góry o winie Ciełuszeckiego. Luks podczas przesłuchania miał – według zeznań żony i relacji Ciełuszeckiego – grozić Karpiowi. Straszyć „wolną celą obok Ciełuszeckiego". Dyrektor OSW mówił znajomym, że „chcą go zabić". We wrześniu 2004 r. Karp uległ wypadkowi samochodowemu. Jego opla vectrę staranowała ciężarówka na białoruskich numerach. Karp w bardzo ciężkim stanie trafił do szpitala. Jednak ku powszechnemu zdumieniu stan zdrowia twórcy OSW zaczął się poprawiać, miał wyjść do domu. W dniu wypisu ze szpitala zmarł.

Proces Ciełuszeckiego toczył się dalej. W jego trakcie doszło do sytuacji kuriozalnej. Orzekający w sprawie asesor (a więc jeszcze nie sędzia) nie dał wiary zeznaniom świadków, zapewniających o niewinności oskarżonych. Świadkowie ci to m.in. Jerzy Buzek, były premier oraz Janusz Steinhoff, były wicepremier. Zbigniew Brzeziński, były doradca prezydenta USA Jimmy'ego Cartera, zadeklarował wolę przyjazdu i zeznawania. Jednak sąd nie uznał za stosowne włączenia go do grona świadków. Powołani przez prokuraturę biegli razili niekompetencją. Jednemu przelew Elixir kojarzył się z płynem. Inny okazał się fałszywym biegłym – uprawnień biegłego został pozbawiony dyscyplinarnie. Była też biegła, która z rozbrajającą szczerością przyznała, że wycena działek jest dla oskarżonego niekorzystna, bo jest stworzona na potrzeby procesu karnego. Gdyby była na potrzeby transakcji handlowych, wówczas wycena byłaby inna.

PROKURATOR Z BIEGŁYM ZGUBILI KOMPUTER

Jedną z najbardziej zaskakujących sytuacji podczas procesu Ciełuszeckiego było zniknięcie komputera z danymi firmy, będącymi dowodami w sprawie. Sprzęt został przekazany prokuraturze. Nie wiadomo, czy zgubili go biegli, śledczy czy może sąd. Chodziło o duży komputer stacjonarny oraz serwer wielkości szafy. Winnych zagubienia dowodów nigdy nie ukarano.

Po kilkunastu latach procesu Ciełuszecki został skazany na trzy lata pozbawienia wolności. W każdej chwili może trafić do więzienia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c63039b557

W drugim sezonie „Narcos: Mexico" paniom poświęcono dużo więcej miejsca niż poprzednio FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Świat jest narkotykiem

Piotr Gociek

Amerykański „Narcos: Mexico" i włoski „Zero Zero Zero" – dwa oblicza tej samej niekończącej się opowieści o wojnie z narkobiznesem

Drugi sezon „Narcos: Mexico" mógłby nosić podtytuł „Kobiety mafii", bo paniom poświęcono w nim – zgodnie z ostatnimi trendami – dużo więcej miejsca niż poprzednio. Siostra braci rządzących przestępczym światkiem w Tijuanie dochodzi do wniosku, że lepiej od nich potrafi zarządzać interesami rodziny. Wściekła na szefa wszystkich szefów dawna kochanka próbuje wymanewrować meksykańskich narco trafficantes i kolumbijskie kartele, kupując towar wprost z dżungli i marząc o własnej sieci dystrybucji. Uroczo bezczelna Amerykanka zarzuca sieci na starego wygę rządzącego bandziorami w Juárez. Kluczową figurą w klanie polityków aspirujących do rządzenia Meksykiem także okazuje się kobieta. Na scenę wraca również żona głównego bohatera, Miguela Angela Felixa Gallardo. Nie dajmy się jednak zwieść, to wciąż świat okrutnych i bezwzględnych macho, w którym nie dziwią dziki tygrys w prezencie, rozjeżdżanie żywych przeciwni-

eprasa.pl c63039b557

ków drogowym walcem albo rozwalanie czaszek kijami baseballowymi.

IMPERIUM FELIXA

Gdy ostatnio widzieliśmy Felixa Gallardo (jak zwykle świetny Diego Luna) u kresu sezonu pierwszego, udało mu się uciec z matni. Poświęciwszy bez mrugnięcia okiem niektórych sojuszników, zdołał wkraść się ponownie w łaski skorumpowanych polityków w stolicy. Odzyskał parasol ochronny, wykręcił się od odpowiedzialności za śmierć amerykańskiego agenta DEA, Kiko Camareny (porwanego, torturowanego i zabitego na zlecenie Gallardo), a – co najważniejsze – zjednoczył meksykańskie grupy przestępcze (tak zwane plazas) w jedną organizację: Federację. Dwa wielkie marzenia Gallardo z trzech tym samym się spełniły. Po pierwsze, przestawił eksport do USA z marihuany na kokainę, co jest o wiele bardziej zyskowne. Po drugie, dokonał czegoś, co nikomu wcześniej się nie udało: został szefem wszystkich szefów podziemia w Meksyku. A trzecie marzenie? Cóż, sny Gallardo są wielkie. Dlaczego miałby zadowolić się rolą pośrednika, który jest opłacany przez Kolumbijczyków za usługi transportowo-przemytnicze? Czy nie lepiej byłoby stworzyć własną sieć dystrybucji w USA, brać od dżentelmenów z Cali zapłatę w towarze, a po pewnym czasie, kontrolując i hurt, i detal, i szlaki przemytnicze, wypchnąć ich z interesu?

Marzenia i plany to jedno, rzeczywistość to drugie. Choć w pierwszym odcinku drugiego sezonu „Narcos: Mexico" Felix Gallardo hucznie obchodzi 40. urodziny i wydawać by się mogło, że jest u szczytu kariery, prawda jest nieco inna. Jest samotnym więźniem swojej luksusowej rezydencji, otoczony przekupionymi politykami, zmuszonymi do posłuszeństwa mafiosami i pięknymi kobietami, ale bez sojuszników, bez przyjaciół, bez biznesowych partnerów. Zresztą sam tego chciał, zna tylko jedną drogę negocjacji – łamanie woli drugiej strony. W dodatku kolumbijscy producenci kokainy trzymają go za gardło, przysyłając towar do przerzucenia przez granice, ale nie spiesząc się z zapłatą. Jakby tego było mało, Amerykanie, szukający pomsty za śmierć agenta Camareny, postanowili zdjąć rękawiczki i wysłali do Meksyku specjalny zespół operacyjny, którym dowodzi agent Walt Breslin (Scoot McNairy). Tak rozpoczęła się operacja „Leyenda", której celem jest ukaranie sprawców cierpień Camareny bez względu na wszystko. Breslin i jego ludzie dostali licencję na porywanie, wymuszanie zeznań i na zabijanie, jeśli sytuacja tego będzie wymagać. Działają w tajemnicy przed meksykańskimi władzami, bo też w ważnych policjantów, wojskowych i polityków będą musieli uderzyć.

BĘDZIE GORZEJ

„Narcos: Mexico" trzyma poziom. W opowieści znajdują się wszystkie elementy, które zapewniły sukces poprzednim sezonom (przypomnijmy, że przed „Mexico" były trzy sezony oryginalnych „Narcos", pierwsze dwa o łowach na Pabla Escobara, trzeci o kartelu z Cali). Ponieważ akcja rozgrywa się w dużym stopniu równolegle z kolumbijską odnogą całej historii, na ekranie pojawiają się gościnnie postacie, które poznaliśmy dużo wcześniej, takie jak „Pacho" Herrera (w tej roli Alberto Ammann), przedstawiciel „dżentelmenów z Cali".

Choć łowy Breslina na Gallardo są główną osią opowieści, to dużo dzieje się na innych planach. Mimo narzuconego przez Felixa pokoju między bandziorami stare urazy biorą górę i jest tylko kwestią czasu, kiedy trup zacznie się gęsto ścielić. Niezwykle ciekawy jest wątek polityczny, bo rak korupcji przeżera Meksyk aż po pałac prezydencki. Wszak głównym powodem, dla którego zapędzony w kozi róg pod koniec poprzedniego sezonu Gallardo odzyskał protekcję władz, jest groźba ujawnienia Amerykanom tego, co wie o skali relacji ministrów i oligarchów z przestępcami. Pod koniec sezonu mnóstwo emocji przyniesie rozgrywka, której stawką jest wynik wyborów prezydenckich w Meksyku – tu „Narcos" zamieniają się w „House of Cards" i robi to serialowi dobrze.

Dla fana oglądanie drugiego sezonu „Narcos: Mexico" będzie zajęciem równie emocjonującym jak śledzenie poprzednich, ci, którzy chcieliby od niego zacząć, będą się czuć zagubieni. Jedna z najchętniej oglądanych produkcji Netflixa zamieniła się już trochę w narkotykową soap operę, w której znani dobrze bohaterowie wchodzą ze sobą w interakcje w ciągle zmieniających się konfiguracjach. Wczorajszy podwładny staje się dzisiejszym przeciwnikiem, dawny wróg tymczasowym sojusznikiem, teoretycznie zapomniane urazy stają się powodem do przyszłych mordów, a liczba osobników zmieniających strony rośnie. W finale zresztą agent Breslin zapowiada, że to, co niesie przyszłość, będzie jeszcze bardziej krwawe. To prawda, po wyeliminowaniu Gallardo i zakończeniu na zawsze jego snu o panmeksykańskiej narkotykowej federacji rozpocznie się wojna karteli trwająca tak naprawdę do dziś.

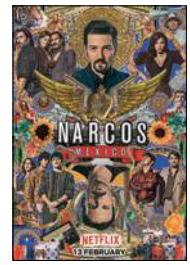

★★★★☆☆
SEZON 2
„NARCOS: MEXICO"
USA 2020, DYSTR. NETFLIX

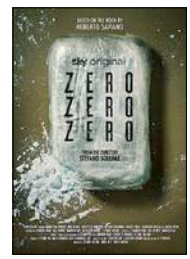

★★★★☆☆
SEZON 1
„ZERO ZERO ZERO"
WŁOCHY 2020, DYSTR. HBO

TYMCZASEM WE WŁOSZECH

HBO zaproponowało w tych dniach widzom własną wersję opowieści o imperium narkotyków. Serial „Zero Zero Zero", którego pierwsze odcinki polska publiczność już poznała, to produkcja inspirowana książką Roberta Saviano pod tym samym tytułem. Za serial odpowiada ta sama ekipa, która nakręciła wcześniej chwalony przez widzów i krytyków serial „Gomorra" (także według książki Saviano). Pieniądze, oprócz włoskiego kanału Sky Atlantic, wyłożyły także Canal+ i Amazon Studios. „Zero Zero Zero" to jednak opowieść zupełnie inna od „Gomorry".

„Jak kokaina rządzi światem" – taki podtytuł dał swemu zbiorowi reportaży Saviano. I w emocjonalnych słowach objaśniał: „Świat to okrągłe ciasto, które rośnie. Rośnie dzięki ropie naftowej. Rośnie dzięki koltanowi. Rośnie dzięki gazowi. Rośnie dzięki Internetowi. Jeżeli odjąć wszystkie te składniki, świat może opaść, zmniejszyć objętość. Istnieje jednak składnik, który jest szybszy od wszystkich i którego wszyscy pragną. A jest nim koka. Roślina, która idealnie łączy Amerykę Południową z Włochami. Która przemierza Atlantyk niczym guma. Guma, którą można rozciągać bez końca, a ona nigdy się nie zerwie. Korzenie tu, liście tam. Koka jest tym składnikiem, bez którego żadne ciasto nie mogłoby istnieć". Saviano postawił sobie trudne zadanie opisania globalnego „narkokapitalizmu".

eprasa.pl c63039b557

Twórcy „Zero Zero Zero" podeszli do zadania bardziej artystycznie niż ekipa stojąca za „Narcos". Kadry są bardziej filmowe, dialogów jest mniej, narracja nie jest linearna, a ponurą atmosferę potęguje muzyka FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Nie można jednak nakręcić fabuły o zjawisku, potrzebni są bohaterowie. Twórcy serialu „Zero Zero Zero" wprowadzili (na razie) na ekran trzy wątki. W pierwszym główną figurą jest ukrywający się w podziemnym schronie stary boss kalabryjskiej 'Ndranghety, którego zdetronizować pragnie młode pokolenie rzezimieszków. Drugi wątek to dzieje amerykańskiej rodziny Lynwoodów. Rodzeństwo Emma (Andrea Riseborough) i Chris (Dane DeHaan) próbuje po śmierci ojca (Gabriel Byrne) utrzymać familijny biznes spedycyjny. Ich nowoorleańska firma dysponuje tysiącami kontenerów na całym świecie, tyle tylko, że najważniejszym towarem, który przerzucają, jest kokaina. Jest i wątek trzeci, tu poznajemy oddział elitarnych meksykańskich wojaków tropiących narkobaronów. Jeden z żołnierzy pracuje tak naprawdę dla gangsterów. Wyrzuty sumienia (a ma na nim wiele grzechów śmiertelnych) zabija, słuchając religijnych pogadanek. Losy wszystkich bohaterów splotą się wokół cennego ładunku – 5 tys. puszek z kokainą ukrytych na należącym do Lynwoodów kontenerowcu płynie do Europy.

DWIE HISTORIE, JEDEN MORAŁ

Twórcy „Zero Zero Zero" podeszli do zadania bardziej artystycznie niż ekipa stojąca za sukcesem „Narcos". Kadry są bardziej filmowe, dialogów jest mniej, ponurą atmosferę potęguje muzyka grupy Mogwai, narracja nie jest linearna. W serialach, tak jak w kinie, różnica między komercyjnym produktem z Hollywood a tzw. poważną europejską rozrywką (o ile można tak nazwać „Zero Zero Zero") jest widoczna. Mimo oczywistych różnic w klimacie i w podejściu do tematu produkcje te uzupełniają się nawzajem.

Włoscy scenarzyści dopowiadają to, co sygnalizowali nam wcześniej twórcy „Narcos", aczkolwiek nie skupiali się na tym wątku. Wszak w dziejach imperium kokainowego kartelu z Cali, a potem Felixa Gallardo, pojawiały się niezbędne do prowadzenia brudnego biznesu banki, firmy wydmuszki, biznesowi partnerzy z prawdziwych korporacji. Dobrym przykładem jest w drugim sezonie „Narcos" zakup przez przemytników z Tijuany firmy pośredniczącej w załatwianiu pracy meksykańskim sprzątaczkom czy kelnerkom. Legalny biznes wykorzystany zostaje do przerzucania przez granicę białego proszku w ilościach hurtowych, choć każda z tysięcy kurierek ma przy sobie tylko odrobinę. Liczy się skala przedsięwzięcia. Firma Lynwoodów to też jak najbardziej prawdziwe i legalne przedsiębiorstwo, tyle tylko, że bardziej rentowne dzięki swej nielegalnej działalności. „Narkokapitalizm", powtórzmy raz jeszcze, tworzy skomplikowaną pajęczynę równoległej gospodarki – gospodarki narkotykowej.

W „Narcos" mamy komu kibicować, bo od pierwszego sezonu oryginalnej serii obserwujemy rozgrywkę między stróżami prawa a przestępczym imperium. W „Zero Zero Zero" na razie poznaliśmy jedynie osobników niegodnych naszej sympatii. Trudno kibicować rodzinie Lynwoodów, skoro wiemy doskonale, jak ponurego świata są częścią. Jako produkt popkultury „Narcos" więc wygrywa, lecz gdy chodzi o zimną analizę świata mroku – lepszy jest „Zero Zero Zero".

KRWAWA ROZRYWKA

Tak czy inaczej wojna z narkotykami to idealny wehikuł dla popkultury, więc na pewno jeszcze niejeden sezon niejednego serialu przed nami. Nie tylko dlatego, że rzecz dotyczy konfliktu, który wciąż trwa, a stawką są gigantyczne pieniądze. Przede wszystkim dlatego, że narkofabuły rozwiązują największy problem zawodowych opowiadaczy historii: skąd brać odpowiednią liczbę odpowiednio atrakcyjnych czarnych charakterów. Trudno wymyślić nowego Dartha Vadera po tym, jak się go już raz w „Gwiezdnych wojnach" ukatrupiło, trudno wykreować równie mrocznego Saurona na potrzeby kontynuacji „Władcy pierścieni". Dobry produkt pop tymczasem czarnym charakterem stoi, nie bez powodu złowrogi Blofeld i jego SPECTRE nieustannie powracają w kolejnych odsłonach bondowskich filmów, choć lata i dekady mijają.

W świecie walki z narkobiznesem selekcja naturalna sprawia, że na miejsce Pabla Escobara wchodzą „dżentelmeni z Cali", gdy ich sława blednie na nieboskłonie, rozbłyskuje gwiazda Felixa Gallardo. Kiedy Gallardo trafi za kraty, próżnię po jego imperium wypełni konsorcjum zorganizowane przez Amada Carrilla Fuentesa (w „Narcos" gra go, znakomicie zresztą, José María Yazpik), kontrolującego kluczowe dla przemytników miasto Juárez. Tymczasem w meksykańskiej prowincji Sinaloa rośnie już w siłę Joaquín „El Chapo" Guzmán, najokrutniejszy i najpotężniejszy (w swoim czasie) z nich wszystkich. I tak dalej. Wszystko gotowe do tego, by dostarczać emocji mieszczuchom w zgrabnym serialowym opakowaniu (cóż z tego, że nieco okrwawionym).

„Co do kokainy – pisał Robert Saviano – to zażywa ją ten, kto właśnie siedzi obok ciebie w pociągu, i wziął, żeby się obudzić dziś rano, albo szofer za kierownicą autobusu wiozącego cię do domu, bo chce zrobić nadgodziny, nie czując kłucia w szyjnym odcinku kręgosłupa. Co do kokainy, to zażywa ją ten, kto jest najbliżej ciebie. Jeśli nie twój ojciec ani matka, jeśli nie twój brat, w takim razie na pewno twój syn. Jeśli nie twój syn, to szef firmy. Albo jego sekretarka, która wciąga tylko w soboty dla rozrywki".

Pewnie niektórzy także przy serialach z HBO albo Netflixa.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c63039b557

ORLEN

PARTNER
STRATEGICZNY
VIII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2020

STRAŻNIK PAMIĘCI

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

eprasa.pl c63039b557

Rodzina Chrystusa, lata 1677–1679

FOT. ARKADIUSZ PODSTAWKA/MUZEUM NARODOWE WE WROCŁAWIU

Orfeusz grający zwierzętom, ok. 1670 r.

FOT. ARKADIUSZ PODSTAWKA/MUZEUM NARODOWE WE WROCŁAWIU

Michael Willmann, czyli

Piotr Semka

Muzeum Narodowe we Wrocławiu po raz pierwszy zgromadziło w jednym miejscu aż 92 obrazy Michaela Willmanna (1630–1706). Wystawa „Willmann. Opus magnum" wzmacnia przekonanie badaczy, że był największym malarzem barokowym Śląska

Postać Willmanna intryguje polskich historyków sztuki od ponad 60 lat. Dużą część jego obrazów – schowanych przez Niemców przed wejściem Rosjan – odnalazł po wojnie na Dolnym Śląsku prof. Stanisław Lorentz. Większość z nich trafiła do Muzeum Narodowego w Warszawie, skąd w ciągu kolejnych dziesięcioleci systematycznie trafiały do Muzeum Narodowego we Wrocławiu. Odnalezione przez władze po wojnie obrazy Willmanna z Lubiąża zostały oddane przez Ministerstwo Kultury w 1952 r. warszawskiej kurii metropolitalnej, która rozdzieliła je między stołeczne kościoły. Trudno się dziwić tej decyzji. Zniszczone w powstaniu warszawskim świątynie utraciły przedwojenne płótna. Ozdobienie ścian kościoła pw. Wszystkich Świętych na placu Grzybowskim czy św. Stanisława Kostki na Żoliborzu poniemieckimi obrazami z Dolnego Śląska wydało się wtedy zadośćuczynieniem za straty dokonane przez barbarzyńców z Niemiec. Jednocześnie z biegiem powojennych lat zaczęły się pojawiać wątpliwości, czy obrazy Willmanna są w Warszawie elementem zbiorowej świadomości kulturowej? Czy poza swoim śląskim kontekstem klasztorów w Lubiążu, Krzeszowie lub Henrykowie tak samo silnie oddziałują na wiernych czy też są „na wygnaniu"?

Piotr Oszczanowski – dyrektor wrocławskiego Muzeum Narodowego i jednocześnie kurator wystawy „Willmann. Opus magnum" – skłonił metropolitę warszawskiego kard. Kazimierza Nycza i bp. warszawsko-praskiego Romualda Kamińskiego, by wypożyczyli stołeczne dzieła Willmanna na jedną wielką wystawę we Wrocławiu. Chodziło o to, by wraz z dziełami artysty, które pozostały na Dolnym Śląsku, dać szansę wszechstronnej oceny talentu malarza na podstawie obrazów zgromadzonych w jednym miejscu.

Pierwszą wystawę dzieł Willmanna wrocławskie Muzeum Narodowe zorganizowało już w 1959 r., ale złożyły się wtedy na nią tylko 24 obrazy. Żeby zobaczyć jego talent w pełnej skali i rozmachu, trzeba było odpowiednio dużego miejsca. Wykorzystano do tego niedawno oddaną do użytku halę Pawilonu Czterech Kopuł we Wrocławiu. W ogromnych salach, zaprojektowanych raczej dla sztuki nowoczesnej niż

eprasa.pl c63039b557

Święty Grzegorz (fragment), lata 1695–1696

FOT. ARKADIUSZ PODSTAWKA/MUZEUM NARODOWE WE WROCŁAWIU

śląski Rembrandt

baroku, na tle olśniewającej bieli potęga sztuki Willmanna uwodzi i porusza.

DZIECIĘ EPOKI

W czasach, gdy w 1630 r. Michael Willmann przyszedł w pruskim Królewcu na świat, nic nie było letnie. Ludzie traktowali swoje poglądy religijne bardzo poważnie. Konflikt między katolicyzmem a reformacją nadawał silne piętno epoce. Szwedzi walczyli z Polską o panowanie nad Bałtykiem.

Willmann urodził się w rodzinie kalwińskiej – jego ojciec, Christian Peter Willmann, był malarzem, matka – szlachcianką. W Prusach elektorskich, które formalnie były wtedy lennem Rzeczypospolitej, dominowali luteranie. Kalwini byli mniejszością. Świat protestancki, po płonącej emocjami epoce ikonoklazmu, dopiero oswajał się z powrotem do łask malarstwa w krajach reformacji.

Z racji wyznania ojca po nauce pod jego okiem młody Michael wybrał na dalsze miejsce do szlifowania malarskiego warsztatu kalwińską Holandię. W Niderlandach trwała wtedy złota epoka malarstwa. Willmann przeżył jednak gorzkie rozczarowanie. Nie stać było go na naukę w najlepszych pracowniach Amsterdamu i Lejdy, takich jak warsztat Rembrandta, który przeżywał wtedy szczyt kariery. Dwuletni pobyt w krainie tulipanów nie był jednak czasem straconym. Willmann pilnie obserwował i studiował dzieła Rubensa i Rembrandta. Z czasem wyjdzie na jaw, jak wiele skorzystał z uważnego oglądania prac najlepszych mistrzów.

Z Holandii, w ramach podróży artystycznej po Europie, trafił poprzez Niemcy i Polskę na Dolny Śląsk. Tu w latach 1656–1660 uśmiechnęło się do niego szczęście. Znalazł hojnego patrona w postaci Arnolda Freibergera (1589–1672), opata cysterskiego klasztoru w Lubiążu (po niemiecku – Leubus), i wsparł swym pędzlem rekatolicyzację tych ziem.

Opat Arnold Freiberger był przedsiębiorczym i skutecznym zakonnikiem. Odbudował zespół klasztorny, który w czasie wojny 30-letniej spalili wpierw protestanccy żołnierze z Saksonii, a potem dzieła zniszczenia dokończyli Szwedzi. Plan odbudowy Lubiąża był imponujący. Stworzył największe opactwo cysterskie na świecie i jedno z największych założeń klasztornych w ówczesnej Europie. Jego fasada była dłuższa nawet od hiszpańskiego Eskurialu. Opat Freiberger miał doskonałe koneksje na dworze w Wiedniu, co owocowało sutymi dotacjami, wiedział też, że życzeniem cesarza Ferdynanda III jest rekatolicyzacja Dolnego Śląska, po wieku dominacji reformacji. Freiberger zdawał sobie sprawę z tego, że zdobycie rządu dusz przez katolicyzm nie uda się bez najlepszych artystów. Szybko poznał się na talencie Willmanna. Kalwińskie wyznanie malarza go nie odstraszało. Sam Freiberger urodził się w 1589 r. w podberlińskim wtedy Spandau w rodzinie luteranów i dopiero z czasem nawrócił się na katolicyzm. Dał więc Willmannowi pierwsze zamówienia i efekty były wspaniałe. Pierwsze obrazy artysty oparte na teologii katolickiej, takie jak „Koronacja Maryi" z 1656 r., malował jeszcze nominalny kalwin. W 1663 r. przeszedł na katolicyzm. Od tej pory zamówienia płyną do niego ze wszystkich stron Śląska i Czech. Jego obrazy zdobią ratusz we Wrocławiu, ale najbardziej zachwycony był

eprasa.pl c63039b557

nim zakon cystersów. Oprócz Lubiąża, gdzie osiadł na stałe, ozdabia klasztory w Henrykowie i Krzeszowie. Nie odmawia też, gdy zamówienia napływają z Berlina i Królewca, gdzie ceni go elektor pruski Fryderyk Wilhelm. Dla Hohenzollerna maluje apoteozę władcy jako patrona sztuk.

Gdy zaczyna się nowy wiek XVIII, Willmann zmaga się z podagrą i maluje coraz mniej. Pomaga mu dwóch zdolnych uczniów – pasierb i wnuk. Gdy umiera w 1706 r., po niemal pół wieku pobytu w Lubiążu – zakonny kronikarz pożegna go w swej kronice jako „śląskiego Apellesa", nawiązując do nazwiska najsłynniejszego malarza starożytności. W uznaniu jego artyzmu, wbrew regule zakonu, zostaje złożony obok czcigodnych opatów w krypcie klasztornego kościoła Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Lubiążu. Spokój jego pochówku zakłóci po prawie 240 latach Armia Czerwona, której żołnierze wyrzucą stare kości z trumien w poszukiwaniu złota. Dzisiaj spoczywa znów w spokoju w krypcie. Szczątki mistrza rozpoznać było stosunkowo łatwo – jego ciało jako jedno z niewielu uległo mumifikacji.

Ukrzyżowanie św. Andrzeja Apostoła, 1662 r.

FOT. ARKADIUSZ PODSTAWKA/MUZEUM NARODOWE WE WROCŁAWIU

WIARA, CIERPIENIE, UKOJENIE

Willmann tworzył w epoce wojen i okrucieństw. Rzuca się to w oczy już w pierwszej sali wystawy, gdzie zgromadzono cykl „Męczeństwo apostołów", wykonany w latach 1661–1663 dla klasztoru w Lubiążu.

Oto kat wznosi topór nad głową św. Macieja. Obok św. Andrzej zostaje przybity do rozwidlonego krzyża. Święty Juda Tadeusz ginie pod gradem ciosów zadanych kijem. Święty Szymon powieszony głową w dół zostaje rozpłatany jak tusza świńska na haku rzeźnika.

Na tym ostatnim obrazie znamienny akcent. Oto koń perskiego namiestnika nadzorującego kaźń płoszy się. Jak pisze w katalogu wystawy popularyzator sztuki Michał Montowski: „Zwierzę wyraźnie zaniepokoiło się, wystraszyło się tym, co dzieje się z męczennikiem". Koń okazuje więcej lęku i odrazy wobec mordu niż zebrani ludzie. I jeszcze jeden mocny akcent. Na obrazie „Męczeństwo św. Bartłomieja" po płat skóry zdartej z męczennika schyla się pies oprawcy.

Dziewięć obrazów – o wymiarach prawie trzy metry na cztery – uderza swoim naturalizmem. Ludzie chłodni religijnie niekiedy chcą widzieć w tej dosłowności obrazów martyrologicznych jakąś chorą skłonność katolicyzmu do makabry. Jednak równie dobrze można uznać, że te pokazywanie bez osłonek okrucieństwa wobec świętych miało przypominać, jakich ofiar wymagała wierność Bogu. Willmann malował swe obrazy parenaście lat po końcu wojny 30-letniej, w której katoliccy kapłani byli torturowani i mordowani. W 1619 r. w Koszycach podczas tortur zamęczono trzech księży, kanonizowanych dopiero przez Jana Pawła II. W kolejnym roku św. Jan Sarkander był w Ołomuńcu rozciągany na tzw. skrzypcu, przypalany pochodniami, a w końcu jego głowę zmiażdżono w specjalnym imadle. Protestanci też wyliczali wtedy swoje ofiary – np. kobiety i dzieci zabite po zdobyciu Magdeburga.

Willmann mógł o tych wszystkich koszmarach słyszeć w czasie swoich wędrówek po Niemczech. Obrazy orgii mordu były dlań równie aktualne jak dla pamiętającego zbrodnie hitlerowców pokolenia takich twórców jak Andrzej Wróblewski czy Bronisław Linke.

Jednak większość obrazów Willmanna na wystawie to obrazy świętych i motywy znane z katolickiej ikonografii.

Stajemy przed obrazami pełnymi spokoju i miłości. Oto choćby św. Józef wręczający kwiat lilii – symbol bezgrzeszności – dzieciątku Jezus pod ufnym okiem Maryi. Tuż obok „Miłosierny Samarytanin" z 1695 r. Wybawca troskliwie polewa oliwą rany umęczonej ofiary napadu. Głowa młodzieńca znajduje miękkie oparcie na kolanie podróżnika.

Na innym obrazie ku czci św. Grzegorza – Duch Święty pod postacią gołębia szepce coś do ucha papieża znanego z mądrości i erudycji. I wreszcie poruszające płótno „Dysputa św. Katarzyny" z ok. 1682 r. Willmann namalował urodziwą, wykształconą kobietę, która w starożytnej teologicznej dyspucie, w obecności cesarza Maksencjusza, jako wyznawczyni Jezusa obala tezy 50 pogańskich filozofów. Płótno, które pokazuje, jak silny szacunek dla kobiet miał ówczesny świat katolicki, gdy mizoginizm bywał wtedy częściej przywarą protestantów z kalwinami na czele.

Wystawa przytłacza widza kolorami, bogactwem tematyki i dramatyzmem dzieł. I takie było zamierzenie ludzi Kościoła zamawiających dzieła w epoce kontrreformacji. Historyk sztuki Barbara Bastek tak opisuje w katalogu wystawy tajemnicę siły malarstwa Willmanna: „Dzieła tego artysty wymagają zatrzymania i uważnego patrzenia. Postacie, ich wzajemne relacje, przedmioty, poszczególne elementy pejzażu – wydobywają się u Willmanna z mroku, pomiędzy nimi występuje delikatna gradacja światła i cienia. Emocje wygrane są za pomocą środków malarskich subtelnych i chyba zbyt trudnych w swej morfologii, aby zostały docenione przez nieprzygotowanych widzów".

Dokładnie tak samo było z Rembrandtem. Jest paradoksem, że Willmannowi nie dane było zostać jego uczniem. Jednak nowicjusz z Królewca niejednokrotnie zauważał w obrazach Rembrandta to, co, naśladując mistrza, przeoczyło wielu jego uczniów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Willmann. Opus magnum" w Pawilonie Czterech Kopuł we Wrocławiu potrwa do 26 kwietnia. Szczegóły na: www.mnwr.pl.

eprasa.pl c63039b557

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

100 % polski produkt

V EDYCJA KONKURSU

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA, KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL

PARTNER GŁÓWNY

ORLEN

eprasa.pl c63039b557

Czarodziej szklanego ekranu

FOT. FILIP BLAŻEJOWSKI/FORUM

Tomasz Zbigniew Zapert

16 lutego odszedł w wieku 87 lat Jerzy Gruza. W rubryce „Zawód" wpisywał: „Reżyser". Był też jednak scenarzystą, dyrektorem, aktorem, pisarzem, bywalcem...

Warszawiak z urodzenia. 1 września 1939 r. zamiast pierwszego szkolnego dzwonka usłyszał wycie syren i eksplozje bomb. Wysiedlony po powstaniu via obóz w Pruszkowie wylądował na wsi, a po przejściu frontu – w Łodzi, gdyż „po rodzinnym domu przy ulicy Tarczyńskiej pozostały jedynie – nomen omen – gruzy". Do stolicy powrócił z dyplomem reżyserii filmówki. Akurat raczkowała TVP i znalazł pierwsze zatrudnienie. „Lubię wracać do tzw. okresu romantycznego w Telewizji Polskiej, kiedy partia nie zdawała sobie zupełnie sprawy z możliwości i rangi nowego medium. [...] Pracowali tam wówczas ludzie głównie powyrzucani z innych miejsc. Tworzyliśmy paczkę pełnych zapału nowicjuszy".

Pierwsze kroki skierował tam ku Melpomenie. „Jerzy Gruza w Teatrze Telewizji to oddzielna księga, spektakle inteligentne, nowoczesne, otwierające przed tym gatunkiem nowe tory, dbające o widza, starające się znaleźć nowy język telewizyjny w danym momencie i dla danej literatury, ale przede wszystkim to przedstawienia z prawdziwymi kreacjami aktorskimi: Bogumiła Kobieli, Marka Walczewskiego, Tadeusza Łomnickiego, Zbigniewa Cybulskiego, Gustawa Holoubka, Krzysztof Kolbergera, Bronisława Pawlika, i tak można by było wymienić obsady reżyserowanych przez Niego 59 spektakli Teatru TVP. Było i jest co oglądać!" – napisała Ewa Millies-Lacroix, dyrektor Agencji Kreacji Teatru TVP.

„WOJNA DOMOWA" Z „CZTERDZIESTOLATKIEM"

Jednocześnie Gruza kształtował pośród rodaków gusta rozrywkowe. Jako reżyser festiwalu piosenki krajowej w Opolu świadkował narodzinom muzycznych legend: Anny German, Czesława Niemena, Krzysztofa Klenczona, Marka Grechuty... Współtworząc międzynarodowy festiwal piosenki w Sopocie, umożliwił Polakom bliski kontakt z gwiazdami formatu globalnego: Charles'em Aznavourem, Boney M., Demisem Roussosem. Wspominał: „W 1980 r. impreza przypadła w tym samym okresie co dramatyczny strajk w Stoczni Gdańskiej. Wszyscy byliśmy w ogromnym napięciu. Zwłaszcza orkiestra czeska, której członkowie bali się, że wybuchną w Trójmieście jakieś strasznie krwawe historie. [...] Wówczas też otrzymałem karę finansową za to, że na scenie Ałła Pugaczowa wyszła i przeżegnała się. Emocji dostarczyła Gloria Gaynor, jej szlagier »I Will Survive« w Polsce, w czasach budzącej się Solidarności, nabrał zupełnie nowych konotacji (na Zachodzie utożsamiały się z nim... środowiska homoseksualne)".

W kanonie telewizji pozostanie także w roli pioniera programów łączących show z teleturniejem. „Poznajmy się", „Małżeństwo doskonałe", „Kariera" czy „Runda" biły ówczesne rekordy oglądalności. Niektóre odcinki szczęśliwie zachowały się w archiwach. Urzekają inteligentnym żartem, pełną wdzięku improwizacją oraz nowinkami technicznymi w rodzaju ukrytej kamery. Wraz ze współscenarzystą i z flagowym

eprasa.pl c63039b557

konferansjerem tych programów Jackiem Fedorowiczem (do legendy przeszedł jego wygłoszony przed kamerami apel do widowni w studiu: „Wszyscy panowie, którzy są mężczyznami, ręka w górę") Gruza otrzymał swój pierwszy Złoty Ekran.

Kolejny zawdzięczał „Czterdziestolatkowi" – serialowi wyjątkowo trafnie ilustrującemu gierkowską dekadę, ozdobionemu wykonawczym kunsztem Andrzeja Kopiczyńskiego, Anny Seniuk (czyli małżeństwa Karwowskich) oraz przewijających się przez ich życie Ireny Kwiatkowskiej (brawurowa Kobieta Pracująca), Wojciecha Pokory (hydrolog-intrygant Gajny), Romana Kłosowskiego (zżerany ambicją technik budowlany Maliniak) tudzież Jana Gałązki (przewidujący dozorca Walendziak).

Reżyserii filmowej doświadczył zrazu za sprawą „Wojny domowej". Ekranizacji prozy Marii Zientarowej, pod którym to pseudonimem kryła się Mira Michałowska, żona Jerzego, PRL-owskiego dyplomaty. Gruza już wówczas – połowa lat 60. – wykazał się rzadką umiejętnością kompletowania optymalnej dla danego projektu obsady aktorskiej. W tym przypadku dwu sąsiadujących ze sobą rodzin (Irena Kwiatkowska i Kazimierz Rudzki oraz Alina Janowska i Andrzej Szczepkowski). Kto wie, czy w pamięci telewidzów najbardziej nie utkwił domokrążca (Jarema Stępowski) indagujący głównych bohaterów o „suchy chleb dla konia".

TERCET PÓŁKOWNIKÓW

Mniej szczęścia miał Gruza w kinie. Debiutancki „Dzięcioł" (1970) zyskał na wartości dopiero niedawno, gdy zasygnalizowany tam zaborczy feminizm stał się niemalże naszym chlebem powszednim. Powstała dwa lata później ekspresyjna „Przeprowadzka", ponury wizerunek społeczeństwa, któremu władza gwarantuje wszystko, ale po prawdzie to nic, doczekała się premiery dopiero w karnawale Solidarności. Wtedy też wyemitowano „Przyjęcie na 10 osób plus 3", moim zdaniem filmowe magnum opus reżysera, adaptację opowiadania Jana Himilsbacha o bezrobotnych, rzekomo w Polsce Ludowej nieistniejących, wplątanych w kwadraturę koła PRL-owskiej gospodarki, z niezrównanym Zdzisławem Maklakiewiczem (śpiewającym balladę własnego autorstwa „Małe piwko"!) oraz sekundującymi mu Leonem Niemczykiem i Wiesławem Dymnym. „Noc poślubna w biały dzień" (1981), w założeniu satyra na stosunki w Polsce u schyłku rządów towarzysza Sztygara, przeistoczyła się w rejestr zachowań osób opętanych okazywaniem wyższości nad otoczeniem i także zyskała zaszczytne miano półkownika, doczekując się premiery już w III RP.

Dwukrotnie podążał Gruza w stronę surrealizmu. Razem z początkującym w reżyserskim rzemiośle eksdyskdżokejem Jackiem Bromskim zrealizował w międzynarodowej koprodukcji musicalową wersję „Alicji w Krainie Czarów" Lewisa Carrolla, a potem – ze znacznie lepszym skutkiem – sięgnął po inną brytyjską klasykę literacką, a więc „Pierścień i różę" Williama Thackeraya, angażując m.in. Bernarda Ładysza, relegowanego w stanie wojennym z Teatru Wielkiego (za przypomnienie mało zaszczytnej wojennej karty ówczesnego szefa placówki Roberta Satanowskiego, notabene generała). Skądinąd nasz najwybitniejszy bas zaistniał także (Tewje Mleczarz) w „Skrzypku na dachu" inscenizowanym przez Gruzę na deskach Opery Narodowej już w wolnej Polsce. Po 13 grudnia 1981 r. reżyser nie miał ochoty pracować w umundurowanej TVP, przyjmując ofertę dyrektorowania Teatrowi Muzycznemu w Gdyni, gdzie osiągnął niemałe sukcesy, wystawiając musicalowe hity: „My Fair Lady", „Jesus Christ Superstar", „Les Misérables", „Hair", „West Side Story"...

RZYMSKA DATA URODZENIA

Przełom ustrojowy w Polsce ściągnął go ponownie do Warszawy i po 20 latach wskrzesił „Czterdziestolatka". Kontynuacja nie zyskała przychylności ani krytyki, ani widowni, chociaż trzeba przyznać, że perypetie Karwowskich et consortes zmagających się z bolączkami okresu transformacji oglądane ćwierć wieku po premierze zyskały na wartości. Czy podobny los czeka kolejne serialowe przedsięwzięcie twórcy – „Tygrysy Europy" – z Januszem Rewińskim ucieleśniającym prymitywnego nuworysza znad Wisły?

Zapytany o produkcje, których się wstydzi, odparł: „»Gulczas, a jak myślisz...« i »Yyyreek!!! Kosmiczna nominacja«. Obie były na zlecenie prywatnego producenta, [...] krytycy sądzili, że popieram reality show, i krytykowali mnie za zatrudnianie naturszczyków – uczestników »Big Brothera«".

Zawsze udzielał się towarzysko (u progu lat 90. był współwłaścicielem modnego w gronie cyganerii lokalu Scena), brylował na wernisażach, pokazach, rautach, galach. Pozował na playboya – w dobrym tego słowa znaczeniu. Hołdował markowej odzieży, lecz i niedopiętej koszuli. Zazwyczaj towarzyszyły mu artystyczny nieład fryzury, jaskrawy szalik albo chusteczka w butonierce. Panie – na ogół blondynki – magnetyzował czarującą konwersacją.

Na emeryturze chwycił za pióro. Nierzadko sięgam na domowej biblioteki po jego wspomnienia, zapiski, szkice skrzące się sarkastycznym dowcipem – wizytówką autora. Jeden z tych pełnych retrospekcji i dygresji tomów ofiarował w Czytelniku krytykowi literackiemu Henrykowi Berezie z dedykacją: „Dziękuję za możliwość siedzenia przy Twoim stoliku, mimo różnicy płci". Obraził się. W innym zrelacjonował mocno zakrapiany i urozmaicony wizytami niewiast kawalerski żywot (lata 50.) w wynajętym lokum dzielonym wspólnie ze… Zbigniewem Herbertem. W kolejnym ujawnił, że w scenie seksu w „Przeprowadzce" Olgierdowi Łukaszewiczowi towarzyszyła… córa Koryntu. „Aktorka grająca główną rolę powiedziała, że się nie rozbierze. Były to czasy, w których artystki szły na ustępstwa niechętnie – ciało niech gra inna, ja mam talent. Wobec tego służyła zaledwie głową. Co zrobić z resztą? Udałem się do hotelu Cracovia, przeprowadziłem tam selekcję, popracowałem nad materiałem, przez jakiś czas go oswajałem, no i wreszcie pojawiła się na planie zdjęciowym".

W swych zapiskach okazał się jednak również wytrawnym obserwatorem współczesności: „Polski aktor w zagranicznym filmie. Opowiada żona. – To bardzo ciekawa rola. W pierwszej scenie mąż leży pijany w Paryżu. W drugiej to samo na Ibizie. W trzeciej podnosi go z podłogi Sophie Marceau. Mąż jest bardzo odpowiedzialnym artystą. Intensywnie przygotowuje się do roli. Wczoraj miał delirkę". Inny aktor: „wybierał imię dla swojego syna: Oskar, Wiktor, Feliks. Żona aktora, znana gwiazda telenoweli, żałowała, że nie urodziła im się córka, mogłaby mieć na imię Telekamera". Nawet jeżeli ta dykteryjka nie jest prawdziwa, to oddaje ducha epoki, w której żyjemy. Podobnie jak jedno z ostatnich wyznań tego wirtuoza telewizji: „Od pewnego czasu podaję datę swego urodzenia w cyfrach rzymskich. Dlaczego? Ponieważ niewielu potrafi ją odczytać".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c63039b557

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Francuska choroba

Gdzie te czasy, gdy Paryż był natchnieniem buntowników? Współcześni zadymiarze znad Sekwany rewolucyjny romantyzm mają w pogardzie. Dobrze wiedzą, że świata nie zmienią, wyżywają się więc w aktach bezrozumnej agresji. Żeby było zabawniej, ich przeciwnikiem jest państwo, powołujące się na ideały z 1789 r. Hasło: „Wolność, równość, braterstwo" wypisane na fasadach urzędów straciło jednak sporo powabu, odkąd wspiera je policyjna pałka.

Dwa lata temu obchody rocznicy zdobycia Bastylii trwały dłużej niż zwykle, bo Francuzi świętowali zwycięstwo na mundialu. Rozanieleni kibice, wymachując trójkolorowymi flagami, śpiewali „Marsyliankę". Pochód patriotów przez Pola Elizejskie kojarzył się z triumfalnym marszem gen. de Gaulle'a w uwolnionym od Niemców Paryżu, choć wtedy w tłumie nie widziano tylu obywateli z afrykańskim i arabskim rodowodem.

Sportowe emocje łączą, ale na krótko. Nad ranem imigranci oraz ich potomkowie wrócą do blokowisk, prześpią się, ochłoną i zrozumieją, że nic się zmieniło – nadal są Francuzami gorszego sortu. Tak zaczyna się szarpiący nerwy dramat, który w kinach nad Sekwaną oglądano równie chętnie jak romantyczne komedie. Wbrew tytułowi z „Nędznikami" film ma wspólnego tylko tyle, że akcja rozgrywa się w Montfermeil, gdzie wychowywała się przybrana córka Jeana Valjeana.

Na upartego można się dopatrzyć kilku postaci, skrojonych na podobieństwo nawróconego galernika. Czarnoskóry mer, szef bractwa muzułmańskiego i miejscowy mafioso mają ambicje rządzić blokowiskiem i pilnować porządku. Takie rozwiązanie byłoby nawet lepsze dla mieszkańców, gdyż nadgorliwi stróże prawa swoimi interwencjami dolewają tylko oliwy do ognia.

Rewolucje często zaczynają się z błahego powodu. W tym wypadku sprawa jest poważna: ktoś ukradł lwiątko z cyrku. Dowódca policyjnego patrolu, z aparycji i temperamentu podobny do Putina, rusza do akcji. Boi się tylko jednego: że jego wyczyny ktoś nagra i wrzuci do sieci. Ten koszmar oczywiście się ziści. Jeden z nastolatków sprawił sobie drona, by podglądać sąsiadki, lecz nie zawaha się go użyć także pro publico bono.

Ladj Ly sympatyzuje z wykluczonymi. Swój reżyserski debiut opatrzył mottem: „Nie ma złych ludzi ani złych roślin, są tylko źli ogrodnicy". Tako rzecze Victor Hugo, lecz wymyślony przez pisarza komisarz Javert działał jednak w warunkach mniej ekstremalnych. Trudno zachować zimną krew, gdy w twoją stronę lecą kamienie i butelki z benzyną. Finał nastraja fatalistycznie: dorasta nowe pokolenie chętnych do podpalania samochodów i rabowania sklepów. ©℗

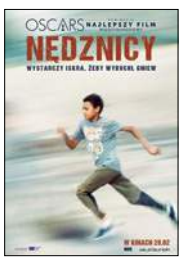

★★★★☆☆

REŻ. LADJ LY „NĘDZNICY" („LES MISÉRABLES") FRANCJA 2019

wyst. Damien Bonnard, Alexis Manenti, Djibril Zonga

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „W LABIRYNCIE"

Donato Carrisi, włoski autor bestsellerów kryminalnych, zadebiutował trzy lata temu jako reżyser filmem „Dziewczyna we mgle" (2017) według własnej powieści, z Jeanem Reno w jednej z głównych ról. Teraz zekranizował kolejną, namawiając do współpracy Dustina Hoffmana. Rzecz o porwanej przed laty dziewczynie, której pamięć jest kluczem do schwytania seryjnego mordercy. Jej oprawca stworzył dziwaczny labirynt, w którym ją przetrzymywał. ©℗

Piotr Gociek

- ***„W labiryncie", reż. Donato Carrisi, wyst. Dustin Hoffman, Toni Servillo, Valentina Bellè, Włochy 2019***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Emma", reż. Autumn de Wilde, Wielka Brytania 2020***
- ***„Sonic. Szybki jak błyskawica", reż. Jeff Fowler, USA 2020***
- ***„Swingersi", reż. Andrejs Ēķis, Polska 2020***

eprasa.pl c63039b557

Człowiek na torach

W pogoni za nowoczesnością kolej bezpowrotnie utraciła dawny charme, który dodawał blasku takim arcydziełom jak „Morderstwo w Orient Expressie" czy „Pociągi pod specjalnym nadzorem". Resztki niegdysiejszego wdzięku przetrwały jedynie na obrzeżach cywilizacji, w krainach z pogranicza snu i jawy. Tam wciąż obowiązują rozkłady jazdy z czasów towarzysza Chruszczowa i patriarchalny savoir-vivre (choć prawdziwi mężczyźni są towarem deficytowym).

Nawet w bajce przychodzi jednak taki moment, że trzeba odejść na emeryturę. Maszynista Nurlan znajduje sobie nowy cel w życiu. Podczas ostatniego kursu lokomotywa zaczepiła o sznurek z suszącą się damską bielizną. Zdobyczny biustonosz mocno działa na wyobraźnię ekskolejarza, któremu doskwiera samotność. Próbując odnaleźć jego właścicielkę, stosuje fortele godne pana Zagłoby.

Wbrew pozorom „Staniczek" nie jest prezentem dla fetyszystów ani nową wersją opowieści o Kopciuszku. Veit Helmer od lat próbuje przestawić zwrotnicę, zwrócić kinu utraconą niewinność. Jak wiadomo, całe zło zaczęło się od udźwiękowienia, więc tu wszyscy milczą. Słowa są zresztą zbędne, gdy fabułę weźmie na swe barki aktor klasy Predraga Manojlovicia. Uroczy film z jakże prawdziwą puentą. Nurlan jak Kolumb znalazł nie to, czego szukał. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆

REŻ. VEIT HELMER
„STANICZEK" („THE BRA")
NIEMCY/ AZERBEJDŻAN 2018

wyst. Predrag Manojlović, Denis Lavant, Paz Vega

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

TAK JAK W KINIE

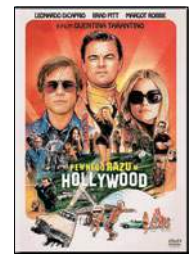

★★★★★☆

REŻ. QUENTIN TARANTINO
„PEWNEGO RAZU... W HOLLYWOOD"
USA 2019, IMPERIAL

wyst. Leonardo DiCaprio, Brad Pitt, Margot Robbie

Film nakręcony z wielką miłością do dawnego kina i z olbrzymią pieczołowitością, jeśli chodzi o historyczne szczegóły. Tarantino w jednym ze swych najciekawszych dzieł wraca do Hollywood pamiętnego roku 1969, kiedy to wyczyny bandy Mansona i fatalny koncert w Altamont symbolicznie zakończyły bardzo krótką epokę dzieci kwiatów. Chociaż w opowieści Quentina pojawiają się i Sharon Tate (Margot Robbie), i Roman Polański (Rafał Zawierucha) oraz wiele innych prawdziwych postaci, to reżyser „Pulp Fiction", podobnie jak w „Bękartach wojny", swobodnie miesza fakty i fikcję, tworząc opowieść o przemijaniu w fabryce snów i o tym, że w celuloidowe sny zanurzamy się, bo przynajmniej na ekranie sprawiedliwość może zwyciężyć, a zło sczeznąć. Znakomite kreacje tworzą Leonardo DiCaprio i Brad Pitt (obaj otrzymali oscarowe nominacje, ale tylko Pitt statuetkę), kapitalne są muzyka i niespieszny rytm opowieści oraz – jak zwykle u Tarantino – dialogi.

WŚRÓD CUDOWNYCH STWORÓW

★★★★★☆

SEZON 1
„KIPO I DZIWOZWIERZE"
USA 2020, DYSTR. NETFLIX

film animowany

Nowy animowany serial Netflixa zachwyca bezczelnością i wyobraźnią. Rzecz dzieje się w postapokaliptycznej przyszłości, kiedy to ludzie żyją w podziemnych miastach, Ziemią zaś władają przedziwne zmutowane bestie. Żaby w krawatach, węże grające rock and rolla, koty, które zamieniły się w drwali, wilki obserwujące gwiazdy i gromadzące wiedzę naukową. Wszyscy lękają się zaś gigantycznych zmutowanych psów, żółwi oraz... królików. Kipo to nastolatka poszukująca drogi do domu, w czym pomagają jej wychowana wśród wilków dziewczyna, luzacki chłopak z walkmanem, jego dziwaczny kumpel, larwa, oraz sześcionoga i czterooka świnka. Brzmi to jak kompletny odjazd i takie właśnie jest – absurdalne, pełne dziwacznych przygód i bardzo zabawne. Niestety, zabawę psuje trochę wciśnięty na siłę do fabuły wątek gejowski. Wyjątkowo nieodpowiedni, bo bohaterka ma 12 lat i – jak mniemam – typowi widzowie tej serii tyle samo. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „TANK MECHANIC SIMULATOR"

★★★★☆☆

Marzyliście kiedyś, żeby wyciągnąć z bagna dobrze zakonserwowanego tygrysa albo T-34, a później żmudnie odrestaurowywać go w zaciszu własnego warsztatu? Ja tak, ale nawet jeśli ktoś nie podziela tych egzotycznych pasji albo siłą rzeczy czołgu akurat nie wykopał, nadarza się fantastyczna okazja, żeby poczuć „co by było gdyby". „Tank Mechanic Simulator" to kolejna gra studia DeGenerals, w której wcielamy się w rolę złotej rączki, tyle że zamiast aut czy samolotów na warsztat bierzemy maszyny bojowe z drugiej wojny. Wykręcamy śruby, smarujemy stare łożyska, malujemy i wstawiamy do muzeum. Niszowe, acz ciekawe. ©℗

Marcin Makowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *Symulator*
- ***Platforma:*** *PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *DeGenerals/PlayWay*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *3+*

eprasa.pl c63039b557

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Godność kobieca

Autorka tych wspomnień, Zofia z Odrowąż-Pieniążków Skąpska, swój „Dzienniczek" spisywany w okresie narzeczeństwa rozpoczęła w styczniu 1898 r. tak: „Dziwne jest serce kobiece, a szczególnie młodych istot. Doprawdy dziwne – potrzeba tylko małej iskierki, gdy ta wpadnie bodajby tylko w głąb myśli tlejąc… zatarga, podżega ją i zapada się w człowieku uczucie, które może objąć nie tylko umysł, ale przenosi się w miejsca wygodniejsze, wciska się w komórki serca, wpada w duszę. Czyż się ze mną tak stało? Nie jeszcze! A czy się tak dzieje? Możliwe!". Pierwsze cztery słowa: „Dziwne jest serce kobiece" posłużyły jej wnukowi, Rafałowi Skąpskiemu, znanemu edytorowi, wieloletniemu prezesowi Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek, za tytuł do opublikowanych obecnie – niezwykle starannie! – wspomnień jego babki, przepisanych z rękopisu, z interesującym wstępem, komentarzami i przypisami.

Ślub pani Zofii z Janem Skąpskim odbył się równo dwa lata po tym, jak zapisała tamte słowa, 9 stycznia 1900 r. Panna młoda miała 18 lat. Zanim stanęła na ślubnym kobiercu, swoje przeszła… Dowiadujemy się na przykład, jaką burę otrzymała od ciotki, gdy po usłyszeniu: „Zosiu, Pan Jan oświadczył się o twoją rękę i cóż ty na to?", odpowiedziała: „Ależ wiem o tym, dobrze". Ciotunia orzekła, że naraziła ją tym samym na wielki wstyd, gdyż postąpiła, jakby nie była dobrze wychowana. „A co miałam odpowiedzieć?" – zapytała zgnębiona dziewczyna. „Zastosuję się do woli cioci" – usłyszała.

Przywołuje tę zabawną w istocie ramotkę przede wszystkim dlatego, że wbrew temu, czego się można było spodziewać, podobnych jej nie znajdziemy tu wiele.

FOT. ARCHIWUM RAFAŁA SKĄPSKIEGO

„Dziwne jest serce kobiece…" to książka bardzo serio, przy tym sprawiająca pewne kłopoty z jej zakwalifikowaniem, bo to po części pamiętnik, wspomnienia spisywane po latach, trochę dziennik, a jeśli ktoś się uprze, to też reportaż. Do tego wszystkiego uzupełniony bardzo ciekawym aneksem w postaci m.in. listów licznych członków rodziny. A we wspomnieniach autorki tylko do 1920 r. (zmarła w roku 1961) odnotowanych jest aż 750 nazwisk!

Była pani Zofia osobą nietuzinkową. To zresztą nieadekwatne określenie dla tej kobiety o niesłychanie szerokich zainteresowaniach, utalentowanej pianistce i pisarce, społecznicy, świetnej gospodyni, matce siedmiorga dzieci.

Swoje wspomnienia pani Zofia zaczęła spisywać w Hebdowie, wsi w gminie Nowe Brzesko w powiecie proszowickim. Sądecczyzna jest zresztą tą ziemią, która we wspomnieniach tych funkcjonuje na równych prawach z bohaterami opowieści. „W lipcu 1903 r. – pisze Rafał Skąpski – obejmują z mężem dzierżawę, najpierw Łososiny Dolnej (do lipca 1909), a następnie Brzeznej (gdzie gospodarują od kwietnia 1908 do maja 1920 r.). Zmusza to Zofię do kolejnej przemiany, do bezpośredniego zarządzania gospodarstwem, nadzoru nad pracami domowymi i ogrodowymi. Ale przede wszystkim troszczy się o męża i o szybko powiększającą się rodzinę. Poprzez praktykę uczy się racjonalnego gospodarstwa, wyszukuje i propaguje wszelkie w tej materii nowinki. Organizuje uroczystości patriotyczne, koncerty, recytacje, sama występując z recitalami pianistycznymi. W roku 1913 brała udział w zjeździe kobiet polskich w Krakowie, któremu przewodniczyła żona księcia Andrzeja Lubomirskiego – Eleonora. Wspiera męża tak w jego pracy zawodowej, jak w działalności społecznej. Pasjonuje ją szerzenie oświaty wśród wiejskich dziewcząt. Wraz z mężem włącza się w budowę Szkoły Gospodyń Wiejskich w Podegrodziu. Obok męża oraz Stefanii i Adama Stadnickich i Marii Brezowej zostaje członkinią rady kuratorów tej szkoły. Zofia i Jan Skąpscy zakładają Dom Ludowy na Litaczu w Brzeznej". I tak dalej, i temu podobnie.

Pojawiają się w tych wspomnieniach znane postaci, jak choćby Józef Piłsudski, ale wyłącznie wtedy, gdy przebywa on gdzieś w okolicy, blisko Sącza. A np. przewrotu majowego nie odnotowuje, bo przecież miał on miejsce gdzieś daleko.

Warto przebić się przez te skrupulatnie odtworzone zapiski, obejmujące w rzeczywistości życie aż pięciu pokoleń. „W życiu Zofii z Odrowąż-Pieniążków – powiada rekomendujący książkę Wiesław Myśliwski – nie brak zdarzeń tragicznych. Z godnością jednak znosi śmierć dwojga dzieci, jak i lata wojny, która na terenie Sądecczyzny przebiegała wyjątkowo okrutnie. Pisze o tym wszystkim w sposób rzeczowy, konkretny, niekiedy drobiazgowy, wciągając nas w swój świat, tak że mamy wrażenie, jakbyśmy w tamtych czasach żyli". ©℗

★★★★★☆

ZOFIA Z ODROWĄŻ-PIENIĄŻKÓW SKĄPSKA „DZIWNE JEST SERCE KOBIECE… WSPOMNIENIA GALICYJSKIE" CZYTELNIK 2019

eprasa.pl c63039b557

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Przyszłość, czyli wojna

Osiemnastu wydawców odrzuciło kiedyś tę powieść, a większość z nich argumentowała: nikt nie będzie chciał czytać książki science fiction o wojnie w Wietnamie. Nie mieli racji. „Wieczna wojna" stała się klasyką, a wznawiana dziś wciąż znajduje nowych czytelników, z których większość zainteresowana jest Wietnamem tyle co zeszłorocznym śniegiem. Zresztą redukowanie jej tylko do odreagowania konfliktu przez autora, który sam brał w nim udział, jest mocno krzywdzące. Tak jak „Paragraf 22" Hellera nie jest powieścią o drugiej wojnie światowej, lecz o chaosie życia, tak i „Wieczna wojna" zaczyna się jak metafora wojny w ogóle, a kończy jako medytacja na temat losów ludzkości i przemian, które niesie przyszłość. Przemian, które sprawią, że ludzki gatunek zmieni się całkowicie.

Szeregowy Mandella (w trakcie rozciągniętej na stulecia fabuły mocno awansuje) jest jednym z wielu żołnierzy toczących w imieniu Ziemi walkę z obcymi – Taurańczykami. O przeciwniku wiadomo niewiele, więc za każdy zdobyty gram doświadczenia i wiedzy trzeba płacić krwią. O ile wroga można czasem wystrychnąć na dudka, o tyle praw przyrody już nie. Chociaż w międzygwiezdnych podróżach pomagają podprzestrzenne skoki między wybranymi układami, to fizyka jest bezlitosna – na Ziemi w tym czasie mijają dekady, a potem wieki. Wojna zmusza biorące w niej udział strony do wynalazczej inwencji (któraż nie zmuszała!), a artykułem, który najtrudniej jest zastąpić, okazują się ludzie. Co będzie miało brzemienne skutki zarówno dla przyszłości konfliktu, jak i dla samej ludzkości. Kiedy Mandella już jako oficer opuści armię, trafi do nowego wspaniałego świata, w którym dla takich jak on przewidziano już jedynie rolę muzealnych eksponatów. Co do wojny z Taurańczykami – cóż, przeczytacie, zobaczycie sami.

„Wieczna wojna" jest najlepszym dziełem w sporym dorobku Haldemana. Chociaż napisał także jej kontynuację, to nigdy już nie zbliżył się do poziomu, który w niej osiągnął. Unikatowa kombinacja talentu, wyobraźni, frustracji i wrażliwości oraz prywatnego doświadczenia sprawiła, że akurat w tym punkcie czasu powstała tak wyjątkowa opowieść. „Nazwanie jej najlepszą powieścią wojenną SF byłoby krzywdzącym niedopowiedzeniem" – pisał William Gibson. Miał rację. ©℗

★★★★★☆
JOE HALDEMAN
„WIECZNA WOJNA"
REBIS 2020

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Nieukończona książka nieco zapomnianego dziś modernisty, która miała być ciągiem dalszym jego powieści „Zeno Cosini". Svevo, przyjaciel Jamesa Joyce'a, fetowany wraz z Izaakiem Bablem, zasługuje na pamięć i lekturę.

ITALO SVEVO
„WYZNANIA STARCA"
SIC!

Klasyka nieznana. Relacja młodego pisarza z wędrówki od kanału Holmen na kraniec wyspy Amager. Był to jego debiut książkowy. Ani on, ani współcześni nie sądzili wtedy, że przejdzie do historii jako autor baśni.

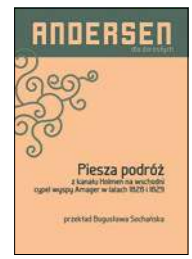

HANS CHRISTIAN ANDERSEN
„PIESZA PODRÓŻ..."
WYDAWNICTWO DRIADA

Tom 25. znakomitego cyklu powieści kryminalnych, których bohaterem jest inspektor Alan Banks. Czy coś łączy podejrzane samobójstwo młodej studentki i śmierć bankiera, którego ciało znaleziono na moczarach?

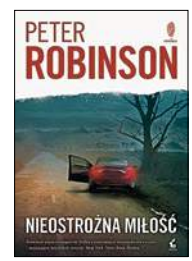

PETER ROBINSON
„NIEOSTROŻNA MIŁOŚĆ"
SONIA DRAGA

Wznowienie klasycznej pracy o słowiańskiej demonologii. To popularne wprowadzenie w temat wydane zostało w 1981 r. i cieszy się niesłabnącym, zasłużonym zainteresowaniem czytelników. ©℗

poleca Piotr Gociek

BOHDAN BARANOWSKI
„W KRĘGU UPIORÓW I WILKOŁAKÓW"
REPLIKA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Remigiusz Mróz „Głosy z zaświatów" (Filia) – tom drugi cyklu o patomorfologu Sewerynie Zaorskim (pierwszym były „Listy zza grobu").***
2. ***Blanka Lipińska „Ten dzień" (Edipresse Książki) – tom drugi opowieści erotyczno-kryminalnej rozpoczętej przez „365 dni" (patrz niżej).***
3. ***Heather Morris „Podróż Cilki" (Marginesy) – kontynuacja „Tatuażysty z Auschwitz". Cilka po trzech latach w niemieckim piekle trafia do sowieckiego łagru.***
4. ***Blanka Lipińska „365 dni" (Edipresse) – film w kinach, książka znów na listach bestsellerów. Pytanie „Ale właściwie po co?" dotyczy obu wersji.***
5. ***Magda Knedler „Położna z Auschwitz" (Mando) – powieść inspirowana dziejami Stanisławy Leszczyńskiej, która odebrała w kacecie 3 tys. porodów.***

(Najchętniej kupowane książki w Polsce od 26.01 do 1.02.2020 r. według Nielsen BookScan Polska)

eprasa.pl c63039b557

FOT. WOJCIECH GRZĘDZIŃSKI

Pożegnanie z niemożliwym

Rodzeństwo Sienkiewiczów – Kasia i Jacek – jako Kwiat Jabłoni zaczęło grać w 2018 r. W lutym ubiegłego roku ukazał się ich pierwszy album „Niemożliwe" i bardzo szybko po tym debiucie robienie muzyki przerodziło się z hobby w zajęcie na cały etat. W grudniu album pokrył się złotem, a Kasia i Jacek obiecali „kolejną płytę i duuużo koncertów w 2020 r.". Drugą część tej obietnicy spełnia po części trasa koncertowa, w którą Kwiat Jabłoni rusza z początkiem marca.

„Pożegnanie z niemożliwym" to seria koncertów, w której zespół wystąpi z piosenkami znanymi z debiutanckiego albumu. Przetestuje też w boju nowe utwory, które mają się znaleźć na następnej płycie. Nie trafią one szybko do radia i Internetu, więc jedyną okazją do ich posłuchania będą w najbliższych miesiącach występy na żywo. „Pożegnanie z niemożliwym" to 20 koncertów w 18 miastach. Gdy piszę te słowa, większość biletów jest już wyprzedana.

Kasia gra na instrumentach klawiszowych, Jacek – na mandolinie, zajmuje się również tworzeniem muzyki elektronicznej. Oboje śpiewają i piszą teksty. Wcześniej występowali wspólnie w Hollow Quartet, ale dopiero w duecie jako Kwiat Jabłoni zaczęli wyprzedawać koncerty do ostatniego miejsca. Pomógł w tym pierwszy singiel – „Dziś późno pójdę spać", który „chwycił" od razu. „Większość ludzi zna nas z jednego utworu" – mówili muzycy w jednym z wywiadów z 2018 r., gdy „Dziś późno..." miało już prawie 2 mln wyświetleń na YouTube. Teraz ma ich ponad 13,5 mln, a inne piosenki Kwiatu Jabłoni po kilka milionów.

Poprzeczka przed drugą, planowaną na jesień, płytą wisi wysoko, ale to ambitny duet. W końcu niedaleko pada jabłko od jabłoni. Wspominałem, że tata Kasi i Jacka ma na imię Kuba? ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Zrób to sam

Australijski Tame Impala to zespół nie zespół. Na scenie tworzy go pięciu muzyków, w studiu zaś wszystko spoczywa w rękach Kevina Parkera, który nie tylko jest autorem materiału, lecz także nagrywa wszystkie instrumenty samodzielnie.

Początkowo była to grupa rockowa, inspirowana muzyką psychodeliczną lat 60. Jednak z każdym kolejnym albumem Parker skłaniał się ku bardziej współczesnym rytmom, które jednak zabarwiał analogowymi klawiaturami. Producenckie wizje Kevina sprawiły, że błyskawicznie nawiązał współpracę z gwiazdami światowego popu, takimi jak: Lady Gaga, Kanye West, Mark Ronson, a nawet Mick Jagger.

„The Slow Rush" to niezwykle osobisty album. Parker opisuje na nim zarówno romantyczne rozczarowania, śmierć ojca, jak i pyta o swoje miejsce w świecie. W podkładach stworzył lśniącą ścieżkę dźwiękową, w której rozbrzmiewają retrodyskoteka, synth pop i epickie neoprogresywne ballady. Słychać też echa sceny Madchesteru i brzmień Daft Punku. Kevin śpiewa piosenki tęsknym, choć nieszczególnie olśniewającym falsetem. Dzięki zwielokrotnieniu głosu udaje mu się jednak stworzyć monumentalnie brzmiące harmonie wokalne. Całość okrasza house'owym fortepianem, gumowymi bitami, bulgoczącymi rytmami i magicznymi melodiami. W finałowej „One More Hour" pojawiają się majestatyczne gitarowe akordy. To potężny utwór przywołujący patos najlepszych utworów Supertramp. ©℗

★★★★★★

TAME IMPALA
„THE SLOW RUSH"
INTERSCOPE

★★★★★★

JERZY MILIAN
„STIGMA 1970"
GAD

Wibrafonista i kompozytor wsparty NRD-owskimi muzykami zarejestrował w lipcu 1970 r. najbardziej awangardowe nagrania w karierze. Wizje Miliana na styku jazzu i sonorystyki, wówczas niedoceniane przez rodzime środowisko, dziś zachwycają różnorodnością.

★★★★★★

JUSTIN BIEBER
„CHANGES"
DEF JAM

Słodki młodzieniaszek przeistoczył się w wytatuowanego tlenionego blondasa. Kanadyjczyk czaruje aksamitnym głosikiem, więc fanki będą mdleć masowo. Mnie zemdliło po piątej, singlowej balladce „Yummy", a do końca zostało jeszcze 11 uczuciowych snujów. ©℗

eprasa.pl c63039b557

PRENUMERATA 2020 W CENIE 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIK „DO RZECZY"
I MIESIĘCZNIK
„HISTORIA DO RZECZY"

WERSJE PAPIEROWE TYGODNIKA I MIESIĘCZNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

W PREZENCIE
KSIĄŻKA

JACEK KOWALSKI
„ŚREDNIOWIECZE. OBALANIE MITÓW"

~~730~~ZŁ > **282,00**ZŁ < OSZCZĘDNOŚĆ 454ZŁ

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR. 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl c63039b557

Marek Jan Chodakiewicz

Rufmord to zabójstwo postaci, czyli zniszczenie moralne człowieka poprzez szerzenie dezinformacji. W Polsce dotyczy to szczególnie Antoniego Macierewicza, bodaj najbardziej znienawidzonego polityka prawicy

FOT. FILIP BŁAŻEJOWSKI/GAZETA POLSKA/FORUM

Chodzi o stworzony ok. 1978 r. przez lewackiego przeciwnika „mój obraz mściciela, destruktora i nie wiem, czego jeszcze" – wspomina Antoni Macierewicz. Gdyby nie jej charcząca nienawiść, dezinformacja – sącząca się i okresowo wybuchająca wulkanicznie – na temat prawicowego polityka brzmiałaby jak żydowskie szmoncesy albo audycje Radia Erewań.

Oto kilka przykładów. Potwarz: rodzina Macierewiczów swój dom w Warszawie za szmalcowniczy bezcen przejęła od rodziny żydowskiej w czasie drugiej wojny światowej. Fakt: dziadek Macierewicza, Adam, kupił dom w 1938 r. W 1945 r. skonfiskowali go komuniści i do dziś nie oddali. Pomówienie: Antoni ochrzcił się dopiero w obozie internowania w 1982 r. Prawda: ochrzczono go w Warszawie, tuż po urodzeniu w 1948 r., a w 1982 r. ochrzczona została jego córka. Oskarżenie: w 1968 r. w śledztwie Macierewicz sypał. Rzeczywistość: to na niego donoszono i jego inkryminowano. On zaprzeczał wszystkiemu, mało mówił. Dezinformacja: Antoni Macierewicz jest zboczeńcem, który został przyłapany na „molestowaniu małych dziewczynek", o czym SB powiadomiła ulotkami jego sąsiadów. Informacja: jednego razu, aby uciec ubekom, „wyszedłem ucharakteryzowany i w przebraniu kobiecym, w otoczeniu dwóch pań, wyjściem, które nie było używane".

Plotka: na studiach był zwolennikiem Che Guevary. Wyjaśnienie: uczył się o różnych sprawach, a w tym i o anarchizmie, i komunizmie. U Che Guevary zgłębiał taktykę walk partyzanckich jako narzędzia do wyzwolenia Polski. Przecież poznawanie rozmaitych propozycji intelektualnych jest standardowym podejściem myślącego człowieka, aby łatwiej było w praktyce życiowej. W podobny sposób z myślą Che Guevary zapoznał się Osama bin Laden. Z idei foquismo/foco (komórki rewolucyjne) wywiódł swój pomysł „bazy" (Al-Kaida). Czy islamista był komunistą? To prawda jednak, że Antoni Macierewicz fascynował się Ameryką Łacińską, szczególnie Inkami. Zna nie tylko hiszpański, lecz także i keczua. Chciał się z tego doktoryzować, ale komuna go do studiów doktoranckich nie dopuściła. Zresztą Macierewicz wrócił do tego tematu w obozie internowania w 1982 r. I znów nie dokończył, bo uciekł komunistom.

eprasa.pl c63039b557

Odtrutka na kłamstwa o Macierewiczu

Z tego wątku wywodzi się też jedno z największych kłamstw o Macierewiczu. Sprzedał je postpeerelowski dyplomata, z korzeniami w WSI, Zbigniewowi Romaszewskiemu: „Antoni Macierewicz studiował w Hawanie na ówczesnej komunistycznej akademii im. Che Guevary i otrzymał tam doktorat za pracę o Fidelu Castro". Tylko słowa „Antoni Macierewicz" są prawdziwe w tym cytacie.

I tak można ad infinitum. Sprawy drobne, upierdliwe, śmieszne, poważne i wielkie na temat tego polityka – z tzw. mediów głównego ścieku można właściwie bez wyjątku spodziewać się tylko takich wydumanych rewelacji.

WIELKI WERYFIKATOR

Skorygować ten szkalujący obraz postanowił Jerzy Kłosiński w autoryzowanej biografii „Macierewicz: Człowiek do zadań niemożliwych". Tak nazywał bohatera tej pracy śp. Jan Olszewski i to właśnie z tej książki zaczerpnąłem cytowane na początku słowa Antoniego Macierewicza.

Przyznaję się bez bicia, że red. Jerzy Kłosiński był moim szefem w Tysolu. A Antoniego Macierewicza znam chyba jakieś 45 lat, bo gdy miałem z 10 lat, to mnie rodzice zaciągnęli do jakiegoś blokowiska na spotkanie podziemnej „Gromady Włóczęgów". Stąd moje zainteresowanie tą biografią.

Jerzy Kłosiński wcielił się w rolę Wielkiego Weryfikatora. Sprawę ma ułatwioną, chociaż robota brodzenia w szambie jest wyjątkowo nieprzyjemna. A mechanizm wygląda tak: na Antoniego Macierewicza wylewa się wiadra pomyj, a Jerzy Kłosiński to weryfikuje. Czyta, konfrontuje i sprawdza dokumenty, wspomnienia, artykuły oraz monografie. Pyta świadków, również samego zainteresowanego. W tym właśnie sensie Jerzy Kłosiński ma łatwo. Trudno jest natomiast ze względu na dezinformacyjny fetor. Pochodzi on z kilku źródeł krajowych i zagranicznych: komuna, postkomuna, różowi, tzw. lewica laicka oraz wszyscy, którzy im dają wiarę, świadomie czy nieświadomie idąc na lep dezinformacji.

Nie ma się co dziwić. Większość – bez względu na poziom edukacji – nie jest w stanie samodzielnie przetrawić zalewu informacyjnego. To jest nowa „mgła wojny", tutaj wojny informacyjnej. Niewiele się przez nią przebija. Nie wiadomo zwykle, co się dzieje. Większość polega więc na źródłach, którym ufa. A więc tym, do których jest przyzwyczajona, które ukształtowały jej idee, które potwierdzają jej odruchowe uprzedzenia bądź preferencje oraz które mają zwykle największe natężenie i zasięg. Z tych powodów większość nie weryfikuje informacji pochodzących z zaufanych źródeł.

Jaki wynurza się obraz Antoniego Macierewicza z autoryzowanej biografii? Nasz bohater potrafi być upierdliwy tak jak jego dziadek, który żonie co rano wygłaszał tyrady. Jerzy Kłosiński określa jego postawę krótko jako „belferską". On sam twierdzi, że lubi być nauczycielem, bo jest to porywające wpływać na młodych. Jego współpracownicy mówią o nim „wampir", bowiem potrzebuje mało snu, pracuje po nocach oraz wysysa wszystkie soki z podwładnych. Od siebie oczekuje najwięcej, a od nich prawie tyle samo. Jest pracoholikiem. Jerzy Kłosiński pisze: „Ma 71 lat, zastanawiam się, skąd bierze tę energię, żarliwość i wiarę, które z niego wciąż biją". Faktycznie jest niepojęte, ile bohater tej biografii ma siły i jak intensywnie haruje. Czasami można fałszywie podejrzewać, że musi zatrudniać sobowtóra (którego zresztą pokazały mu służby – sprawa nie do śmiechu).

Antoni Macierewicz lubi pracować z ludźmi młodymi, idealistami, co naturalnie dziś przynosi medialne plotki dotyczące homoseksualizmu, a przynajmniej homoerotyzmu. Jednak pracę z młodymi jako metodę ma jeszcze od czasów harcerstwa. Bardzo niewielu jego przyjaciół, kolegów i znajomych przetrwało jednak test czasu. Od początku jest z nim jego sympatyczny bliźniak, Piotr Naimski. Taki tandem yin-yang. Poza tym garstka takich jak – chronologicznie – Marcin Gugulski, Wojciech Falkowski, Mariusz Marasek czy Piotr Woyciechowski. Jednak nie są oni najważniejszymi osobami w życiu Antoniego Macierewicza. Najważniejsze osoby to matka, siostra i żona. Rodzina się liczy, chociaż nasz bohater nie ma na nią wiele czasu. Rodzina służy więc jako system wsparcia: emocjonalnego, logistycznego. Antoni Macierewicz pochodzi z rodziny inteligenckiej, o korzeniach drobnoszlacheckich (choć nie dowiadujemy się, jakiego herbu). Jego ojciec został albo zamordowany przez UB w celu zawłaszczenia funduszy podziemia (ku czemu skłania się biograf), albo popełnił samobójstwo podczas aresztowania, aby ratować współpracowników. Syn odebrał solidne wychowanie w domu i u ojców salezjanów, wpojono mu wiarę, patriotyzm i dyscyplinę, by służył: „Bogu, Ojczyźnie, Bliźnim". I od początku był niepokorny. I niespożyty.

POLSKA NA PIERWSZYM MIEJSCU

Najważniejszą sprawą dla niego jest Polska. Antoni Macierewicz to typ inteligenta, który ukształtował się jeszcze podczas zaborów. Esencją jego życia

eprasa.pl c63039b557

jest służba RP. Jest nieprzekupny, twardy i fanatycznie oddany sprawie wolności ojczyzny. Ma świadomość, że jego praca jest kontynuacją walki wszystkich pokoleń Polaków, którzy byli przed nami. I jednocześnie – jak każdy dysydent – jest święcie przekonany o swojej racji. Dlatego kompromis przychodzi Macierewiczowi trudno w wielu wypadkach, nawet błahych, a jeśli chodzi o imponderabilia, jest on niemożliwy.

Od początku jest konsekwentny. Konsekwentnie kroczy po prawej stronie historii. Ściślej, jak twierdzi Jerzy Kłosiński, „z jednej strony zdecydowanie i bezkompromisowość, z drugiej pogłębiona refleksja niepozbawiona osobistych akcentów". Ten pierwszy zestaw cech personalnych zwykle wygrywa.

Jeszcze w liceum Antoni okazał się hardym antykomunistą, wyleciał za to ze szkoły. Cudem przyjęto go do innej, gdzie dano mu zdać maturę, cudem dostał się na studia i cudem na nie wrócił po aresztowaniu podczas studenckich wystąpień w marcu 1968 r. I nie uspokoił się: „Więzienie wpłynęło radykalizująco na moje myślenie". Stopniowo zaczął stawać okoniem wobec bananowej młodzieży partyjnej, tzw. lewicy laickiej. Usiłował – z mniejszym bądź większym sukcesem – konstruować dla nich alternatywę niepodległościową. W 1976 r. Antoni Macierewicz podkreślał: „Niepodległość jest podstawowym – sine qua non – warunkiem realizowania wszelkich wartości... Nie ma dziś wolności i demokracji poza niepodległością... Niepodległość ma jeden kształt. Wiele postaci ma niewola". I dalej: „Nie ma takiej Polski jak PRL... będzie niepodległość". W opozycji trwał zasadniczy spór: „Czy ma być Polska postpeerelowska, czy Polska jako kontynuacja II Rzeczypospolitej".

Alternatywa niepodległościowa wykluwała się z konspiracji harcerskiej – z „Gromady Włóczęgów," a potem w KOR, który założył głównie Antoni Macierewicz, a nie Adam Michnik, którego w Polsce nie było, ani Jacek Kuroń, który dopiero potem dołączył się do inicjatywy. Zamiast niepodległości miała być „finlandyzacja" Polski pod batutą eurokomunizmu. Podobnie rzecz miała się w Solidarności. Macierewicz chciał stworzyć ogólnopolski związek zawodowy jako ruch niepodległościowy, a jego adwersarze – którzy ochrzcili go „Prawdziwkiem," co było w ich ustach inwektywą na „prawdziwych Polaków" – chcieli sowietów, czyli „rad robotniczych".

Antoni Macierewicz był działaczem opozycji demokratycznej i członkiem Komitetu Obrony Robotników FOT. ARCHIWUM ANDRZEJA FRISZKE/FOTONOVA

I cały czas „starano się ośmieszyć tradycję patriotyczną i jej obyczajowość". Syczano na Kościół, chociaż jeszcze nie tak otwarcie, szczególnie po wyborze Karola Wojtyły na Tron Piotrowy, co Antoni Macierewicz uznał za wydarzenie, które – szczególnie po pierwszej pielgrzymce do Ojczyzny – miało wpływ zupełnie zasadniczy na koncepcję obudzenia ducha narodowego.

Podobnie Macierewicz kontestował Okrągły Stół. „Z powodu Okrągłego Stołu nie został rozbity do końca system sowiecki, bo nie umożliwiono powstania takich sił społecznych, które by go zastąpiły. Wręcz odwrotnie, została przeprowadzona operacja tworzenia klasy średniej w oparciu o aparat partyjno-esbecki". Potem chciał dekomunizacji i deagenturalizacji oraz restytucji mienia, aby odtworzyć tradycyjne elity. Rozbijając układ mafijny, pokazywał, że postubekom chodzi o „kasę, a nie o bezpieczeństwo" kraju. A ci dopiero powoli zrozumieli, że „tacy ludzie jak Macierewicz należą do całkiem innego świata". Nawet dość szybko zrozumiał bolszewickie niebezpieczeństwa płynące z Unii Europejskiej i ideologii LGBT.

Jest naturalnie wiele rzeczy, z którymi można i trzeba się nie zgodzić w autoryzowanej biografii. Na przykład jaką „walkę po zwycięstwo" ma na myśli Antoni Macierewicz w marcu 1981 r.? Tak, ludzie byli nabuzowani i zmobilizowani, ale nie ma mowy, żeby wtedy Kreml odpuścił, gdybyśmy popędzili tubylczą komunę. Opisując kryzys 1992 r., Jerzy Kłosiński koncentruje się na ostrzale z zewnątrz. Nie dostrzegł straconych szans wewnątrz. Na przykład jako szef MSW Antoni Macierewicz nie wpuścił natychmiast niezależnych historyków do ubeckich archiwów. A potem je znów zamrożono niemal na 10 lat. Dalej, w raporcie o WSI – ponieważ miano zamiar go odtajnić – nie powinno się ujawniać, kto pomaga Polsce w USA.

Wizji Antoniemu Macierewiczowi nie można odmówić, choćby transatlantyckiej, a co za tym idzie: pro-NATO. Jednak tak jak wielu polityków cierpi na bieżączkę, a wielki obraz odzyskuje wtedy, gdy traci władzę bądź jest chory (choćby na tajemniczą żółtaczkę). Ma wtedy więcej czasu, aby czytać i myśleć. Jednak cokolwiek by mówić o wykonaniu tego manewru (a można i trzeba krytykować), to właśnie głównie dzięki Antoniemu Macierewiczowi nie zamieciono tragedii smoleńskiej pod dywan. To on potrafił pierwszy upublicznić agenturę oraz rozwalić macki GRU w Wojsku Polskim. Wbrew wszystkim wrogom. Wbrew potokowi dezinformacji. Moi przyjaciele z uczelni dziwią się, że takiego człowieka jeszcze nie zabito. Autentycznie. Jednak on chyba się tym nie martwi za bardzo. Służy.

Stąd postulat: mam nadzieję, że ostatnią szarżą Antoniego Macierewicza będzie opcja zero dla Ministerstwa Spraw Zagranicznych, gdy nasz dekomunizator zostanie jego szefem. I wymiecie wszystko, co czerwone i różowe. Pilnie. A potem można znaleźć kogoś bez ognia w brzuchu, który to dalej normalnie poprowadzi interes. Byłaby to wspaniała konkluzja do drugiego wydania biografii autoryzowanej solidnego autorstwa Jerzego Kłosińskiego. Tym razem jednak musi być indeks, bo inaczej Białemu Krukowi powyrywam pióra z ogona. Tym razem się wstrzymam, wydawca bowiem włożył w tekst fajne karykatury mistrzyni Ewy Barańskiej-Jamrozik. Drugim razem jednak nie odpuszczę. Będę wampirem jak Antoni.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c63039b557

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Byliśmy na wczasach

Unikam zorganizowanych wyjazdów turystycznych. Ale oczywiście różnie to bywa w życiu, no i właśnie w te ferie polecieliśmy na krótki urlop z biurem podróży.

Już na miejscu przypomniałem sobie, dlaczego nie przepadam za wyjazdami zorganizowanymi. Ano dlatego, że chcąc nie chcąc, sporo czasu spędza się z ludźmi, którzy mówią tym samym językiem. Przy czym, żebym był dobrze zrozumiany. Nie jestem ojkofobem i nie mam nic do Polaków, nawet takich, którzy noszą skarpetki do sandałów, saszetki oraz wąsy. Już wyrosłem z takich wyniosłości, a poza tym typ Polaka cebulaka jest coraz rzadszy. Nie powiem, że wymarły, ale już prawie zagrożony.

Nie w tym problem. Na wakacjach przeszkadzałoby mi nawet towarzystwo Krystyny Jandy czy Kingi Rusin, która przecież jest tak światowa, że bardziej już nie można. Po prostu z dala od Polski nie lubię jak ludzie gadają po polsku. A ja muszę tego słuchać. Brzmi dość strasznie, ale w istocie to dość niewinna fanaberia. A ponieważ chyba trochę się plączę, to może przytoczę krótką historyjkę. Podczas obecnego wyjazdu na pierwszej kolacji siedzieliśmy niedaleko trójki przemiłych Polaków. Wymieniliśmy grzecznościowe zwroty, a następnie my zajmowaliśmy się swoimi sprawami, a oni swoimi. Potem jednak przysiadł się do nich czwarty osobnik i zaczął mówić.

Głos miał tubalny jak śpiewak operowy. Gorsze było jednak to, że znał się absolutnie na wszystkim. Nawet mój syn – który wie wszystko, a jeśli nie wie, to tym gorzej dla faktów – pokornie zamilkł, słuchając kolejnych wywodów. Z jakichś powodów zaczęło się o łosiach. Był kiedyś w Norwegii, gdzie poczęstowano go łosiną, co tak go zbrzydziło, że chodził przy każdym kęsie do łazienki i wypluwał. Potem jego żona wspomniała coś o ziemniaku (jak to przy kolacji), co wywołało falę przemyśleń i wspomnień poświęconych tej roślinie. Potem przeszedł płynnie na makaron, co w końcu doprowadziło go do Włoch, które – jak wiadomo – mają naprawdę świetne makarony. Z kolei z Włoch pochodzi Fiat, a jego ojciec miał fiata 125, za którego kierownicą nasz narrator zasiadł już jako 16-latek, co wiązało się ze szczególnie zabawną historią, która…

Nie słyszeliśmy własnych myśli, więc następnego dnia sprawdziliśmy, czy właściciel tubalnego głosu jest na sali. Ponieważ go nie było, zajęliśmy stolik, a zaraz potem pojawiła się znajoma czwórka, ucieszyła się na nasz widok i siadła obok, tak że nie uroniliśmy ani słowa z kolejnej opowieści. Zresztą następnego wieczoru siedzieliśmy daleko, ale też nie uroniliśmy. Facet był tyleż głośny, co niesamowity. Wystarczyło powiedzieć jakiekolwiek słowo – niech to będzie „słowik" czy „młotek", ale może być też „trubadur" – a on potrafił w oparciu o to słowo wyczarować kompletnie nieinteresującą, acz długą opowieść. I dlatego nie lubię turystyki zorganizowanej. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Koniec demokracji?

Podejrzewam, że u podstaw wprowadzenia, a następnie rozpowszechnienia systemów demokratycznych legła nie tyle szlachetna idea wpływu i odpowiedzialności za władzę jak najszerszej liczbie obywateli, za którymi elity zazwyczaj nie przepadają, ile raczej chęć zapewnienia bezpiecznej, sprawnej i pokojowej sukcesji władzy. Wcześniejsze dzieje jawią się jako seria zamachów, spisków i kontrspisków, nawet jeśli udało się wprowadzić system dynastyczny. Jak wiadomo, podstawę sprawnie działającej demokracji stanowią ograniczone w czasie rządy większości przy poszanowaniu praw mniejszości. I to w dojrzałych demokracjach dość długo funkcjonowało. Przegrani pozwalali rządzić wygranym, oczywiście nie rezygnując z patrzenia im na ręce, by przy kolejnych wyborach przedstawić własną, lepszą lub przynajmniej wyglądającą na lepszą ofertę.

Podstawę sprawnie działającej demokracji stanowią ograniczone w czasie rządy większości przy poszanowaniu praw mniejszości

Ta praktyka kończy się jednak na naszych oczach, coraz częściej przegrani (np. demokraci w USA czy „totalsi" u nas) nie przyjmują do wiadomości demokratycznego werdyktu, usiłując za wszelką cenę go podważyć. Towarzyszy temu niebywała pogarda do większości elektoratu, który okazał się głupszy, bardziej nieodpowiedzialny itp. Co prawda jak dotąd ta taktyka okazuje się dla prowadzących ją polityków zabójcza, ale – co gorsza – zabójcza może się okazać dla samej demokracji. Wyobraźmy sobie, że jakimś cudem dzisiejsza opozycja obejmuje władzę.

Co się dzieje dalej – nastaje królestwo mądrości i powszechnej szczęśliwości? Przegrani rozchodzą się spokojnie do domów i cierpliwie czekają na możliwość wyborczego rewanżu? Nie sądzę. Nikt przecież nie zaproponuje im pojednania. Najpierw rozszaleje się praktyka odwetu – czystki, zwolnienia, wykluczanie. Teraz naprawdę doświadczymy łamania prawa na nienotowaną skalę, tak aby już nigdy prawica nie wróciła do władzy. Do dzieła przystąpi cenzura, a jak trzeba będzie – również przemoc (oczywiście wyłącznie przeciwko „faszystom" – przecież nie może być tolerancji dla wrogów tolerancji). Czy represjonowani będą znosić to z pokorą pierwszych chrześcijan? Śmiem wątpić…

Gdyby działo się to wyłącznie w Polsce, można by uznać to za przypadek. Obawiam się jednak, że obserwujemy początek erozji demokracji na globalną skalę. Pandemii, która w efekcie może okazać się gorsza od koronawirusa. ©℗

eprasa.pl c63039b557

Dla prof. Patricii MacCormack z Uniwersytetu Anglia Ruskin w Cambridge człowiek to poniekąd pasożyt na ciele matki Ziemi FOT. YOUTUBE

Wykańczanie strachem

Łukasz Warzecha

Klimatyzm w swoich różnych postaciach jest po prostu zagrożeniem dla naszej zachodniej cywilizacji

Dzieło „Prawo ludności" (An Essay on the Principle of Population) ukazało się w roku 1798 jako anonimowe. Nie było jednak tajemnicą, że autorem jest liberalny angielski filozof i ekonomista Thomas Robert Malthus. Malthus, swoją drogą zdecydowany przeciwnik egalitaryzmu, postawił tezę mówiącą w uproszczeniu o tym, że ludzkość nie będzie w stanie w niedalekiej przyszłości się wyżywić. Nazwano ją później pułapką maltuzjańską.

Malthus twierdził, że o ile liczba ludności powiększa się w postępie geometrycznym, podwajając się co mniej więcej ćwierć wieku, o tyle produkcja żywności rośnie jedynie w postępie arytmetycznym, pozostawiając zawsze jakąś grupę ludzi w głodzie i ubóstwie. Teoria Malthusa mówiła także, że gdy wskutek tego liczba urodzeń spada, wobec czego żywności zaczyna wystarczać, potem syci ludzie znów zaczynają się rozmnażać, więc cała sytuacja się powtarza. Jedynym lekarstwem – powiadał Malthus – jest ograniczenie urodzeń.

Wbrew czarnej legendzie Malthus nie był potworem namawiającym do ludobójstwa. Był duchownym anglikańskim, sprawował posługę w parafii Wotton w hrabstwie Surrey. Sam niekoniecznie dawał przykład rozrodczej wstrzemięźliwości, z żoną Harriet mieli bowiem troje dzieci – dwie córki i syna.

Esej Malthusa wywołał w Anglii żywą dyskusję. Spotkał się z gorącą krytyką, na którą Malthus starał się odpowiedzieć w kolejnych wydaniach swojej książki, poddając tekst zmianom. Przede wszystkim jednak modelowi maltuzjańskiemu zaprzeczyła rzeczywistość. Okazało się, że technologie rolnicze, opracowane już po śmierci Malthusa w 1834 r., zapewniły wystarczające z nadwyżką ilości żywności. Zresztą prawdziwe życie nigdy nie podporządkowuje się całkowicie czystej teorii, bo ludność Europy i świata kilkakrotnie skokowo się zmniejszała, ale nie za sprawą restrykcyjnej kontroli urodzeń – choćby podczas pierwszej wojny światowej, a pod jej koniec radykalnie i gwałtownie z powodu tragicznej epidemii grypy hiszpanki (liczba ofiar trudna do oszacowania, ale niektóre rachuby mówią nawet o blisko 100 mln zmarłych).

Cokolwiek by o Malthusie i jego tezach mówić, mieściły się one w reżimie filozoficzno-naukowych rozważań, a Malthus był człowiekiem poważnym z autentycznymi naukowymi zasługami. Jego późniejsza praca poświęcona definicjom w dziedzinie ekonomii politycznej jako pierwsza na taką skalę porządkowała wcześniej przypadkowo lub nieprecyzyjnie stosowane terminy w tej dziedzinie nauki.

CYWILIZACJA JAKO WRÓG

Niestety, historia powtarza się często w formie karykaturalnej i tak właśnie dzieje się dzisiaj. Postawmy oto obok anglikańskiego księdza Malthusa panią prof. Patricię MacCormack z Uniwersytetu Anglia Ruskin w Cambridge, z pochodzenia Australijkę. Jako wstęp do zapoznania się z jej poglądami na kwestie klimatu – i co ludzie powinni z tym

eprasa.pl c63039b557

zrobić – można posłuchać wykładu (jest w całości na YouTube), który wygłosiła w 2017 r. na Queen Mary University w Londynie. Był poświęcony korelacjom między rytuałami magicznymi, do których przeprowadzania pani profesor otwarcie się przyznaje, a sprawami mniejszości seksualnych i feminizmu. MacCormack w trakcie wykładu odziana była w adekwatny strój: czarną suknię, zaś we włosach miała fioletowe kwiatki i długie, fioletowe wstążki. Patricia MacCormack jest zresztą ekspertem w wielu dziedzinach: zajmuje się feminizmem, teorią queer (panowie przebierający się za kobiety i odwrotnie), etyką posthumanistyczną (cokolwiek to jest), studiami zwierzęcymi (?) oraz horrorami.

Najbardziej znana stała się z powodu książki „The Ahuman Manifesto. Activism for the End of Anthropocene" („Manifest antyludzki. Aktywizm na rzecz zakończenia antropocenu"). Tu trzeba wyjaśnić, że antropocenem lewicowi aktywiści, w szczególności klimatyści, nazywają epokę, w której człowiek intensywnie zmienia swoje otoczenie, a w której – według nich – właśnie żyjemy.

Nazywanie MacCormack wyznawczynią maltuzjanizmu byłoby jednak obraźliwe dla Malthusa, bo tezy Australijki są prostą pochodną histerii rozpętanej przez klimatystów, a nie wynikiem spokojnego namysłu naukowego. Co więcej, u podstawy koncepcji Malthusa stała w gruncie rzeczy troska o ludzkość. Malthus obawiał się o tych, którzy – jego zdaniem – wskutek niedoboru żywności będą skazani na marną egzystencję. Nie miał też wątpliwości, że człowiek jest stworzeniem Bożym.

MacCormack jest jak najdalsza od takiego podejścia, podobnie zresztą jak inni klimatystyczni aktywiści, dla których wrogiem jest cywilizacja, a więc po prostu człowiek traktowany jako pasożyt żerujący na ciele matki Ziemi. W rozmowie z portalem Yahoo MacCormack przedstawia swój pogląd w prosty sposób: skoro ocieplenie klimatu powodują ludzie poprzez emisję gazów cieplarnianych, to znaczy, że więcej ludzi to szybsze zmiany klimatyczne. Czyli ludzi musi być mniej. A najlepiej, gdyby zniknęli całkowicie.

Pani MacCormack skarży się, że od momentu publikacji swojej książki otrzymuje nienawistne wiadomości, w których powtarza się życzenie, aby popełniła samobójstwo. Przecież to akurat życzenie – jakkolwiek faktycznie drastyczne – jest najbardziej logiczną konsekwencją poglądów autorki „Manifestu antyludzkiego". Skoro każdy człowiek przyczynia się tak dramatycznie do śmierci Ziemi, to od tych, którzy tę wizję głoszą, możemy oczekiwać, że sami dadzą przykład i przestaną ostatecznie tworzyć ślad węglowy. Czyli że się po prostu sami zlikwidują. Z niepojętych powodów pani profesor odmawia jednak zgładzenia samej siebie, a o swoich rzekomych prześladowcach mówi, że kieruje nimi strach przed straszną prawdą, którą im ujawniła.

LEGITYMIZACJA HISTERII

Gdyby tego typu majaczenia były tylko udziałem grupki dziwaków w stylu Patricii MacCormack, nie byłoby może problemu. Tak jednak nie jest – choć nie każdy przedstawiciel podobnego sposobu myślenia jest równie radykalny w poglądach, przynajmniej oficjalnie. Impuls i przykład idą od elit legitymizujących klimatystyczną histerię, choćby poprzez dopieszczanie siejącej panikę panny Thunberg. Oto książę Harry we wrześniowym ubiegłorocznym numerze „Vogue", w rozmowie ze słynną zwolenniczką zrównania małp z ludźmi, Jane Goodall, deklamował wyuczone frazy: „Jesteśmy jedynym gatunkiem na tej planecie, który wydaje się uważać, że to miejsce należy do nas i tylko do nas" – po czym odważnie zadeklarował, że wraz z Meghan Markle zamierzają mieć nie więcej niż dwoje dzieci – dla dobra ludzkości.

Jego szczera troska o Ziemię nie została niestety doceniona przez bezlitosnych felietonistów z brytyjskich tabloidów. Jeden z nich, Piers Morgan, spytał na Twitterze, czy to ten sam Harry, który z Londynu do Birmingham lata helikopterem, a jego żona przemieszcza się przez Atlantyk prywatnymi odrzutowcami zakumplowanych z parą książęcą celebrytów. Zapewne taka właśnie odrażająca mowa nienawiści skłoniła Harry'ego i Meghan do rezygnacji z pełnienia książęcych obowiązków. Może i lepiej.

A oto Yves Cochet, lewicowy polityk francuski, były minister zagospodarowania terytorium i ochrony środowiska w rządzie Lionela Jospina na początku pierwszej dekady tego wieku, kilkakrotnie eurodeputowany. Teraz bywa nazywany „kolapsologiem". Kolapsologia to coś pomiędzy quasi-religijną wiarą a niby-nauką o nadchodzącym upadku cywilizacji. W wywiadzie dla tygodnika „Le Point" we wrześniu 2019 r. tłumaczył, dlaczego dojdzie do wielkiego upadku do roku 2030. Taką właśnie wizję przedstawił w swoim głośnym eseju „Devant l'effondrement" („Przed upadkiem"). „Nie będzie jednego powodu, upadek naszej termoindustrialnej cywilizacji będzie systemowy i globalny, ponieważ dzisiaj wszystko jest powiązane" – oznajmia Cochet. Nazwany przez dziennikarza maltuzjanistą, stary lewak gwałtownie protestuje: „[Jestem] neomaltuzjanistą! Nie mam nic wspólnego z Malthusem, który był starym reakcyjnym XIX-wiecznym klechą".

Dalej prowadzący wywiad przypomina innego neomaltuzjanistę, Paula Ehrlicha, i jego książkę z 1968 r., w której przewidywał, że w latach 70. z głodu umrą miliony. „Czy to nie wywołuje w panu refleksji, te ciągłe porażki katastroficznych przewidywań?" – pyta Cocheta.

„Nie, bo »this time, it's different« [tym razem jest inaczej]" – z niezmąconą pewnością siebie odpowiada Cochet. On sam ma córkę i dwoje wnucząt. Choć do swoich rodaków apelował, aby nie mieli dzieci, nie powstrzymał córki przed macierzyństwem.

To tylko kilka wybranych historii, pokazujących jeszcze jeden radykalny odłam klimatystycznej religii, tym razem zahaczający o eugenikę. Połączmy jednak kropki: Thunberg, w histerycznym tonie siejąca klimatystyczną panikę, Extinction Rebellion – klimatystyczne bojówki urządzające coraz bardziej radykalne happeningi, radykalni przeciwnicy hodowli trzody i sprzedaży mięsa, w tym w kręgach polityków, takich jak nieszczęsna Sylwia Spurek, coraz dalej idące przepisy motywowane ekologicznie, uderzające w każdą już niemal dziedzinę naszego życia – od cen prądu poprzez koszty wywozu śmieci i dodatkowe opłaty od opakowań na cenach, dostępności i trwałości samochodów skończywszy – a dostaniemy szerszy obraz. Klimatyzm w swoich różnych postaciach jest po prostu zagrożeniem dla naszej zachodniej cywilizacji. Nie tylko dla naszego stylu i komfortu życia, lecz także dla naszego życia w ogóle. Zagrożeniem tym potężniejszym, że nierozpoznanym przez wielu, opanowującym umysły niepostrzeżenie. Na tym tle stary dobry Malthus jawi się jak ostoja zdrowego rozsądku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c63039b557

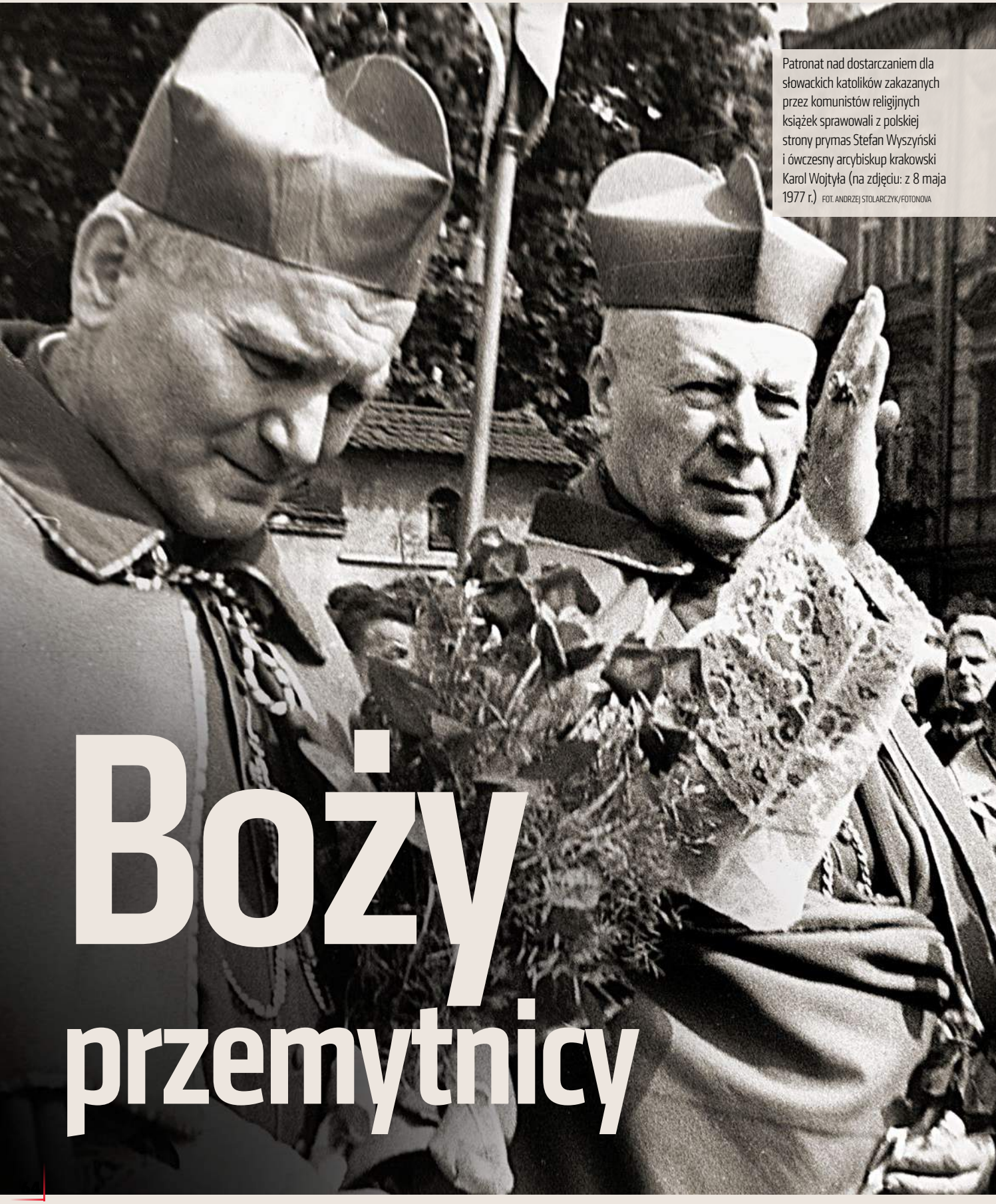

Patronat nad dostarczaniem dla słowackich katolików zakazanych przez komunistów religijnych książek sprawowali z polskiej strony prymas Stefan Wyszyński i ówczesny arcybiskup krakowski Karol Wojtyła (na zdjęciu: z 8 maja 1977 r.) FOT. ANDRZEJ STOLARCZYK/FOTONOVA

Boży przemytnicy

eprasa.pl c63039b557

Mirosław Szumiło

Bezwzględność komunistów zmusiła słowacki Kościół do zejścia do podziemia. Pomoc przyszła z Polski – od duchownych i świeckich

Ostatnia sobota czerwca 1989, poszliśmy na Grzesia we czterech. W kosodrzewinie sprawnie wymieniliśmy plecaki i wracając, na szczycie spotkaliśmy obcą grupę Słowaków. Zapytałem: »Co u was słychać, komuna jeszcze jest?«. Jak się później okazało, pytanie było bardzo niestosowne, ponieważ była to grupa straży granicznej, po cywilnemu na szkoleniu. Zapamiętali nas".

Tak swoją przedostatnią wyprawę przemytniczą z zakazaną literaturą religijną dla słowackich katolików wspominał Krzysztof Wojtecki – działacz zakopiańskiej Solidarności. Tydzień później Wojtecki i jego kolega Zdzisław Ignacok zostali zatrzymani przez czechosłowackich pograniczników i przekazani w ręce polskich wopistów. Byli prawdopodobnie ostatnimi „bożymi przemytnikami" aresztowanymi na granicy. Śledztwo w ich sprawie umorzono 29 września 1989 r., już po powstaniu rządu Tadeusza Mazowieckiego.

PÓŁGŁOSEM, BEZ ŚPIEWÓW

Pomoc dla prześladowanych katolików słowackich, której w okresie komunizmu udzielali w różnych formach polscy katolicy (duchowni i świeccy), nie została dotąd opisana przez historyków, w wyniku czego nie funkcjonuje w naszej świadomości historycznej. Tymczasem odegrała ona dużą rolę w przetrwaniu przez słowacki Kościół rzymskokatolicki i greckokatolicki długiego okresu represji ze strony władz komunistycznych, a następnie przebudzeniu religijnym narodu słowackiego, które dokonało się na przełomie lat 70. i 80. Impulsem do tego przebudzenia, podobnie jak w Polsce, był wybór Karola Wojtyły na papieża. Słowacy uważali papieża Polaka za „swojego". Jan Paweł II był bowiem dla nich bliskim sąsiadem z północnej strony gór, mającym wielu słowackich przyjaciół i znajomych.

W okresie stalinizmu Kościół zarówno w Polsce, jak i Czechosłowacji stał się jednym z głównych wrogów systemu, atakowanym i prześladowanym zaciekle przez komunistów. Głównym celem ataku, obok ateizacji społeczeństwa, było podporządkowanie Kościoła władzom państwowym i przejęcie nad nim całkowitej kontroli. W Polsce, wobec zdecydowanego oporu ze strony większości duchowieństwa i wiernych, to się nie udało. W wyniku odwilży w 1956 r. cofnięto część zarządzeń antykościelnych, a prymas Stefan Wyszyński został zwolniony z internowania. Kościół mógł odtąd (pomimo wielu ograniczeń i szykan) działać legalnie jako instytucja niezależna od państwa.

Słowacki Kościół znalazł się w dużo trudniejszej sytuacji. Komuniści mieli tutaj ułatwione zadanie z co najmniej dwóch powodów. Po pierwsze, większą część wspólnego państwa tworzyły ziemie czeskie, już przed wojną zlaicyzowane i nastawione antykatolicko. Po drugie, słowaccy katolicy nie posiadali własnej metropolii kościelnej i jednego silnego przywódcy duchowego, jakim dla Polaków był Wyszyński. W rezultacie wszyscy słowaccy biskupi zostali uwięzieni, a księża musieli występować o zgodę władz na sprawowanie funkcji duszpasterskich. Zlikwidowano seminaria diecezjalne oraz zakony męskie i żeńskie. Siostry i bracia zakonni aż do 1989 r. musieli spełniać swoją posługę nielegalnie. Ponadto reżim komunistyczny zamknął katolickie wydawnictwa, a druk i kolportaż literatury religijnej został zakazany. Jej brak szybko stał się bardzo odczuwalny.

Walka z religią zmusiła wielu duchownych i świeckich do działalności w konspiracji. Narodził się Kościół podziemny, którego przywódcą został potajemnie konsekrowany na biskupa jezuita Ján Chryzostom Korec. O sytuacji, w jakiej funkcjonował ten Kościół, najlepiej świadczy relacja ks. Stanisława Ługowskiego z mszy świętej odprawionej przez niego w Bratysławie w 1975 r.: „Nikt wcześniej nie wiedział, gdzie i kiedy będzie spotkanie. Tym razem było podobnie. Ktoś przyszedł po mnie i zaprowadził na umówione spotkanie. Mszę świętą odprawiałem przy zamkniętych drzwiach i szczelnie zasłoniętych oknach, półgłosem bez śpiewów".

BIBLIA W PLECAKU

Członkowie podziemnego Kościoła słowackiego zwrócili się o pomoc do swoich braci w wierze z północnej strony Tatr. Tajna współpraca z Polakami została nawiązana po częściowej liberalizacji systemu władzy PRL. Już w styczniu 1957 r. do prymasa Wyszyńskiego dotarł słowacki emisariusz, jezuita Michal Potocký. Początkowo polski Kościół udzielał pomocy przede wszystkim działającym w podziemiu słowackim zakonom. Kontakty nawiązali m.in. werbiści, jezuici, redemptoryści, salezjanie, kapucyni. Za pośrednictwem polskich braci kontaktowano się z Watykanem. Współpracę z Polakami nawiązali również świeccy działacze podziemnego Kościoła, wśród których wyróżniali się członkowie Stowarzyszenia Rodzina, matematyk Vladimír Jukl i lekarz Silvester Krčméry. Od lat 60. datowała się ich przyjaźń z Karolem Wojtyłą.

Główną formą pomocy dla Słowaków stał się przemyt literatury religijnej i dewocjonaliów. Pismo Święte i inne książki były w dużej liczbie drukowane w języku słowackim na Zachodzie, przez słowacki Instytut Świętych Cyryla i Metodego w Rzymie, jezuitów słowackich z Kanady oraz organizacje pozarządowe z Belgii, Holandii, Włoch i Niemiec. Następnie nielegalnie transportowano je do Polski, m.in. statkami do portu w Szczecinie. Na obszarze naszego kraju powstała sieć tajnych magazynów i kanałów dystrybucji przez granicę do Czechosłowacji. Od lat 60. drukowano też potajemnie literaturę religijną w języku słowackim na terenie Polski (w Częstochowie, Krakowie, Warszawie, we Wrocławiu). Obok książek (Biblii, modlitewników, książek dla dzieci itp.) były wytwarzane także obrazki, dewocjonalia i kasety ewangelizacyjne.

Już w 1961 r. czechosłowacka Służba Bezpieczeństwa (Statni Bezpečnost) odnotowała przypadki przemytu książek religijnych z Polski do północnych regionów Słowacji. Zjawisko to narastało w kolejnych latach i stało się dosyć powszechne. Angażowali się weń księża, zakonnicy i przede wszystkim ludzie świeccy. Brali w tym udział również Słowacy zamieszkali w polskiej części Spisza i Orawy. Wszyscy oni zasłużyli na nadane im później miano „kurierów bożego słowa" lub też „bożych przemytników".

Najbardziej popularnym sposobem przemytu było przenoszenie książek w plecakach przez zieloną granicę. Później wypracowano metodę wymiany plecaków na granicy między Polakami i Słowakami. Najczęstsze szlaki przerzutu to Babia Góra, Tatry Zachodnie i Pieniny. Rzadziej przewożono książki w samochodach lub autobusach. Paradoksalnie najbezpieczniejszym sposobem

eprasa.pl c63039b557

Książki i obrazki skonfiskowane przez WOP u Branislava Borovskiego, Tomáša Konca i Alojzego Gabaja FOT. IPN

dostarczania zakazanej literatury było wysyłanie jej pocztą na konkretny adres w Czechosłowacji, chociaż nie zawsze paczki docierały do celu. W okresie stanu wojennego, gdy w Polsce obowiązywała reglamentacja żywności, Słowacy na wymianę za książki religijne przynosili na granicę produkty spożywcze. Współpraca trwała do samego końca rządów komunistycznych jesienią 1989 r.

Patronat nad tym procederem z polskiej strony sprawowali prymas Stefan Wyszyński i arcybiskup krakowski Karol Wojtyła. Ze strony słowackiej zaś organizował go przebywający na emigracji biskup Pavol Hnilica. W 1965 r. w Rzymie podczas soboru watykańskiego II odbyły się spotkania bp. Hnilicy i przedstawicieli Kościoła słowackiego z prymasem Wyszyńskim i polskimi biskupami. Nawiązano współpracę, która była kontynuowana w następnych latach. Hnilica, który miał zakaz wjazdu do Czechosłowacji, często jeździł do Polski.

REAGAN BRONI PRZEMYTNIKÓW

Szeroką sieć przerzutu literatury zorganizowali dwaj księża: marianin ks. Stanisław Ługowski z Głuchołazów na Opolszczyźnie oraz rezydujący w Warszawie Słowak pochodzący z polskiego Spisza, ks. Sebastian Koszut. Obok zorganizowanych grup w pomoc naszym południowym sąsiadom, braciom w wierze, angażowało się spontanicznie wielu pojedynczych ludzi. Stąd też nieznana jest pełna liczba przemyconych książek. Jeden z uczestników akcji, Marian Szczepanowicz, szacował, że tylko w latach 1975–1989 przerzucono na Słowację ok. 300 tys. egzemplarzy Pisma Świętego i innych publikacji o tematyce religijnej.

Polem wzajemnej współpracy i kontaktów były również oazy Ruchu Światło-Życie, prowadzone przez ks. Franciszka Blachnickiego. Spotkania oazowe odbywały się najczęściej w Krościenku i innych miejscowościach na pograniczu polsko-słowackim. Od końca lat 60. uczestniczyło w nich wielu młodych Słowaków. W 1975 r. ich liczba sięgnęła już 300 osób. Oazowe piosenki religijne były szybko tłumaczone na słowacki i zdobywały dużą popularność. Uczestnicy oaz brali także udział w przemycaniu literatury religijnej przez granicę.

Ulotka Amnesty International nagłaśniająca sprawę więzionych za wiarę FOT. IPN

Wśród uczestników oaz w Krościenku znalazł się np. twórca słowackiego samizdatu (wydawnictwa drugiego obiegu) Ivan Polanský, który w sierpniu 1979 r. przyjechał do Polski razem z synem Robertem, a w drodze powrotnej na granicy znaleziono w jego samochodzie 52 zakazane książki i broszury.

Mieszkańcy Czechosłowacji, u których znaleziono książki z przemytu, byli represjonowani przez władze komunistyczne. Osoby zatrzymane na granicy karano więzieniem. Głośna na cały świat stała się sprawa trzech młodych Słowaków. Branislav Borovský, Tomáš Konc i Alojz Gabaj zostali aresztowani przez polskich strażników granicznych 12 grudnia 1983 r. w Piwnicznej podczas przenoszenia książek przez granicę. Po kilku miesiącach ciężkiego aresztu i śledztwa w Polsce zostali oddani w ręce czechosłowackiej Służby Bezpieczeństwa. Sąd w Bratysławie skazał ich na 14 i 12 miesięcy więzienia.

Chociaż było oczywiste, że przenosili oni literaturę religijną, to sądy w Czechosłowacji udawały, że sądzą ich za przemyt. Jednakże sprawa trzech Słowaków prześladowanych z powodów religijnych została nagłośniona przez światowe media. W ich obronie zabrał głos m.in. prezydent USA Ronald Reagan.

WOJTYŁA I TAJNE ŚWIĘCENIA

Istotną formą pomocy dla podziemnego Kościoła słowackiego były tajne święcenia księży i zakonników w Polsce. Pierwsze odbywały się w Gnieźnie i Krakowie w latach 1958–1965. Gdy w 1976 r. tajny biskup Ján Chryzostom Korec otrzymał z Watykanu kilkuletni zakaz wyświęcania księży, pomoc przyszła przede wszystkim z Polski. Obok Krakowa miejscami święceń stały się Warszawa, Wrocław, Częstochowa, Siedlce i Płock. Dwóch słowackich pijarów wyświęcił osobiście kard. Wyszyński. „Jeśli ktoś przyjdzie do mnie z hasłem nemo caritatis maiorem [»nikt nie ma większej miłości«], nie zapytam o nazwisko ani kto go posłał, ale go wyświęcę na księdza" – powiedział krakowski kard. Wojtyła swoim słowackim przyjaciołom. Udokumentowano dotąd nazwiska 47 Słowaków wyświęconych przez polskich biskupów do 1989 r.

Jak powiedział jeden z wyświęconych w Polsce słowackich redemptorystów, organizator tajnych oaz Ruchu Światło-Życie, Michal Zamkovský: „Nie myśmy to reżyserowali, lecz sam Pan Bóg".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest historykiem, doktorem habilitowanym, pracownikiem naukowym Instytutu Pamięci Narodowej i Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej.

Historię „Bożych przemytników" i innych form współpracy katolików polskich i słowackich w okresie komunizmu można zobaczyć na przygotowanej przez IPN wystawie „Bracia w wierze", prezentowanej w grudniu bieżącego roku w Centrum Edukacyjnym IPN Przystanek Historia w Warszawie (ul. Marszałkowska 21/25).

eprasa.pl c63039b557

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!
Sensacyjny wywiad z żołnierzem wyklętym, bohaterem walki z komuną

Witold Bagieński – **Wojna szpiegów PRL**
Patryk Pleskot – **Intryga czerwonego sobowtóra**
Sławomir Koper – **Wpadka francuskiego agenta**
John Mearsheimer – **Ameryka potrafi być bezwzględna**
Mikołaj Iwanow – **Czy Stalin planował drugi Holokaust?**
Tomasz Stańczyk – **Król gangsterów II RP**
Arkadiusz Karbowiak – **Dziwna okupacja Danii**
Grzegorz Janiszewski – **Pierwsi polscy komandosi**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl c63039b557

Polacy z Wileńszczyzny modlą się u stóp Matki Boskiej Ostrobramskiej

Fenomen jedności i samoorganizacji Polaków na Wileńszczyźnie

Polacy na Litwie konsekwentnie umacniają swoją pozycję. Potwierdził to również rok 2019, rok potrójnych wyborów w tym kraju i wejścia AWPL-ZChR do koalicji rządowej, co jest ewenementem na skalę światową. Dzięki jedności Polacy na Litwie mają realny wpływ na politykę swojego państwa, czego nie potrafiła dokonać żadna polska wspólnota w innym kraju. Mniejszości narodowe na Litwie stanowią ok. 16 proc. mieszkańców, Polacy liczący 6,5 proc. są największą z nich i zwarcie zamieszkują Wileńszczyznę. Są zjednoczeni wokół Związku Polaków na Litwie, którego politycznym ramieniem i reprezentacją jest Akcja Wyborcza Polaków na Litwie – Związek Chrześcijańskich Rodzin. O tym swoistym fenomenie jedności i doskonałej samoorganizacji Wilniuków oraz ich sukcesach warto napisać kilka słów

eprasa.pl c63039b557

Lider AWPL-ZChR Waldemar Tomaszewski na jednej z konferencji prasowych

ZASŁUŻONA RENOMA NAJUCZCIWSZEJ PARTII NA LITWIE

AWPL-ZChR zawsze była partią z zasadami i ma renomę najuczciwszej siły politycznej na Litwie. Ugrupowanie pokazało, że wytrwałą pracą organizacyjną wszystkich jej członków można dojść do rzeczy, wydawałoby się, niemożliwych. Aby to osiągnąć, potrzebna jest jedność oraz wierność wartościom, które nadają sens ludzkiemu życiu, trzeba pochylić się nad problemami i krzywdą każdego człowieka oraz wytrwale walczyć o dobro wspólne. Pod przewodnictwem Waldemara Tomaszewskiego, dobrego organizatora mającego wrodzony zmysł polityczny, Akcja zaczęła odnosić kolejne sukcesy wyborcze. Stała się wyjątkiem i dobrym przykładem dla wszystkich organizacji polonijnych na świecie. Nie ma drugiego takiego kraju, w którym Polacy byliby tak dobrze zorganizowani, mieli wpływ na bieżącą politykę kraju poprzez własną frakcję parlamentarną, posiadając dwa ważne ministerstwa, rządząc samodzielnie w dwóch rejonach, współrządząc w czterech, w tym w stolicy, Wilnie, i mając przedstawiciela w Parlamencie Europejskim. Takich sukcesów nie mają ani 10-milionowa Polonia w USA, ani też paromilionowa społeczność polska w Niemczech. Przewodniczący partii sprawił jeszcze jedną ważną rzecz – otworzył drzwi do współpracy nie tylko z innymi mniejszościami narodowymi, lecz także z wyborcami litewskimi. Dzięki temu AWPL z partii polskiej mniejszości narodowej stała się najpierw partią regionalną, a następnie ogólnokrajową. A niedawno rozszerzyła swoją nazwę, dodając do niej trzy – jakże ważne – wyrazy: Związek Chrześcijańskich Rodzin. Nie ma polskości bez chrześcijaństwa, to jest nierozerwalna jedność. Podkreślenie tego faktu w nazwie bez wątpienia wzmacnia wizerunek partii. Wyborcy potrzebują jasnych i konkretnych drogowskazów.

POLSKA PARTIA LIDEREM W OKRĘGU WILEŃSKIM

Wyborcza batalia rozpoczęła się od marcowych wyborów samorządowych. Były one trudne dla polskiej Wspólnoty na Litwie ze względu na silną konkurencję ze strony litewskich partii oraz rozbijacką robotę osób powiązanych z liberalno-lewicowymi mediami, które wspierały niektóre środowiska szkodzące zachowaniu polskości na kresach. Polacy na Litwie potrafią jednak odróżnić ziarno od plew, czemu dali wyraz przy urnach wyborczych i zagłosowali na Akcję Wyborczą Polaków na Litwie – Związek Chrześcijańskich

eprasa.pl c63039b557

Jedna z konwencji wyborczych AWPL-ZChR

Rodzin. Dzięki temu partii udało się zachować stabilną pozycję na litewskiej scenie politycznej i utrzymać pozycję lidera na Wileńszczyźnie. Tym razem, w wyborach samorządowych, ta mocna pozycja została również potwierdzona. Wielkim sukcesem było zwycięstwo już w pierwszej turze merów: Marii Rekść, która uzyskała 54 proc. głosów, i Zdzisława Palewicza, którego poparła rekordowa na Litwie liczba 77 proc. wyborców. Polska partia zdobyła także absolutną większość mandatów w radzie rejonu wileńskiego, uzyskując 19 z 31 mandatów, i w radzie rejonu solecznickiego, gdzie wzięła 20 z 25 mandatów. W rejonach trockim i święciańskim uzyskała po cztery z 25 mandatów w każdej radzie, w rejonie wisagińskim zdobyła trzy mandaty, a w stołecznym Wilnie sześć mandatów. Tym samym ugrupowanie ma w sumie 56 radnych. W okręgu wileńskim partia była bezkonkurencyjna – zdobyła 53 mandaty radnych, co daje pierwsze miejsce spośród wszystkich partii. To rewelacyjny wynik. Co ciekawe, druga siła w okręgu wileńskim, tj. konserwatyści, uzyskała tylko 21 mandatów, a trzecia w kolejności partia, czyli zieloni i chłopi: 17 mandatów. Co bardzo istotne i wymagające szczególnego podkreślenia – AWPL-ZChR wygrała w okręgu wileńskim, w którym żyje trzecia część mieszkańców Litwy, a region generuje prawie połowę litewskiej gospodarki, dokładnie 42 proc. PKB. Pierwsze miejsce w tak wielkim okręgu to nie tylko prestiż, lecz także realny wpływ na najważniejszą część państwa. Natomiast w Wilnie partia pozostała w ścisłej czołówce rady miasta i współtworzy koalicję rządzącą, a Edyta Tamošūnaitė nadal pełni funkcję wicemera, zaś Danuta Narbut funkcję wicedyrektora administracji. Warto dodać, że AWPL-ZChR ma w Trokach wicemera Marię Pucz, a także wicedyrektorów administracji w rejonie trockim, święciańskim i wisagińskim. Wyniki ostatnich wyborów samorządowych na Wileńszczyźnie są imponujące, najlepiej widać to na przykładzie największego na Litwie rejonu wileńskiego, gdzie żyje 52 proc. Polaków, a AWPL-ZChR uzyskała aż 55 proc. głosów, co oznacza, że partia cieszy się wyjątkowym zaufaniem i poparciem społecznym.

TOMASZEWSKI – „PREZYDENT WILEŃSZCZYZNY"

Wybory prezydenckie na Litwie mają zawsze swoją specyfikę, o czym przekonała się kandydatka konserwatystów w drugiej turze, otrzymawszy niespodziewanie niskie poparcie, nawet mniej głosów niż w pierwszej turze. Prezydentem został Gitanas Nausėda. W tych wyborach bardzo dobry wynik uzyskał lider AWPL-ZChR, który zdecydowanie wygrał w trzech rejonach: wisagińskim oraz wileńskim i solecznickim, gdzie padł rekord pierwszej tury wyborów, ponad 62 proc. poparcia. W skali całego kraju było to 4 proc. Warto zauważyć, że z dziewięciu osób kandydujących tylko cztery odniosły zwycięstwo w którymś z samorządów. Nausėda wygrał w 46 samorządach, a Ingrida Šimonytė w ośmiu. W tym gronie znalazł się lider AWPL-ZChR, który tak samo jak premier Saulius Skvernelis wygrał w trzech samorządach. To sukces, zwłaszcza że Tomaszewski wygrał w 102 obwodach wyborczych, co stanowi 6 proc. wszystkich obwodów w skali kraju, w tym w 43 w rejonie wileńskim, a nawet w trzech w samym Wilnie. I jest to bez wątpienia wymowny przykład poparcia i zaufania wyborców, którym cieszy się od lat. Najważniejsze jest jednak to, że już po raz trzeci z rzędu był zdecydowanie bezkonkurencyjny w rejonach tradycyjnie zamieszkanych przez Polaków, gdzie zdeklasował, a wręcz znokautował swoich rywali. Stąd też nie bez powodu nazywany jest prezydentem Wileńszczyzny, a uzyski-

eprasa.pl c63039b557

wane tam przez niego wyniki wyborcze potwierdzają tę nieformalną – bo honorową przecież – funkcję. Bez wątpienia Tomaszewski jest głosem Wileńszczyzny, jest jej liderem, a zdecydowana większość jej mieszkańców utożsamia się z nim jako tym, który najlepiej reprezentuje ich interesy i skutecznie walczy o ich prawa. To prawdziwy patriota i z takiej patriotycznej rodziny pochodzi. Rodzice byli nauczycielami w polskich szkołach na Wileńszczyźnie, a jego stryj był żołnierzem AK, był wśród tych, którzy odmówili złożenia przysięgi Berlingowi, za co został aresztowany i wywieziony do łagrów, do Kaługi. Natomiast sam Waldemar Tomaszewski bronił polskości jeszcze w czasach sowieckich, gdy w 1980 r. w szkole wskazał wprost na sowieckich sprawców mordu katyńskiego, za co był prześladowany.

Start w wyborach prezydenckich dał możliwość zaprezentowania programu AWPL-ZChR na całej Litwie, zwłaszcza podczas debat prezydenckich, które cieszyły się wielkim zainteresowaniem. Dzięki temu Tomaszewski mógł przedstawić pozytywny dorobek Wileńszczyzny i zarządzanych przez Polaków samorządów. Przekazał również szczegóły programu socjalnego i społecznego partii, choćby wsparcia rodzin, bezpłatnych leków dla seniorów, wsparcia dla rolników czy rozwoju szkolnictwa. Mówił, jak ważne są sprawiedliwość społeczna, wartości chrześcijańskie i prorodzinne, obrona życia nienarodzonych, pomoc zwykłym ludziom jako priorytety jego działania. Dotarcie z tymi informacjami do wyborców ma istotne znaczenie w kontekście zbliżających się wyborów parlamentarnych. Zwłaszcza że Tomaszewski w debatach wypadał bardzo dobrze, był wiarygodny i konkretny, co podkreślali politolodzy, a także wyborcy z różnych części Litwy.

AWPL-ZCHR W POLITYCZNEJ EKSTRAKLASIE

Wybory do Parlamentu Europejskiego przypieczętowały wyborczy maraton. Zakończyły się wielkim sukcesem. Polacy na Litwie spisali się na medal. AWPL-ZChR zdobyła po raz trzeci z rzędu mandat europosła, uzyskując 5,5 proc. poparcia, co stanowi ok. 70 tys. głosów. Spośród 11 europosłów litewskich kadencji 2014–2019 tylko pięcioro zostało ponownie wybranych, w tym Waldemar Tomaszewski. Osiągnięty wynik jest znakomity, bo AWPL-ZChR praktycznie jako jedyna z litewskich partii parlamentarnych utrzymała wynik na tym samym poziomie co w ostatnich wyborach do Seimasu w 2016 r., uzyskując w obu ok. 5,5 proc. i 70 tys. głosów. Ten zakończony zdobyciem mandatu europosła start w wyborach do PE to majstersztyk w wykonaniu Akcji Wyborczej Polaków na Litwie – Związku Chrześcijańskich Rodzin. O europarlamentarnym sukcesie zadecydowało kilka czynników: bardzo dobra, na europejskim poziomie kampania, doskonała mobilizacja wyborców AWPL-ZChR, ale przede wszystkim charyzmatyczny lider listy, Waldemar Tomaszewski, dla którego kampania do PE była w jakimś sensie kontynuacją kampanii prezydenckiej. Wyrazisty w swoich poglądach polityk, pryncypialny oraz wierny zasadom i mocny duchem człowiek to potrzebny w tych trudnych dla Europy czasach europarlamentarzysta, bo IX kadencja Parlamentu Europejskiego będzie przełomowa dla przyszłości Unii i zadecyduje o jej charakterze na najbliższe dziesięciolecia. Zadecyduje o jej tożsamości oraz wartościach, na których będzie się opierała. Dobrze, że Wileńszczyzna ma w Brukseli i Strasburgu godnego zaufania i zdolnego do poświęceń dla wyższej sprawy reprezentanta, polityka zasad i wartości.

WAŻNE MINISTERSTWA DLA POLAKÓW

W lipcu 2019 r. doszło na Litwie do rekonstrukcji rządu. Oficjalną propozycję powiększenia koalicji rządowej premier Saulius Skvernelis złożył na ręce Tomaszewskiego nazajutrz po wyborach do PE. Akcja Wyborcza Polaków na Litwie – Związek Chrześcijańskich Rodzin odniosła kolejny polityczny sukces, partia weszła w skład koalicji rządzącej Litwą, obsadzając aż dwa kluczowe ministerstwa, spraw wewnętrznych oraz resort łączności i transportu. Jak podały agencje prasowe w Polsce, jeszcze nigdy litewscy Polacy nie mieli tylu resortów i to tak ważnych. I jest to bez wątpienia bardzo celna i trafna uwaga, bo Polacy rządzą aż dwoma wpływowymi ministerstwami. Nic tak nie przybliża do realizacji własnego programu jak udział w sprawowaniu władzy. AWPL-ZChR zna ten mechanizm doskonale i realizuje go na poziomie samorządów. Teraz to pozytywne doświadczenie przenosi na poziom rządowy. Decyzja o wejściu do rządu umiejscowiła partię w politycznej ekstraklasie i dała Polakom nowe możliwości. To bardzo ważne resorty, bo MSW, którym zarządza Rita Tamašunienė, poza tym, że odpowiada za policję, zajmuje się też administracją i samorządami oraz polityką regionalną. Natomiast ministerstwo łączności i transportu, które podlega Jarosławowi Narkiewiczowi, to wyjątkowo ważna dziedzina zarówno dla całej Litwy, dająca 10 proc. PKB, jak i dla regionu Morza Bałtyckiego. Co bardzo ważne, dzięki skuteczności negocjacyjnej AWPL-ZChR podstawowe tezy programowe partii znalazły się w porozumieniu koalicyjnym.

CENNE INICJATYWY SEJMOWEJ FRAKCJI AWPL-ZCHR

Ważnym ogniwem kreowania polityki jest ośmioosobowa sejmowa frakcja AWPL-ZChR (odpowiednik polskiego klubu poselskiego), co stanowi 6 proc. litewskiego parlamentu, której przewodniczącą jest Wanda Krawczonok, a jej zastępcą Czesław Olszewski. Frakcja skierowała pod obrady Sejmu ustawę o mniejszościach narodowych, o oświacie, o zwrocie ziemi, o zmianach w ordynacji wyborczej w wyborach różnego szczebla, o ochronie życia poczętego, o lustracji byłych agentów, ustawę o opodatkowaniu aktywów bankowych. Przedstawiła również propozycje prorodzinne, prospołeczne i w dziedzinie socjalnej. Dzięki posłom AWPL-ZChR już w tym roku rodziny otrzymają większe świadczenia na dzieci, wprowadzono bardzo dobrze ocenianą Kartę rodziny, uprawniającą rodziny do różnego rodzaju ulg i zniżek. Sejm wprowadził także z inicjatywy AWPL-ZChR darmowe leki dla seniorów. Również z inicjatywy frakcji AWPL-ZChR dzień 2 listopada, tzw. Dzień Zaduszny, został wpisany na listę dni wolnych od pracy, a rok 2020 będzie na Litwie „Rokiem św. Jana Pawła II". Są to skuteczne inicjatywy polskiej frakcji, które przyjęto absolutną większością głosów. To piękny akcent, ukazujący w pełni świat wartości, którym w życiu publicznym kieruje się Akcja Wyborcza Polaków na Litwie – Związek Chrześcijańskich Rodzin.

dr Bogusław Rogalski

Autor jest politologiem, ekspertem ds. polonijnych i międzynarodowych.

eprasa.pl c63039b557

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Czeluść zagłady

Przyszli w trzech, z rozpylaczami. Na przodzie podoficer w skórzanej kurtce, z czapką wbitą fantazyjnie na bakier, spod której sterczała kępa zbitych kędziorów. Ilja Muromiec czy młody, zdziczały wieprz szukający żeru. Żelazo nie człowiek, chlustać w mróz zimną wodą, a para tylko buchnie z różowych pleców, i ani drgnie. Razgul stepowy w nim drgał. Z rozmachem wszedł, aż powiało. Stanął i jakby u jego stóp daleki Amur popłynął. […] Splunął z fantazją, aż świsnęło, jakby nóż wbił w ścianę".

To próbka talentu literackiego Jana Emila Skiwskiego. Powyższy opis przedstawia podoficera Rosyjskiej Wyzwoleńczej Armii Ludowej (RONA) gen. Bronisława Kamińskiego. Była to wschodnia jednostka wojskowa, która – na rozkaz Niemców – wzięła udział w pacyfikowaniu powstania warszawskiego. Jej zdemoralizowani żołnierze zamiast walczyć z powstańcami zajmowali się jednak głównie grabieżą, gwałtami i mordowaniem cywilów.

Skiwskiego znaliśmy do tej pory jako wybitnego krytyka literackiego i antykomunistycznego publicystę. Teraz możemy go poznać również jako znakomitego prozaika. Jest to zasługa prof. Macieja Urbanowskiego, który od lat niestrudzenie wydobywa tę arcyciekawą postać z niebytu zapomnienia. Zaczęło się od biografii Skiwskiego „Człowiek z głębszego podziemia". Potem był wybór publicystyki politycznej „To, o czym się nie mówi". A teraz jest wybór opowiadań „Umierające miasto".

Ta książka to nie tylko świetna literatura. Uważny czytelnik znajdzie w opowiadaniach Skiwskiego klucz do zrozumienia jego nonkonformistycznych poglądów. „Brano zakładników – pisał o zbrodniczych działaniach gestapo – oświadczając, że zostaną rozstrzelani w razie powtórzenia się aktów terroru. Akty terroru powtarzały się z punktualnością nieomylną i egzekucja uliczna zmiatała całą listę. Aż do następnego razu...".

Skiwski uważał, że prowadzenie „walki" z Niemcami na tak nierównych zasadach to prosta droga do wygubienia narodu. Było to według niego „rzucanie brył żywego ciała Polski w ognistą czeluść zagłady". Dlatego stał się zdecydowanym krytykiem podziemia. ©℗

★★★★★★

JAN EMIL SKIWSKI (RED. MACIEJ URBANOWSKI) „UMIERAJĄCE MIASTO" LTW

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Jadwiga – król Polski

Chociaż oficjalnie dynastia Piastów wygasła w 1370 r., to w rzeczywistości w chwili śmierci Kazimierza Wielkiego żyło kilkunastu jej przedstawicieli. Byli to książęta: kujawscy, mazowieccy i śląscy, którzy nie mieli jednak większych szans na objęcie władzy w Krakowie. Sytuacja się zmieniła, gdy zmarł następca Kazimierza Wielkiego, Ludwik Węgierski. Jego testament został obalony przez możnowładców w Budzie i na tamtejszy tron powołano starszą z córek zmarłego, Marię. W odpowiedzi polskie rycerstwo zjechało się do Radomska i Wiślicy, gdzie obradowano nad przyszłością kraju. Potwierdzono prawa do tronu Andegawenów, ale kategorycznie sprzeciwiono się dalszej unii z Węgrami.

> **W polskim prawie nie istniało pojęcie królowej jako osoby samodzielnie sprawującej władzę**

Do Budy wysłano poselstwo, proponujące, by jedna z córek Ludwika przybyła do Polski, a wówczas zostanie koronowana na króla. W polskim prawie bowiem nie istniało pojęcie królowej jako osoby samodzielnie sprawującej władzę. Królowa oznaczała żonę lub wdowę po królu, a rządzić musiał król, zatem kobietę też tak tytułowano.

Polscy możnowładcy zdecydowali się na Jadwigę, żądając pojawienia się jej w Polsce wiosną 1383 r. Sytuacja rozwijała się dynamicznie, gdyż część rycerstwa chciała okrzyknąć królem jednego z książąt mazowieckich, Siemowita. Piast planował nawet porwanie Jadwigi, gdyby pojawiła się w kraju, i zmuszenie jej do małżeństwa. Wprawdzie nie doszło do realizacji tego projektu, jednak w Sieradzu część rycerstwa okrzyknęła Siemowita królem. Wybór ten poparł arcybiskup gnieźnieński Bodzanta, jednak z powodu braku insygniów nie mógł koronować mazowieckiego Piasta na króla.

Wydarzenia te odbiły się szerokim echem w kraju, tym bardziej że Siemowit wkroczył do Wielkopolski. Wprawdzie nie udało mu się zdobyć Kalisza, jednak dalsza bezczynność dworu węgierskiego groziła utratą polskiej korony. W tej sytuacji do Polski przybyły oddziały madziarskie, które po połączeniu się z rycerstwem małopolskim zaatakowały Mazowsze. Siemowit został pokonany i musiał oficjalnie zrezygnować z pretensji do polskiej korony. O wszystkim zadecydował kolejny zjazd rycerstwa, tym razem w Radomsku. 2 marca 1384 r. zapadła ostateczna decyzja o wyborze Jadwigi na króla, władczyni przybyła do Krakowa w połowie października i trzy dni później została koronowana. Bezkrólewie nad Wisłą dobiegło końca. ©℗

eprasa.pl c63039b557

HONOROWY PATRONAT

Ministerstwo Zdrowia

AGENCJA BADAŃ MEDYCZNYCH

WIZJONERZY
ZDROWIA 2020

24 marca 2020 r. Warszawa

KONFERENCJA
„PRZYSZŁOŚĆ OCHRONY ZDROWIA W POLSCE 2020–2023"

GALA WRĘCZENIA NAGRÓD
„WIZJONERZY ZDROWIA 2020"

Laureatami nagrody są wybitne osobowości świata medycyny oraz systemu ochrony zdrowia, ludzie, którzy zmieniają polską medycynę i opiekę nad pacjentami.

INFORMACJE I ZGŁOSZENIA DO NAGRODY NA:
dorzeczy.pl/wizjonerzy-zdrowia

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

ORGANIZATOR

DO RZECZY

PARTNERZY MERYTORYCZNI

Polskie Towarzystwo Diabetologiczne

FUNDACJA OnkoCafe RAZEM LEPIEJ

Polska Koalicja Pacjentów Onkologicznych

FUNDACJA CARITA

POLSKIE STOWARZYSZENIE DIABETYKÓW

ALIVIA

Federacja Pacjentów Polskich

eprasa.pl c63039b557

Szkocja rozdarta

FOT. JANE BARLOW/EAST NEWS

Teresa Stylińska

Szkoci nie mogą być już jednocześnie w Unii Europejskiej i unii brytyjskiej. Czy wybiorą niepodległość?

Sto lat temu Brytyjczycy upierali się, że Wielka Brytania i Irlandia są ze sobą nierozerwalnie związane. Już wkrótce miało się okazać, że nie. Kilkadziesiąt lat później nastąpiło rozstanie z Indiami – perłą w koronie brytyjskiego imperium. A całkiem niedawno, choć początkowo bardzo się temu sprzeciwiano, odstąpiono Chinom Hongkong" – pisał niedawno na łamach czołowego szkockiego dziennika „The Scotsman" Kenny MacAskill, deputowany Szkockiej Partii Narodowej (SNP) do Izby Gmin, a niegdyś minister sprawiedliwości w rządzie Szkocji.

To krótkie podsumowanie rozpadu imperium, z którego odrywają się po kolei ważne części, prowadzi nacjonalistycznego deputowanego do wyrazistej konkluzji: Brytyjczycy nie zdołają powstrzymać secesji Szkocji. Kiedy to nastąpi, trudno powiedzieć, ale nastąpi na pewno i raczej wcześniej niż później. „Już wkrótce – pisze MacAskill – nad unią brytyjską zajdzie słońce".

Szkocja, wraz z całą Wielką Brytanią, opuściła już Unię Europejską, ale stało się to wbrew woli Szkotów – stale podkreśla Nicola Sturgeon, premier Szkocji, a wraz z nią cała plejada polityków, działaczy i publicystów. Ci, którym droga jest sprawa niepodległości Szkocji, mają na podorędziu argument trudny do podważenia – wyniki referendum z czerwca 2016 r. Podczas gdy w całym kraju za opuszczeniem UE było niespełna 52 proc. głosujących, w Szkocji brexit poparło tylko 38 proc. Aż 62 proc. mieszkańców Szkocji głosowało za pozostaniem w Unii.

JUŻ NIE TEN SAM KRAJ

Dlatego Szkoci znaleźli się dzisiaj w sytuacji szczególnej – między unią, która ponad 300 lat temu połączyła ich kraj z Anglią, a Unią Europejską. Jedna wyklucza drugą. Jeżeli chcą być w „wielkiej" Unii – a, o czym świadczą rezultaty referendum, bardzo chcą – to muszą rozerwać „małą" unię brytyjską.

Wielu Szkotów, obserwując chaos, który towarzyszył rozmowom brexitowym, mogło żywić nadzieję, że do rozstania jednak nie dojdzie. Nie było to bezpodstawne niemal do ostatniej chwili, czyli do połowy grudnia, gdy odbyły się wybory do Izby Gmin. Gdyby wygrała je Partia Pracy, była szansa na ponowne przeprowadzenie dwóch referendów: w sprawie brexitu i w sprawie niepodległości Szkocji. Rząd labourzystowski prawie na pewno musiałby liczyć się z głosem SNP, która zdobyła 48 z 59 szkockich mandatów w Izbie Gmin. Bezprzykładna klęska Partii Pracy pogrzebała te rachuby, a wielkie zwycięstwo konserwatystów sprawiło, że brexit stał się faktem.

Już w dniu brexitu, 31 stycznia, ostatnim dniu obecności brytyjskiej w Unii, Nicola Sturgeon podkreśliła, że chciałaby przeprowadzenia jeszcze w tym roku kolejnego referendum niepodległościowego – choć, jak się zdaje, z wielu wzglę-

eprasa.pl c63039b557

dów jest to nierealne. Przypomnijmy, że wynik pierwszego referendum, zorganizowanego we wrześniu 2014 r., był wysoce rozczarowujący dla zwolenników niepodległości. Za secesją Szkocji opowiedziało się wówczas 45 proc. głosujących, przeciwko – aż 55 proc., chociaż wcześniejsze sondaże dawały niewielką przewagę zwolennikom suwerenności.

Trudno jednak odmówić słuszności argumentowi, którym posłużyła się teraz Nicola Sturgeon: Wielka Brytania po brexicie to już nie jest ten sam kraj, w którym Szkoci parę lat temu postanowili pozostać.

OPARCIE W EUROPIE

Rozdarcie jest więc zrozumiałe. W dodatku wiadomo, że gdyby Szkocja, zerwawszy „małą" unię, pragnęła wrócić do „wielkiej", byłoby to możliwe jedynie na warunkach, które obowiązują wszystkie kraje ubiegające się o przyjęcie do wspólnoty. To oznacza rozmowy, uzgodnienia, procedurę uzyskania akceptacji wszystkich członków Unii. Oczywiście to, że Szkocja jest z Unią doskonale obeznana i że ma np. ustawodawstwo dostosowane do prawa unijnego, powinno stanowić pewien atut. Nie jest to jednak sytuacja komfortowa.

Premier Boris Johnson, który z miejsca odrzucił starania Nicoli Sturgeon o zgodę na nowe referendum, też ma jednak poważny argument: obietnicę, że głosowanie w sprawie niepodległości Szkocji może się odbyć raz na pokolenie. Taką deklarację, przypomniał, złożyli w 2014 r. Alex Salmond, ówczesny przywódca SNP, oraz sama Nicola Sturgeon jako jego zastępczyni. Teraz więc analitycy intensywnie głowią się, jak należy te słowa interpretować: czy jako solenne, wiążące zobowiązanie, czy tylko werbalne podkreślenie wagi wydarzenia.

Aby zrozumieć upór, z którym większość Szkotów obstaje przy pozostaniu w UE, trzeba sięgnąć do historii, stanowiącej w Szkocji punkt odniesienia niemal dla wszystkiego. Gdzie, jeśli nie w Europie, mieli Szkoci szukać oparcia przeciwko większej, bogatszej, coraz potężniejszej Anglii? Dlatego Szkocja przez stulecia tkwiła między Anglią a Europą, gdzie jej najbliższym sojusznikiem, również przez królewskie mariaże, stała się Francja. I tak zostało na długo, o czym – nie przypadkiem, jak utrzymują Szkoci, według których przywódca Wolnej Francji z premedytacją drażnił

Po raz pierwszy badania przeprowadzone przez trzy różne instytucje zgodnie wskazują przewagę zwolenników suwerenności Szkocji

Anglików – przypomniał gen. Charles de Gaulle, gdy podczas wojny wygłosił w Edynburgu pamiętne słowa: „Niech żyje sojusz szkocko-francuski, najstarszy sojusz w Europie!". Gdy Wielka Brytania przystąpiła do EWG, miejsce Francji zajęła Bruksela.

Szukanie oparcia jest i dzisiaj poniekąd naturalne, skoro po ponad 300 latach życia w jednym państwie w Szkocji niezmiennie tli się niechęć do Anglii. Szkoci z jednej strony intensywnie pielęgnują pamięć doznanych krzywd – od zamieniania ziem uprawnych w pastwiska podczas rewolucji przemysłowej do zamykania kopalń węgla za rządów Margaret Thatcher, nie mówiąc o wojnach i zdradach czasów średniowiecza. Z drugiej zaś strony czują się niedoceniani. Żyją w bolesnym poczuciu, że zasługi wielkich Szkotów zawsze idą na konto Anglików. Alexander Graham Bell, James Watt, Alexander Fleming, Arthur Conan Doyle, Robert Louis Stevenson, Adam Smith i David Livingstone – to Szkoci, którzy dla ogółu są w najlepszym razie Brytyjczykami. W roli powszechnie znanych Szkotów występują jedynie Walter Scott i Sean Connery.

Na to wszystko nakładają się kontrowersje co do okoliczności narodzin wspólnego państwa. Czy po stronie Szkotów był to naprawdę czysty akt wolnej woli? Nikt nigdy nie rozwiał podejrzeń, że w 1707 r. część szkockich panów – „garstka łajdaków", jak ich nazwał poeta Robert Burns – dała się Anglikom przekupić. Ten „grzech założycielski", jak powiedzielibyśmy dzisiaj, ciągnie się niezmiennie za stosunkami Szkocji z Anglią.

LEKCJA KATALOŃSKA

Jeżeli dzisiaj Nicola Sturgeon podkreśla, że kolejne referendum musi być przeprowadzone w sposób całkowicie zgodny z prawem, tak by jego wyniki były nie do podważenia (mają być „legal and legitimate"), to nie ma to oczywiście nic wspólnego z owymi mało chwalebnymi początkami. Szefowa szkockiego rządu wyciąga po prostu wnioski z doświadczeń separatystów katalońskich, którzy swe referendum niepodległościowe przeprowadzili samodzielnie, bez formalnej aprobaty ze strony władz w Madrycie. W rezultacie wyników głosowania nie uznał nikt poza bratnimi organizacjami separatystów, a i to nie wszystkimi. Wstrzemięźliwie, o dziwo, zachowała się właśnie Szkocka Partia Narodowa. Choć Szkoci gorąco wspierali aspiracje Katalończyków, a wielu z nich przyjechało do Barcelony na czas referendum, SNP nie uznała Katalonii. Była to decyzja przemyślana, podjęta pod kątem interesów przyszłego państwa szkockiego, które – w to nikt w SNP nie wątpi – kiedyś przecież powstanie. Wtedy zaś, jeśli Szkocja będzie chciała przystąpić do Unii, Hiszpania nie przepuści okazji, by jej za Katalonię odpłacić.

SNP jest dziś największą partią i w parlamencie szkockim, i wśród szkockich ugrupowań zasiadających w Izbie Gmin. Optymizmem mogą napawać sondaże, po raz pierwszy bowiem badania przeprowadzone przez trzy różne instytucje zgodnie wykazują przewagę zwolenników suwerenności, choć na niewysokim poziomie – maksimum 52 proc. Czy ma to związek z odejściem Szkocji z Unii, nie wiadomo. Ale Nicola Sturgeon nie waha się podkreślać, jak bardzo Szkocja straci na brexicie. „Nie ma się co łudzić: przez brexit zubożejemy. Naraża on na szwank nasz dobrobyt, miejsca pracy i inwestycje. W dodatku pod rządami Borisa Johnsona niebezpiecznie oddalimy się od Unii w takich żywotnych sprawach jak ochrona środowiska, standardy jakościowe żywności i prawa pracownicze" – pisała na łamach „Scotsmana" w dniu brexitu.

Jej rząd i tworząca go SNP nie chcą jednak niczego zaniedbać i już teraz myślą o przygotowaniu gruntu pod przyszłość. Dlatego w zaledwie 10 dni po brexicie pani premier udała się do Brukseli, by rozmawiać o przyszłych stosunkach szkocko-unijnych. Taka wizyta tworzy atmosferę, której przedsmak dał Donald Tusk, mówiąc o „entuzjazmie, z jakim w Unii witano by powrót Szkocji". Nie ma to jednak większego znaczenia, bo w rękach Brukseli i tak nie spoczywa żaden klucz do tego, w którym kierunku rozwinie się sytuacja Szkocji. Ten klucz jest w rękach Londynu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c63039b557

FOT. ANNE-CHRISTINE POUJOULAT/AFP/EAST NEWS

ZIMA DOSTARCZANA HELIKOPTEREM

Nie tylko w Polsce tej zimy pogoda jest wiosenna. Brak śniegu dał się we znaki również właścicielom narciarskiej infrastruktury we francuskich Pirenejach. Władze ośrodka narciarskiego Luchon-Superbagnères zdecydowały się w nietypowy sposób ratować zarobek – za pomocą helikopterów zwiozły ok. 50 ton śniegu z wyższych partii gór na niżej położone stoki (dla początkujących i tzw. ośle łączki dla dzieci). Akcja kosztowała ok. 6 tys. euro. Zdaniem lokalnych urzędników zwrócić ma się wielokrotnie.

JAK OSKARŻAĆ POLSKĘ

Ponieważ Polska została podczas drugiej wojny światowej zaatakowana przez Niemcy i zaraz potem przez ZSRS, bardzo trudno Polaków oskarżać o jej wywołanie. Rosjanie wciąż jednak znajdują na to sposoby. Szef rosyjskiej Służby Wywiadu Zagranicznego udzielił wywiadu telewizji Zwiezda i oskarżył Polaków o podpisanie z Niemcami w 1934 r. deklaracji o niestosowaniu przemocy. Siergiej Naryszkin dowodził, że w ten sposób nasz kraj stał się „milczącym wspólnikiem agresora".

KARA ZA TERAPIĘ

Hiszpańska organizacja LGBT doniosła na psycholożkę Elenę Lorenzo. Bo prowadzi zajęcia dla osób „pragnących porzucić skłonności homoseksualne". Pani Lorenzo za takie zajęcia już rok temu została ukarana za „LGBT-fobię". Musiała zapłacić 20 tys. euro. W uzbieraniu tej kwoty pomogli jej wówczas zarówno prywatni darczyńcy, jak i organizacje, w tym katolickie. Za psycholożką wstawiają się m.in. politycy partii Vox, którzy zarzucają rządowi prawicowej koalicji, że już raz w tej sprawie uległ naciskowi „lobby LGBT".

BURMISTRZ OBROBIŁ BABCIĘ

Burmistrz miasta Mount Carmel w stanie Tennessee został aresztowany. Okazało się, że przez ponad rok miał wypisywać sobie czeki rzekomo podpisywane przez jego babcię, która trafiła do domu opieki ze względu na demencję. W ten sposób miał przywłaszczyć sobie blisko 400 tys. dol. Sąd nakazał mu zwrot tych pieniędzy i zadośćuczynienie. A niedawno oskarżył go także o kradzież. Burmistrzowi grozi do 25 lat więzienia.

ŁUP TOALETOWY

Problem z koronawirusem jest poważny. Ale już sam strach bywa irracjonalny. W Hongkongu mieszkańcy obawiają się przerwania łańcucha dostaw do sklepów, więc trwa szał zakupowy – znikają nie tylko artykuły żywnościowe (ryż), lecz także środki czystości, takie jak mydło czy papier toaletowy. Doszło do tego, że trzech mężczyzn napadło na kierowcę samochodu dostawczego wiozącego zamówienie do jednego ze sklepów. Zagrozili mu nożem i skradli papier toaletowy o wartości ok. 130 dol. ©℗

Łukasz Zboralski

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Pancerny Marian pod ostrzałem

Gdy agenci CBA przyszli do centrali NIK, dostępu do gabinetu „Pancernego Mariana" bronił podobno bohatersko dyrektor generalny. Nie wiem, czy oznacza to, że zza barykady z krzeseł ostrzeliwał agentów spinaczami biurowymi za pomocą gumki, ale bardzo żałuję, że tego nie widziałem. Nie obronił – gabinet przeszukano.

To sytuacja śmieszna i zarazem niestety dramatyczna

Żartować sobie można, może nawet trzeba, bo jest to sytuacja tragikomiczna. Skoro tak, to i śmieszna w jakiś sposób i zarazem niestety tragiczna. Oto państwowa służba antykorupcyjna robi najazd na prezesa najważniejszej w państwie instytucji kontrolnej. I szef tej służby, i prezes tej instytucji są nominatami partii rządzącej. To nie tylko wygląda niepoważnie. To wygląda dramatycznie.

Musimy zadać sobie pytanie: Co się tak naprawdę dzieje? Czy za pomocą CBA PiS postanowił wyegzekwować standardy, o które nigdy specjalnie nie dbał, a już na pewno nie wtedy, gdy nominował Banasia na szefa NIK? Czy może jest to raczej akcja uprzedzająca jakiś wyjątkowo niewygodny raport izby, którym jej prezes chce uderzyć w dawnych towarzyszy? Wyjaśnienia nam się należą. A im dłużej ich nie ma, tym gorzej sprawa się prezentuje. ©℗

eprasa.pl c63039b557

Sięgaj wyżej z Bankiem Pekao S.A.

Na drodze do zielonej energetyki Bank Pekao S.A. proponuje nową pożyczkę na cele ekologiczne. Akcja „Zadbaj o dobry klimat" to specjalna oferta „Pożyczki Ekspresowej na cele ekologiczne" na preferencyjnych warunkach: z RRSO 8,3 proc. i prowizją 0 proc. Bank Pekao S.A. oferuje też promocję dla klientów, która nie tylko daje im 3 proc. na koncie oszczędnościowym, ale pozwala też otrzymać 200 zł premii za otwarcie konta

W 2009 r. udział Polski w europejskim OZE wynosił zaledwie 0,59 proc. W ciągu kolejnych 10 lat nastąpił jednak ogromny postęp, a moc działających instalacji zwiększyła się 3,5-krotnie, z 1,75 do 8,23 GW. Przełożyło się to na obecny udział na poziomie 1,53 proc., a widok dachów pokrytych kolektorami słonecznymi lub panelami fotowoltaicznymi na stałe wpisał się w polski krajobraz. Polacy przyzwyczajają się również do elektrycznych i hybrydowych samochodów oraz e-motocykli. W trosce o planetę można również wymienić węglowy kocioł centralnego ogrzewania, zainstalować w domu pompę ciepła oraz wymienić okna i drzwi.

NA CELE EKOLOGICZNE

Wszystkie te cele można zrealizować z nową pożyczką Banku Pekao. Z jej preferencyjnych warunków może skorzystać każdy, nie tylko dotychczasowi klienci. Pożyczka może wynieść od 5 tys. do 50 tys. zł pod warunkiem, że co najmniej 80 proc. tej kwoty przeznaczone zostanie na zakup lub instalację jednego z poniższych celów ekologicznych:

- odnawialnych źródeł energii: kolektorów słonecznych, paneli/ogniw fotowoltaicznych,
- kotłów centralnego ogrzewania (z wykluczeniem kotłów węglowych),
- pomp ciepła,
- okien, drzwi i materiałów do ocieplenia domu,
- samochodów osobowych z napędem elektrycznym lub hybrydowym oraz motocykli i skuterów z napędem elektrycznym.

– Bank Pekao wspiera osoby, które chcą zadbać o dobry klimat naszej planety. Dzięki nowej ofercie „Pożyczka Ekspresowa na cele ekologiczne" oferujemy naszym klientom możliwość pozytywnego wpływu na środowisko naturalne, w którym żyjemy – mówi Wojciech Werochowski, dyrektor Departament Produktów Kredytowych Klienta Indywidualnego w Banku Pekao S.A.

FOT. ADOBE STOCK

Okres spłacania pożyczki można rozłożyć na dowolny okres aż do 10 lat, dzięki czemu wysokość raty można dostosować do indywidualnych potrzeb i możliwości. Specjalne warunki są dostępne dla wszystkich zainteresowanych do 30 czerwca 2020 r.

DLA OSZCZĘDNYCH

Bank Pekao S.A. oferuje także atrakcyjną promocję dla klientów, która nie tylko daje im 3 proc. w skali roku na koncie oszczędnościowym, lecz także pozwala również otrzymać aż 200 zł premii za otwarcie Konta Przekorzystnego lub Konta Świat Premium Banku.

Aby otrzymać 200 zł, wystarczy do 31 marca 2020 r. ściągnąć aplikację PeoPay na smartfona i za jej pomocą założyć rachunek „na selfie" bez konieczności przychodzenia do oddziału banku.

Ci, którzy zdecydują się na założenie rachunku w placówce, otrzymają 100 zł premii. Jednocześnie, na selfie i w oddziałach, klienci mogą otworzyć konto oszczędnościowe z oprocentowaniem 3 proc. w skali roku na cztery miesiące do 30 tys. zł wraz z Kontem Przekorzystnym oraz do 100 tys. zł z Kontem Świat Premium. Oferta dostępna jest dla nowych klientów oraz dla istniejących, nieposiadających konta osobistego lub mających nieaktywny rachunek w Pekao.

Konto Oszczędnościowe Banku Pekao w nowej ofercie jest nie tylko jednym z najwyżej oprocentowanych na rynku (3 proc. w skali roku), lecz także pozwala na bardzo rzadko spotykaną możliwość dokonywania z niego nieograniczonej liczby przelewów bez ponoszenia kosztów. Bezpłatne przelewy z konta oszczędnościowego bez limitu można zrealizować w bankowości mobilnej PeoPay. Oferta łącząca Konto Przekorzystne z Kontem Oszczędnościowym Banku Pekao jest doceniana w rankingach branżowych i została niedawno uznana za najkorzystniejszą dla klienta poszukującego taniego konta osobistego wraz z wysoko oprocentowanym kontem oszczędnościowym.

Kolejnej ofercie promocyjnej towarzyszy nowa odsłona kampanii „Bierz Życie za rogi", w której bierze udział Sebastian Kawa, najbardziej utytułowany pilot szybowcowy w historii. – Naszą ambicją jest dostarczanie klientom jak najlepszych rozwiązań. Po zeszłorocznej prezentacji karty rewolucyjnej, która przy płaceniu za granicą daje gwarancje niskich kursów i przyczyniła się do najlepszego kwartału pod względem sprzedaży kont w historii banku, przyszedł czas na ofertę dla oszczędzających. Inspirują nas ludzie, którzy stawiają sobie ambitne cele i „sięgają wyżej" – tłumaczy Remigiusz Hołdys, dyrektor zarządzający w Pionie Bankowości Detalicznej Banku Pekao S.A.

eprasa.pl c63039b557

Witold Repetowicz

Wiele twarzy Muktady as-Sadra

24 stycznia w Bagdadzie odbył się „marsz miliona" przeciw obecności wojsk USA w Iraku. Został on zorganizowany z inicjatywy Muktady as-Sadra, którego lepiej nie lekceważyć. Wielu przypłaciło to życiem. Jego nazwisko dobrze znane jest też niejednemu polskiemu żołnierzowi

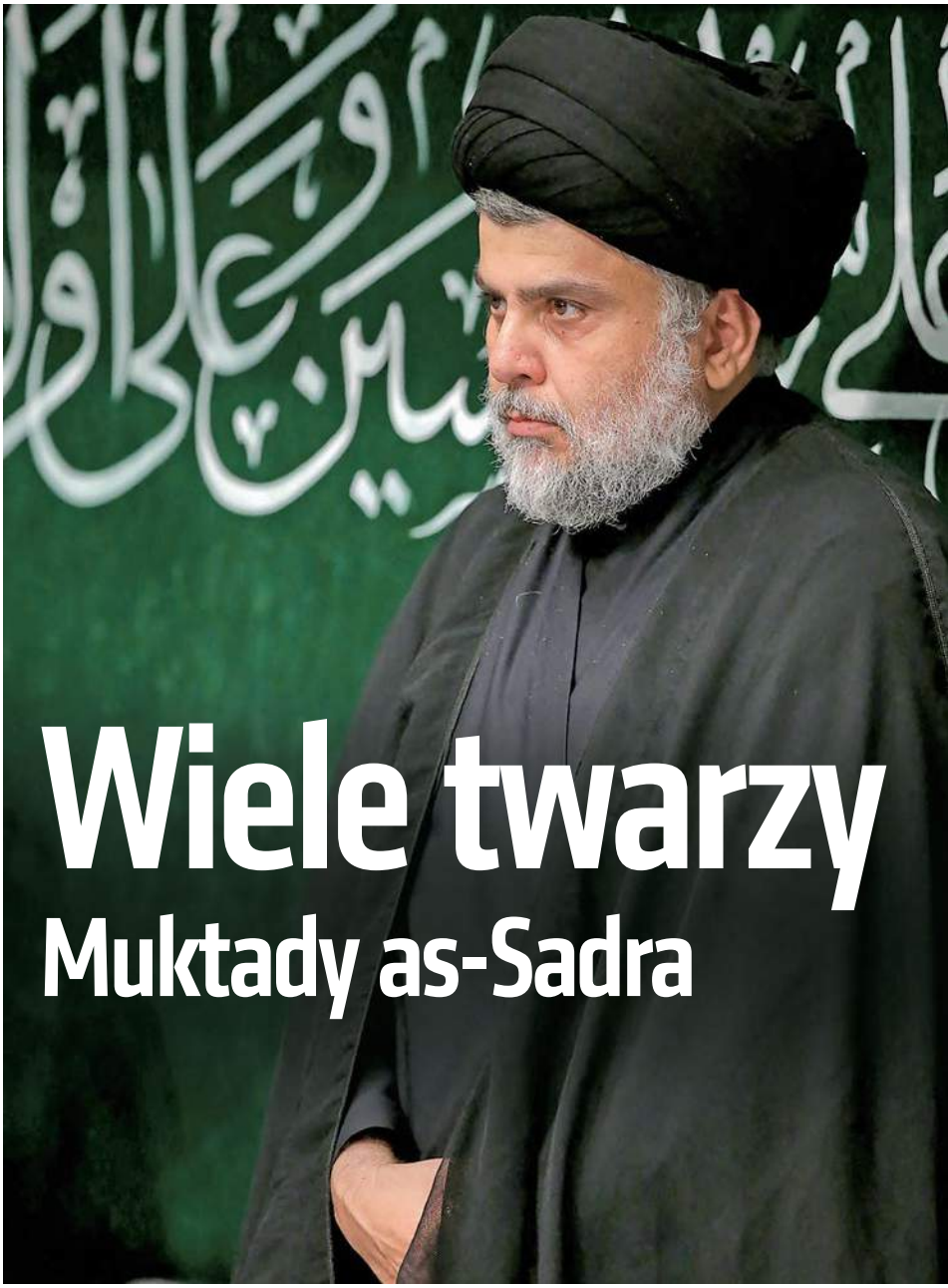

FOT. SALAMPIX/ABACA/EAST NEWS

Największa bitwa stoczona przez polskie wojsko po zakończeniu drugiej wojny światowej miała miejsce w dniach 3–6 kwietnia 2004 r. w irackiej Karbali. Nasi żołnierze, pod dowództwem pułkownika (wówczas jeszcze w stopniu kapitana) Grzegorza Kaliciaka, odpierali wściekłe ataki Armii Mahdiego. Polacy zwyciężyli, i to bez strat własnych, a atakujący padali niczym muchy. Mimo to raz po raz powtarzali próby szturmu na miejscowy ratusz. Zginęło ok. 80 Irakijczyków. Wszyscy byli fanatycznymi zwolennikami 30-letniego wówczas Muktady.

Pewien iracki student powiedział mi kiedyś w Bagdadzie, że Saddam Husajn nie zamordował Muktady dlatego, że uznał, iż ten jest po prostu debilem i jako taki nie stanowi dla niego zagrożenia. Taka ocena nie jest odosobniona w Iraku, zwłaszcza wśród zlaicyzowanej, bagdadzkiej inteligencji. W postsaddamowym Iraku miało nie być dla niego miejsca. Szyicka hierarchia duchowna z Nadżafu z ajatollahem Alim as-Sistanim na czele darzyła nieukrywaną niechęcia również ojca Muktady, ajatollaha Muhammada Sadika as-Sadra.

Duchowny ten zyskał popularność po śmierci wielkiego ajatollaha Abu al-Kasima al-Chu'ia i to dzięki Saddamowi. Al-Chu'i był mardżą, czyli liderem wszystkich irackich szyitów, i na swojego następcę wyznaczył pochodzącego z Iranu 63-letniego As-Sistaniego. Iracki dyktator postanowił zbudować „nacjonalistyczną" przeciwwagę dla irańskich wpływów wśród irackich szyitów i jego wybór padł na stosunkowo młodego, 48-letniego (choć wyglądającego jak starzec) Muhammada Sadika. W szyickich elitach duchownych Iraku był on uznawany za outsidera, m.in. ze względu na swoje skłonności do mistycyzmu, w którego tajniki miał go wprowadzić przypadkowo spotkany na ulicy derwisz, czyli żebrzący kleryk-włóczęga.

POTĘŻNY RÓD

Muhammad Sadik nie zawiódł Saddama, a przynajmniej tak się początkowo wydawało. Rezydująca w Iranie Najwyższa Rada Rewolucji Islamskiej w Iraku, kierowana przez ajatollaha Muhammada Baqira al-Hakima, uznała go za zdrajcę. Tymczasem szyicka biedota w wielomilionowej, bagdadzkiej dzielnicy slamsów (noszącej wówczas nazwę Miasto Saddama, a obecnie – Miasto Sadra) zaczęła wielbić As-Sadra, uznając go za swojego mardżę. To oczywiście nie mogło się podobać tradycyjnej hierarchii rezydującej w Nadżafie. Gdy jednak As-Sadr zaczął tworzyć struktury równoległego państwa szyickiego, Saddam zrozumiał, że popełnił gigantyczny błąd. 19 lutego 1999 r. samochód wiozący ajatollaha i dwóch jego synów wpadł w zasadzkę zastawioną przez irackie siły bezpieczeństwa. Muhammad Sadik przeżył, ale po przewiezieniu do szpitala lekarze na rozkaz irackiego dyktatora nie próbowali ratować jego życia. Z całej rodziny ocalał tylko Muktada, który do 2003 r. się nie wychylał. Jednak gdy Saddam upadł, od razu ogłosił się następcą ojca, kontynuującym jego misję. Miliony wielbiące Muhammada Sadika uznały jego syna za swojego guru.

eprasa.pl c63039b557

Sadrowie nie wzięli się bowiem znikąd. To jeden z najpotężniejszych szyickich rodów w świecie arabskim. Pradziadek Muktady, Ismail, urodził się w irańskim Isfahanie, ale ród pochodzi z Libanu. Ismail osiadł w Nadżafie pod koniec XIX w., gdzie został mardżą. Jeden z jego wnuków, Musa as-Sadr, odegrał kluczową rolę w libańskiej wojnie domowej, organizując pierwszy szyicki ruch polityczno-militarny – Amal. Inny wnuk, Muhammad Bakir as-Sadr, założył pierwszą szyicką partię islamistyczną w Iraku – Dawa, do której należeli potem wszyscy iraccy premierzy po obaleniu Saddama aż do 2018 r. Jednak w 2003 r. wydawało się, że ród ten przeżywa swój zmierzch. Nikt nie zamierzał rozmawiać z Muktadą o przyszłości Iraku i jego roli w nowym państwie. Nie miał tego w planie syn mardży Al-Chu'ia Abd al-Madżid, który po powrocie do Nadżafu z Iranu postanowił za to spotkać się z wyznaczonym jeszcze przez Saddama strażnikiem tamtejszego mauzoleum imama Alego. Rozwścieczony tłum rzucił się na nich, a uciekający duchowny starał się znaleźć schronienie w domu Sadra. Drzwi pozostały jednak zamknięte, a Al-Chu'i został zlinczowany. Niedługo później w potężnej eksplozji w jednej z bram mauzoleum imama Alego zginął Muhammad Baqir al-Hakim uznawany za głównego religijno-politycznego lidera szyitów irackich, a zarazem najważniejszego stronnika Iranu w Iraku. Oficjalnie o zamach oskarżono Al-Kaidę, ale do dziś szepcze się, że za zamachem stał Muktada.

As-Sadrem i jego fanatycznymi, niewyedukowanymi zwolennikami gardził też amerykański namiestnik Iraku – Paul Bremer. Uważał, że należy go po prostu siłą spacyfikować. Po Bremerze pozostała w Iraku raczej tylko zła sława, a siłowe rozwiązanie kosztowało życie wielu amerykańskich (i nie tylko) żołnierzy. Polscy dowódcy w Iraku okazali się bardziej pragmatyczni i to się opłaciło naszym żołnierzom. Generał Waldemar Skrzypczak spotkał się z Sadrem i po rozmowach Armia Mahdiego przestała atakować naszych żołnierzy. Gdy po wybuchu wojny z Państwem Islamskim polski kontyngent znalazł się w Iraku jako część koalicyjnych sił szkolących irackich żołnierzy, Muktada nie miał nic przeciwko nim. Nie zgadzał się tylko z obecnością Amerykanów i Brytyjczyków. Muktadę ostatecznie udało się spacyfikować. W 2008 r. Armia Mahdiego została rozwiązana, a As-Sadr wyjechał do Iranu kontynuować swoje studia teologiczne. Nie ulega wątpliwości, że chciał zostać mardżą, tak jak jego ojciec, ale w Nadżafie, szyickiej stolicy Iraku, był cały czas traktowany z dystansem. W rezultacie do dziś nie ma nawet tytułu ajatollaha.

Ludzie As-Sadra uczestniczyli jednak również w procesie politycznym i po każdych wyborach miał on swoją reprezentację w parlamencie. Gdy większość sił USA opuściła Irak w 2011 r., Sadr powrócił z wygnania. W 2014 r. jego partia Al-Ahrar zdobyła 7 proc. głosów i 34 miejsca w 328-osobowym parlamencie. Sam Sadr nigdy nie kandydował, bo zgodnie z zasadami panującymi w Iraku piastowanie funkcji politycznych wyklucza karierę duchowną, a na tym znacznie bardziej mu zależy. Wynik w wyborach nie był imponujący, a na domiar złego Irańczycy jeszcze w 2004 r. namówili jednego z czołowych dowódców Armii Mahdiego Kaisa al-Chazaliego do założenia konkurencyjnej milicji o nazwie Asa'ib Ahl al-Haq. Gdy wybuchła wojna z Państwem Islamskim i na podstawie fatwy (rodzaj edyktu religijnego) ajatollaha Sistaniego powstała koalicja szyickich milicji o nazwie Haszed Szaabi, as-Sadr również reaktywował Armię Mahdiego pod nazwą Saraja al-Salam (Brygady Pokoju). Nie odgrywały one jednak głównej roli w tej formacji. Muktada szybko znalazł jednak inny sposób, by znów odgrywać pierwszoplanową rolę.

PRZYWÓDCA NAJBIEDNIEJSZYCH

W lipcu 2015 r. środowiska lewicowe zaczęły organizować w Bagdadzie protesty przeciwko korupcji, fatalnemu stanowi usług publicznych oraz dzieleniu władzy według kryteriów etniczno-sektariańskich (szyicko-sunnickich). Muktada poparł odbywające się demonstracje i kazał swoim ludziom się do nich przyłączyć. Ponadto, mimo że w latach 2006–2007 odgrywał kluczową rolę w szyicko-sunnickiej wojnie domowej, teraz stał się orędownikiem porozumienia z sunnitami. W sierpniu 2017 r. pojechał też z wizytą do króla Arabii Saudyjskiej, głównego rywala Iranu w regionie.

Przed wyborami w 2018 r. Sadr zawarł koalicję z irackimi komunistami pod nazwą Sairun i lista ta zajęła pierwsze miejsce. Lider komunistów ten egzotyczny, wydawałoby się, sojusz tłumaczył w rozmowie ze mną tym, że obie strony odwołują się do tego samego elektoratu, tj. najbiedniejszych. Twierdził też, że Sadr bardzo się zmienił i jest pragmatyczny, a oni (komuniści) są wprawdzie za rozdziałem polityki i religii, ale absolutnie nie zamierzają z nią walczyć.

Po wojnie z Państwem Islamskim obóz szyicki w Iraku zaczęła dzielić jeszcze jedna rzecz – stosunek do Iranu. Głównym sojusznikiem Iranu w Bagdadzie stało się przy tym Haszed Szaabi oraz jego reprezentacja polityczna, tj. blok Fatah, którego jednym z liderów był dawny człowiek Sadra Kais al-Chazali. Fatah zajęło w wyborach drugie miejsce, ale okazało się skuteczniejsze w walce o wpływ na kształt nowego rządu. Była to zresztą również zasługa sprawnej i całkowicie zakulisowej dyplomacji irańskiego gen. Kasema Sulejmaniego. Muktadzie pozostało jedynie blokowanie kandydata Fatahu na ministra spraw wewnętrznych. Konflikt między obydwoma obozami się zaostrzył, gdy w 2018 r. znów zaczęły się protesty, podczas których zresztą trzykrotnie spalono irańskie placówki dyplomatyczne.

Sadr znów stanął po stronie protestujących, stając się twarzą szyickiego obozu niechętnego wzrostowi wpływów irańskich w Iraku. Konsekwencją były ataki na biura Sairunu, a także zamachy na dowódców i bazy Saraja al-Salam. 7 grudnia 2019 r. pod ostrzałem rakietowym znalazł się natomiast dom Sadra, a oskarżenie o dokonanie tego ataku padło na proirańskie milicje szyickie. Tylko że Sadra w tym czasie w domu nie było, bo od początku września do dziś przebywa w… irańskim Qom. W dodatku w trakcie uroczystości z okazji szyickiego święta Aszura został sfilmowany, gdy siedział u stóp irańskiego Najwyższego Przywódcy ajatollaha Alego Chameneia. Z drugiej strony Sadra siedział zabity w styczniu 2020 r. przez Amerykanów gen. Kasem Sulejmani, uosobienie irańskich wpływów w Iraku.

Wezwanie do „marszu miliona" nastąpiło po spotkaniu Sadra z liderami najbardziej proirańskich milicji w Iraku, tymi samymi, które miesiąc wcześniej miały ostrzelać jego dom w Nadżafie. Niechęć do Amerykanów, spotęgowana zamachem na gen. Sulejmaniego i lidera Haszed Szaabi Abu Mahdiego al-Muhandisa, okazała się najlepszym spoiwem łączącym rywalizujące bloki szyickie. To, czym ta współpraca zaowocuje w dłuższej perspektywie, dopiero się okaże. Na razie Sadr i jego niedawni adwersarze szyiccy wybrali nowego premiera, którym został Mohammad Tawfiq Allawi. A ludzie Sadra zaczęli pacyfikować protesty, w których niedawno jeszcze uczestniczyli.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c63039b557

Piotr Włoczyk

Muszą przepraszać, wypłacać odszkodowanie i same trafiają pod pręgierz opinii publicznej. Ujawnione kłamstwa i manipulacje części czołowych twarzy ruchu #MeToo ośmieszają walkę z przemocą wobec kobiet

Kiedy w grudniu 2018 r. „The Washington Post" opublikował tekst Amber Heard, wydawało się, że kariera Johnny'ego Deppa, słynnego kapitana Jacka Sparrowa z „Piratów z Karaibów", wpadła na rafę i nic już jej nie uratuje. Heard, była żona gwiazdora, opisała w artykule, jak stała się ofiarą okrutnej przemocy ze strony „współdomownika". Nie wymieniła w nim wprawdzie sprawcy z imienia i nazwiska, ale dla wszystkich oczywiste było, że pisała o swoim byłym mężu.

Aktorska para pobrała się w 2015 r. Rozeszła się już po 15 miesiącach w atmosferze skandalu i wzajemnych oskarżeń o stosowanie przemocy. Heard pokazywała twarz z siniakami (Depp twierdził, że to efekt odpowiedniej charakteryzacji), a jej mąż dzielił się zdjęciami zakrwawionego palca, przekonując, że żona rzuciła w niego butelką wódki, która – roztrzaskując się – zraniła go (Heard przekonywała z kolei, że mąż sam się skaleczył po pijanemu). Ostatecznie Depp zapłacił swojej byłej żonie 7 mln dol., by ta nie prała ich brudów w sądzie. Po rozwodzie para wydała oświadczenie, w którym napisano, że ich związek „był bardzo namiętny, momentami wybuchowy, ale zawsze spajała go miłość. Nigdy nie było w nim żadnego zamiaru wyrządzenia celowej fizycznej czy emocjonalnej krzywdy". Ten „rozejm" między byłymi małżonkami został zerwany właśnie przez artykuł w „The Washington Post".

„Dwa lata temu stałam się powszechnie znaną twarzą przemocy domowej i odczułam pełnię nienawiści, którą nasza kultura kieruje w stronę kobiet, które nie boją się zabrać w tej sprawie głosu" – napisała Heard w „The Washington Post".

Depp próbował się bronić, mówiąc, że ta sprawa nie jest tak oczywista i że z obu stron dochodziło do aktów przemocy, ale to wersja Heard zdominowała

FOT. JOHN SHEARER/WIREIMAGE/GETTY IMAGES

Mitomanki z #MeToo

eprasa.pl c63039b557

przekaz medialny. Gwiazdor kina zaczął być kojarzony z potworem, który zgotował swojej żonie piekło. Miesiąc później, w styczniu 2019 r., aktor złożył w sądzie pozew przeciw swojej byłej żonie, żądając 50 mln dol. za zniesławienie. „Pani Heard nie jest ofiarą przemocy domowej; jest jej sprawcą" – napisał w pozwie adwokat Deppa. Zmiana nastawiania do aktora przez znaczną część społeczeństwa zrobiła swoje i – co podkreśla gwiazdor – cała ta sprawa kosztowała go m.in. wyrzucenie z serii „Piraci z Karaibów".

Kariera Heard z kolei przyspieszyła – stała się ona twarzą kampanii na rzecz praw człowieka ONZ, wielkie koncerny zabiegały, by została ich ambasadorką, ale przede wszystkim zrobiono z niej ikonę ruchu #MeToo, mającego dać głos milionom kobiet – ofiar przemocy seksualnej.

„KTO CI UWIERZY?"

Dzisiaj to jednak Amber Heard znalazła się w tarapatach, a cały jej mozolnie budowany wizerunek ofiary runął jak domek z kart. Wszystko za sprawą materiałów, które na początku lutego opublikował brytyjski tabloid „Daily Mail". Część z nich to nagrania rozmów Heard i Deppa zrobionych za obopólną zgodą, gdy byli jeszcze małżeństwem i starali się rozwiązać swoje problemy, a część to rozmowy telefoniczne, do których doszło już po rozstaniu pary. Pokazują one patologiczny związek – z obu stron – a Heard wychodzi w nich na osobę, która nierzadko sama rozpoczynała awantury i przechodziła do rękoczynów.

„Powiedz całemu światu, Johnny, powiedz im… Ja, Johnny Depp, mężczyzna, także jestem ofiarą przemocy domowej… I zobacz, ilu z nich uwierzy ci i stanie po twojej stronie. […] Wiesz, że ważę niecałe 115 funtów (ok. 52 kg)? I ty wstaniesz, Johnny, na sali sądowej, i powiesz: »Ona to zaczęła?«. Naprawdę? […]" – słowa te Heard wypowiedziała w rozmowie z Deppem latem 2016 r., dwa miesiące po złożeniu pozwu rozwodowego.

„Daily Mail" opublikował też nagranie zrobione rok wcześniej, gdy aktorska para była jeszcze małżeństwem, w którym Heard przyznaje się do bicia Deppa, a także do rzucania w niego garnkami i wazonami: „Nie mogę obiecać, że znowu nie dojdzie z mojej strony do wybuchów przemocy. Robię się tak wściekła, że puszczają mi nerwy".

O ile wcześniej media społecznościowe jednoznacznie brały stronę Heard, o tyle teraz dominuje hasło: #JusticeForJohnnyDepp („Sprawiedliwość dla Johnny'ego Deppa").

„Nieprawdą jest twierdzenie, jak to sugeruje pan Depp, że jeśli pani Heard go spoliczkowała, to ona sama nie może być także ofiarą. To po prostu nie jest prawda" – powiedział adwokat kobiety. Trudno odmówić mu logiki, ale w tym kontekście żałośnie wyglądają jednak wcześniejsze publiczne wystąpienia Heard, wygłaszane ze zbolałą miną, w których apelowała o ochronę ofiar i ściganie sprawców przemocy wobec kobiet.

Swoją drogą dziwi, że ktokolwiek próbował pozycjonować Heard w tej roli, skoro co najmniej od 2016 r. powszechnie wiadomo było, że nie ma w tej sprawie „czystego konta". W 2009 r. aktorka została aresztowana na lotnisku w Seattle za uderzenie swojej ówczesnej dziewczyny Tesyi van Ree (dziś znów jest w związku z kobietą).

„UWIERZ KOBIETOM"

Gdy w październiku 2017 r. amerykańska aktorka Alyssa Milano rozpoczęła w Internecie akcję #MeToo, jej głównym hasłem szybko stało się: „Believe Women", czyli „Wierz kobietom". Feministki na całym świecie przekonywały, że ofiary nie kłamią. Z drugiej strony padały jednak dosyć oczywiste pytania. Na jakiej podstawie należy przyjmować wszystkie oskarżenia wobec mężczyzn za prawdziwe? Czy nie należałoby się wstrzymać z werdyktami do czasu ocenienia dowodów? Czy przypadkiem gwiazdy nie starają się w ten sposób promować? Niedługo okazało się, że do niszczenia wizerunku całej akcji wcale nie trzeba było mizoginów. Pracę tę świetnie wykonały czołowe ikony #MeToo.

W USA poza wspomnianą już Amber Heard spektakularnego sabotażu #MeToo dokonała Asia Argento, włoska aktorka i reżyserka działająca w Ameryce. Argento była jedną z pierwszych kobiet, które oskarżyły Harveya Weinsteina o napaść seksualną. W międzyczasie okazało się jednak, że sama wypłaciła aktorowi Jimmy'emu Bennettowi 380 tys. dol. w związku z oskarżeniem o napaść seksualną. Bennett twierdził, że o 20 lat starsza od niego Argento w 2013 r. upiła go w hotelu i wykorzystała seksualnie, gdy miał 17 lat. Co ciekawe, młody aktor w jednym z filmów grał syna Argento… Po tamtym hotelowym zdarzeniu pozostało selfie przedstawiające tych dwoje leżących w łóżku. Dokumenty w sprawie ugody ktoś „życzliwy" podesłał następnie do redakcji „New York Timesa", który opisał całą sprawę. Prawnik Bennetta twierdził w nich, że „napaść seksualna" podłamała Bennetta psychicznie i odbiła się na jego zarobkach. Bennett przekonywał potem w wywiadach, że gdy zobaczył Argento oskarżającą Weinsteina, trauma odżyła i stwierdził, że sam ją pozwie. Miał się domagać od niej przed sądem 3,5 mln dol., ale ostatecznie zadowolił się wypłatą kwoty blisko 10 razy mniejszej...

Nie brak też pytań w sprawie relacji Argento z Weinsteinem. Włoska aktorka mówi, że hollywoodzki magnat zgwałcił ją na festiwalu w Cannes w 1997 r. Sęk w tym, że później współpracowała z nim przy filmach. Argento nazywała to „skomplikowaną sytuacją".

#MeToo zostało w podobny sposób ośmieszone również w Europie. We Francji akcję rozpoczęła dziennikarka Sandra Muller. Niedawno okazało się, że rzucenie oskarżenia kosztować ją będzie w sumie 20 tys. euro (grzywna i odszkodowanie). Zniesławionym mężczyzną był Eric Brion, pracownik kanału telewizyjnego Equidia. Francuski sąd uznał, że oskarżenia o molestowanie były bezpodstawne i zszargały reputację powoda. Brion tłumaczył przed sądem, że jeden tweet Muller uruchomił „machinę, której nie dało się powstrzymać".

Podobna historia zdarzyła się w Szwecji. Cissi Wallin, feministka i bohaterka tamtejszego #MeToo, została w grudniu 2019 r. skazana przez sąd za pomówienie Fredrika Virtanena, dziennikarza gazety „Aftonbladet". Wallin ma zapłacić dziennikarzowi równowartość 8,5 tys. euro. Wszystko zaczęło się w październiku 2017 r., gdy na fali popularności #MeToo Wallin napisała na swoim Instagramie, że Virtanen ją zgwałcił. Dziennikarz bronił się, przypominając, że policja w 2012 r. zajmowała się już zawiadomieniem Wallin, ale z braku dowodów umorzyła sprawę. Nic to nie dało – sympatia społeczeństwa była po stronie „ofiary" – i Virtanen stracił pracę.

Czy o to chodziło feministkom? Efekty uboczne #MeToo widać szczególnie dobrze w świecie biznesu za oceanem. „Żadnych kolacji z kobietami, nie siadaj obok nich podczas lotów. Rezerwuj pokoje na innych piętrach. Unikaj spotkań jeden na jeden" – w ten sposób „Bloomberg" streścił rok temu atmosferę na Wall Street po przeprowadzeniu rozmów z ponad 30 rekinami finansów. Strach przed fałszywymi oskarżeniami o molestowanie sprawił – według ustaleń „Bloomberga" – że #MeToo znacznie pogorszyło sytuację kobiet w wielkim biznesie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c63039b557

Jacek Przybylski

Wybuch epidemii chińskiego koronawirusa zmusił wielu azjatyckich menedżerów do największego na świecie eksperymentu związanego z pracą zdalną. W niektórych branżach nieoczekiwany test przyniósł tak dobre rezultaty, że firmy chcą stale wykorzystywać zdalny tryb pracy

Koronawirus włączył

Nowy wirus 2019-nCoV, który zabił już na całym świecie co najmniej 2 tys. osób, wstrząsnął globalnymi rynkami finansowymi, nie tylko na kilka tygodni wstrzymał pracę w wielu chińskich fabrykach (w tym w zakładach w prowincji Guangdong znanej jako „fabryka świata"), lecz także spowodował również tymczasowe zamknięcie w Chinach sklepów i salonów sprzedaży tak wielkich sieci handlowych jak IKEA, Gap czy Apple. Gigant z Cupertino ostrzegł w ubiegłym tygodniu, że zaburzenia zarówno w produkcji, jak i w handlu w Państwie Środka najpewniej spowodują zmniejszenie przychodów spółki w pierwszym kwartale.

Koronawirus doprowadził również do odwołania wielu ważnych imprez, w tym np. międzynarodowych targów motoryzacyjnych w Pekinie Auto China 2020, a także Targów Kantońskich. Epidemia wirusa, a także wprowadzone przez władze w Pekinie środki do walki z nią – częściowym lub całkowitym zakazem podróżowania objęto ok. 60 mln Chińczyków – uderzyły jednak nie tylko w fabryki, restauracje, luksusowe hotele czy sklepy w Państwie Środka, lecz także sprawiły, że wiele biurowców w chińskich metropoliach praktycznie opustoszało. Część menedżerów wielkich koncernów przekonywało podwładnych, aby przedłużyli świąteczne urlopy. Inni – aby nie podejmować decyzji o czasowym zamknięciu interesu i nie zwiększać negatywnego wpływu przestojów na światową gospodarkę – wprowadzali obowiązkowe badania temperatury przy wejściu i elastyczne godziny pracy (aby ich podwładni mogli unikać godzin szczytu w komunikacji miejskiej) lub też – w branżach, w których jest to możliwe – rozszerzali na wszystkich pracowników przywilej pracy zdalnej, dostępny wcześniej jedynie dla nielicznych wybrańców.

ARMIA TELEPRACOWNIKÓW

Według dziennika „China Daily" ponad połowa ankietowanych pracowników

eprasa.pl c63039b557

FOT. ADOBE STOCK

tryb zdalny

w Pekinie po powrocie z obchodów Chińskiego Nowego Roku zaczęło telepracę. Zdalne wykonywanie obowiązków zalecił pracownikom m.in. holding e-commerce Alibaba, ByteDance – właściciel popularnego serwisu społecznościowego TikTok, a także giganci z informatycznej branży – Tencent i Microsoft. Na kilka tygodni tryb pracy zdalnej włączyli także chińska załoga Audi, pracownicy czołowego światowego producenta dronów DJI, a także pracownicy Country Garden, potentata na rynku deweloperskim. Do domów z laptopami i komórkami wysłała na kilka tygodni wszystkich swoich 400 pracowników agencja marketingowa Reprise Digital z Szanghaju. – To dla nas dobra okazja do przetestowania zdalnej pracy na tak wielką skalę. Oczywiście nie jest to łatwe dla agencji kreatywnej, która co rusz robi burze mózgów. Musimy robić wideoczaty i telekonferencje – tłumaczył dyrektor agencji Alvin Foo, cytowany przez dziennik „Japan Times".

Telepracę nakazały też niemal wszystkim urzędnikom władze Singapuru, Hongkongu czy Macao, zalecając przychodzenie do pracy jedynie pracownikom służb ratunkowych. W domach kilka tygodni pracowali także naukowcy.

Według chińskiej sieci telewizyjnej CGTN tylko 3 lutego 2020 r., w pierwszy poniedziałek po zakończeniu obchodów Chińskiego Nowego Roku, niemal 200 mln osób pracowało z domu za pośrednictwem stworzonej przez Alibabę – jedno z największych chińskich przedsiębiorstw – platformy DingTalk. Umożliwia ona nie tylko wspólną zdalną pracę nad przechowywanymi w wirtualnej chmurze dokumentami, lecz także organizację wideokonferencji czy zdalnych eventów dla kilkuset uczestników jednocześnie. W ciągu 24 godzin DingTalk znalazł się na drugim miejscu najczęściej pobieranych aplikacji w AppStore. Aby mimo gwałtownie rosnącego popytu wszystko sprawnie działało, do obsługi DingTalk dodano 100 tys. serwerów (sic!).

Z możliwości chińskiej platformy skorzystało również ponad pół miliona chińskich nauczycieli oraz 50 mln uczniów, którzy wykorzystują aplikacje DingTalk oraz Youku do prowadzenia lekcji na żywo w ramach wdrożonego nagle programu internetowego nauczania. Do zdalnego prowadzenia zajęć chińscy nauczyciele wykorzystywali też Google Hangouts i inne komunikatory.

Na początku lutego firma Tencent zwiększyła też możliwości swojej aplikacji WeChat Work, za pomocą której można już zorganizować e-konferencję nawet dla 300 osób.

Jednocześnie inne platformy ułatwiające zdalną pracę – takie jak należąca do ByteDance Feishu czy opracowana przez Huawei WeLink – bezpłatnie udostępniły korporacjom część wcześniej płatnych funkcji. Tylko 2 lutego 2020 r. konta na platformie WeLink otworzyło aż 15 tys. przedsiębiorstw. Według chińskiej grupy medialnej Caixin Global średnia liczba otwieranych kont wzrosła na początku lutego o 50 proc.

POLSKA WŚRÓD LIDERÓW

Wirus włączył „tryb zdalny" również w wielu europejskich i amerykańskich korporacjach.

O wykonywanie swoich obowiązków we własnych domach pracowników, którzy niedawno wrócili z Chin, poprosili m.in. szefowie szwajcarskiej instytucji finansowej UBS, brytyjskiego holdingu HSBC, amerykańskiego Facebooka oraz wielkich sieci handlowych, takich jak Walmart czy Home Depot. Ze względu na zagrożenie epidemiologiczne na pracę zdalną przeszło również wielu Polaków, zwłaszcza tych pracujących w polskich oddziałach azjatyckich koncernów.

Z Chin do Polski powrócił także na kilka tygodni szef przedstawicielstwa

eprasa.pl c63039b557

KGHM Polska Miedź SA w Szanghaju, aby pracą biura też kierować zdalnie.

I chociaż miliony Azjatów wróciły już do zamkniętych przez kilka tygodni fabryk, sklepów i biurowców – to w wielu branżach, np. w reklamowej, logistycznej, ubezpieczeniowej, finansowej czy prawniczej, nieoczekiwany eksperyment przyniósł tak dobre rezultaty, że pracodawcy rozważają częstsze umożliwienie pracownikom telepracy lub nawet kompletną rewolucję w systemie zatrudnienia.

Odsetek pracujących zdalnie sukcesywnie zwiększa się zresztą w różnych krajach świata.

Taka forma pracy bardzo popularna jest zaś w amerykańskiej Dolinie Krzemowej, w której już od końca lat 80. XX w. programiści i informatycy mogli wynegocjować tę formę współpracy z poszukującymi największych talentów gigantami technologicznymi.

Według spisu statystycznego w USA osoby, które zazwyczaj pracują poza biurem w 2018 r., stanowiły 5,3 proc. amerykańskiej siły roboczej (wzrost z 4,6 proc. 2015 r. i z 4,1 proc. w roku 2008). Odsetek Amerykanów, którzy od czasu do czasu pracują zdalnie, według sondażu Gallupa z 2017 r. wynosi już jednak 43 proc. Jest to więc już armia składająca się z kilkudziesięciu milionów osób.

Magazyn dla menedżerów „Harvard Business Review" zauważa, że obok coraz popularniejszej pracy z domu (np. na kanapie przy kominku w salonie) rodzi się też nowy trend: pracy z dowolnego miejsca świata (np. z plaży nad brzegiem oceanu). Najczęściej „cyfrowi nomadzi" wciąż pracują w swoim ojczystym kraju, choć w niektórych przypadkach wyprowadzają się np. do Wietnamu, Tajlandii lub jakiegokolwiek innego państwa, byle tylko miało na tyle dobre szerokopasmowe połączenie z Internetem, aby w razie potrzeby bez trudu można było wziąć udział w wideokonferencji.

Zdalną pracę chwalą sobie nie tylko pracownicy, lecz także wielu menedżerów. Z badania przeprowadzonego w 2017 r. przez Alexandre'a Masa z Uniwersytetu Princeton oraz Amandę Pallais z Harvardu wynika, że statystyczny pracownik jest skłonny zgodzić się na ośmioprocentową obniżkę wynagrodzenia, byle tylko mógł pracować z domu. Dzięki temu pracownicy mogą przeprowadzić się do miasta/kraju o dużo niższych kosztach życia lub np. przenieść się bliżej starzejących się rodziców. Zdalna praca ułatwia też łączenie obowiązków zawodowych z wychowywaniem dzieci. Z badań wynika zaś, że zaoszczędzony na przejazdach czas – w ciągu roku to ekwiwalent aż 10–11 dni – telepracownicy wykorzystują m.in. na dłuższy sen, spędzanie większej ilości czasu z rodziną czy rozrywkę.

Z amerykańskich statystyk wynika jednak, że osoby pracujące zdalnie wcale nie zarabiają mniej, a wręcz przeciwnie – przeciętnie dostają rocznie o 4 tys. dol. więcej niż ci, którzy grzecznie każdego dnia jadą do biura. Do tego dochodzą spore oszczędności na paliwie, opłatach za parkowanie, biletach na komunikację miejską etc. Wśród szczęśliwców, którzy mogą pracować w domu lub nad basenem, są nie tylko programiści czy dziennikarze, lecz także menedżerowie, księgowi, handlowcy, agenci nieruchomości, pracownicy działów kadr, łowcy głów, architekci wnętrz oraz pracownicy call center.

W rankingu „Remote Workers Index" w pierwszej piątce znalazły się: Niderlandia, Niemcy, Hiszpania, Wielka Brytania oraz Polska

Rozwojowi telepracy służą też nowe technologie: obecnie bez trudu można zdalnie sprawdzić służbową skrzynkę, odbyć telekonferencję czy wymieniać dokumenty w firmowej chmurze.

W dorocznym rankingu „Remote Workers Index", przygotowywanym przez brytyjską firmę Plusnet, w 2019 r. za najlepszy kraj w Europie dla „cyfrowych nomadów" zostały uznane Niderlandy. W pierwszej piątce znalazły się również Hiszpania, Wielka Brytania oraz Polska. Nasz kraj wśród 20 badanych najbardziej zaludnionych państw Europy wyprzedził m.in. Francję, Szwecję, Austrię, Danię czy Czechy.

Przy ustalaniu rankingu brano pod uwagę 10 zmiennych, m.in. odsetek osób, które już w danym kraju pracują zdalnie, dostępność biur z możliwością wynajęcia przestrzeni do pracy, szybkość i dostępność Internetu, a także koszty życia i ogólne poczucie szczęśliwości. Polska „cyfrowych nomadów" przyciąga m.in. niskimi kosztami utrzymania. W dół rankingu ciągną nas z kolei zbyt wolny Internet oraz niższy poziom zadowolenia z życia niż w Niderlandach, Niemczech czy Wielkiej Brytanii.

Eksperymenty związane z telepracą pokazują, że efekty pracy z domu są jednak bardzo zachęcające. Jak zauważyli badacze z kalifornijskiego Uniwersytetu Stanforda, gdy w Chinach biuro podróży Ctrip pozwoliło osobom z call center na pracę z domu, ich efektywność wzrosła średnio aż o 13 proc., głównie dzięki krótszym przerwom w pracy i mniejszej liczbie dni spędzonych na zwolnieniach lekarskich.

Przywiązani do tradycyjnej formy zatrudnienia szefowie obawiają się jednak, że ich zdalni pracownicy będą pracować mniej lub np. przesadnie łączyć w godzinach pracy zadania służbowe z obowiązkami domowymi. Z tego powodu nawet w obrębie jednego kraju czy jednej branży podejście do telepracy może być zupełnie inne. Dla przykładu: amerykańskie tanie linie lotnicze JetBlue Airlines praktycznie wszystkich pracowników działu rezerwacji zachęcają do telepracy. United Airlines czy American Airlines umożliwiają pracę zdalną wybranym pracownikom, ale wiele innych dużych linii lotniczych wciąż woli mieć pracowników call center w jednym miejscu.

Już wiadomo również, że nagły wzrost zainteresowania oprogramowaniem ułatwiającym zdalną pracę znacząco zwiększy zyski koncernów informatycznych, które szybko rosły nawet przed pojawieniem się epidemii. Wartość sektora „smart office" w 2018 r. analitycy Qianzhan Industry Research Institute szacowali na 3,3 mld dol., czyli aż o 20,8 proc. więcej niż rok wcześniej. Do 2024 r. wartość rynku „smart office" w samych Chinach wyniesie ok. 7 mld dol. Na zdalnej rewolucji coraz więcej zarabiają także firmy oferujące przedsiębiorstwom możliwość pracy w chmurze (takie jak np. Kingston Office).

Wiele nowoczesnych start-upów z założenia jest bowiem firmami, w których pracuje się zdalnie. Zmiany w sposobie pracy wprowadza też wielu rynkowych gigantów. Do jesieni 2020 r. zdalnie, przynajmniej od czasu do czasu, ma pracować też mniej więcej połowa pracowników amerykańskiej firmy Dell. Jest więc bardzo prawdopodobne, że w ciągu 10 lat wiele milionów z nas będzie pracowało z domu lub z tropikalnej wyspy, a wielkie przestrzenie w stylu open space w coraz droższych do wynajęcia biurowcach powoli zaczną przechodzić do historii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c63039b557

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Wszyscy na emeryturę!

Jak wiadomo, limitem w psuciu systemu emerytalnego jest tylko kasa państwa, a precyzyjnie rzecz ujmując – jej dno. Czyli psuć system można dopóty, dopóki wystarczy pieniędzy na wypłatę emerytur. A trzeba przyznać, że w ciągu ostatnich kilkunastu lat polscy politycy mocno w tej sprawie docisnęli pedał gazu.

W pierwszej kolejności rozwalili – jeszcze zanim zbudowali – powszechny system emerytur kapitałowych, złożony z otwartych funduszy emerytalnych (OFE), najpierw wyłączając zeń pracowników służb mundurowych (premier Miller w 2003 r.), potem górników (premier Belka w 2005 r.), wreszcie – demolując cały system OFE poprzez zawłaszczenie połowy zgromadzonych w nim oszczędności przyszłych emerytów (premier Tusk w 2013 r.). Nie wspominając o tym, że polskim politykom nigdy nie starczyło odwagi do podjęcia choćby próby włączenia do systemu emerytalnego rolników i dlatego emerytów ze wsi nadal niemal w całości utrzymują ci, którzy płacą podatki, czyli w znacznej mierze nierolnicy, ponieważ oni, jak wiadomo, PIT nie płacą. Potem przyszedł czas na obniżenie wieku emerytalnego z 67 lat dla kobiet i mężczyzn do na powrót 60 lat dla kobiet i 65 dla mężczyzn (premier Szydło w 2017 r.) oraz na decyzję w sprawie „trzynastych" (i być może „czternastych") emerytur, które mają być wypłacane z Funduszu Solidarnościowego, przeznaczonego podobno dla osób niepełnosprawnych.

Jednak i to nie koniec emerytalnych eksperymentów naszych niestrudzonych polityków. Bo oto prezydent Andrzej Duda wrócił niedawno do idei sygnalizowanej przez siebie już przed pięcioma laty i wyraził „wstępne zainteresowanie" forsowanymi przez Solidarność i OPZZ emeryturami stażowymi. Ich wprowadzenie oznaczałoby, że bez względu na osiągnięty wiek kobiety mogłyby przechodzić na emeryturę po przepracowaniu 35, a mężczyźni – 40 lat. Szefowa ZUS roczny koszt tego pomysłu oszacowała na, bagatela, 14 mld zł. Na szczęście prezydent z firmowania tej inicjatywy podobno się wycofał – choć nie wiadomo, czy na długo, bo przecież ruszyła kampania wyborcza, a konkurenci – kandydat PSL Władysław Kosiniak-Kamysz, a zwłaszcza politycy lewicy – na pewno będą przeć do realizacji i tego pomyslu, i znacznie radykalniejszych. A na początek domagają się podniesienia – i to migusiem – emerytury minimalnej z 1,2 tys. do – a co tam! – 1,6 tys. zł.

Wiadomo też, że z forsowania innego rujnującego finanse państwa konceptu nie wycofa się PSL. Najnowszy pomysł tego związku zawodowego rolników podającego się za partię, specjalisty w skubaniu kasy podatników, polega na tym, by emeryci nie płacili podatku dochodowego. Koszt tej demolki systemu emerytalnego szacowany jest na aż 35 mld zł rocznie. Ale co tam, panowie z PSL, raz się żyje, prawda? Zwłaszcza że nie na swój koszt. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Początek końca globalizacji

Wiek XXI przyniósł wiele zmian społecznych, politycznych i technologicznych, które zapowiadają koniec globalizacji rozumianej jako rosnąca międzynarodowa wymiana towarów, usług, ludzi i idei. Przykładem zmian politycznych jest brexit, wzrost popularności partii postrzegających imigrację jako zagrożenie dla swoich krajów, radykalna islamizacja w krajach muzułmańskich czy znaczący wzrost barier handlowych chroniących narodowych producentów.

O ile zmiany polityczne są najbardziej widoczne w mediach, o tyle ich znaczenie w odwracaniu procesu globalizacji jest małe w porównaniu ze zmianami społecznymi i technologicznymi. Wzrost liczby ludności w krajach rozwijających się połączony z tworzeniem megamiast stwarza jednocześnie szanse i zagrożenia. Megamiasto jest olbrzymim rynkiem, który generuje popyt na towary i usługi, jednocześnie jest ośrodkiem naukowym i biznesowym, co razem tworzy różnorodny ekosystem zmniejszający korzyści z handlu z innymi megamiastami lub dalekimi krajami. Z drugiej strony olbrzymie skupienie ludzi na małej przestrzeni stwarza idealne warunki do powstawania i rozwoju epidemii. Ponieważ megamiasta mają swoje lotniska i gęstą sieć powiązań lotniczych, taki wirus może szybko się przenosić do innych megamiast i do innych krajów.

Aby zapewnić żywność megamiastom, cykle produkcji żywności muszą być modyfikowane. Zatem będzie coraz więcej megamiast, w dużym stopniu samowystarczalnych i jednocześnie będących zagrożeniem dla innych megamiast w przypadku pojawienia się epidemii. Bilans korzyści i ryzyka z wymiany handlowej i migracji ulegnie zmianie w kierunku zmniejszenia liczby interakcji.

Kluczowe będą także zmiany technologiczne. Epidemia wirusa z Wuhan pokazała, że globalne łańcuchy dostaw, oferujące korzyści w postaci ograniczenia kosztów, generują potężne ryzyko załamania dostaw w przypadku problemów w danym kraju lub megamieście. Robotyzacja i sztuczna inteligencja spowoduje ponowną koncentrację produkcji w bliskich geograficznie i kulturowo lokalizacjach. Mówiąc wprost, w Chinach będą się sprzedawały głównie chińskie samochody, w Europie europejskie, a w USA amerykańskie. Roboty zastąpią tanich pracowników, a firmy technologiczne z krajów rozwijających się nadrobią zaległości wobec krajów rozwiniętych dzięki kradzieży technologii i masowemu kształceniu studentów w najlepszych uczelniach w krajach rozwiniętych.

Pozostaje pytanie, co w takim świecie będzie z takimi gigantami jak Google, FB, Apple czy Amazon. Tego chyba nie da się przewidzieć, poza tym, że proces odwrotu od globalizacji także odciśnie na nich swoje piętno. ©℗

Autor pełni funkcje chief ideatora w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

eprasa.pl c63039b557

FOT. ADOBE STOCK

Z Marią Humą, prezes Fundacji Kupuj Odpowiedzialnie
rozmawia Tomasz Cukiernik

Jesteśmy narażeni

TOMASZ CUKIERNIK: Które substancje chemiczne zawarte w produktach codziennego użytku są potencjalnie szkodliwe dla zdrowia ludzi?

MARIA HUMA: W różnych produktach są różne substancje chemiczne i wiadomo, że niektóre z nich mogą być dla nas toksyczne. Bardzo trudno wprost udowodnić, że przy długotrwałym narażeniu dana substancja powoduje raka czy też zaburzenia hormonalne, bo trudno w życiu odizolować wszelkie inne czynniki. Niektóre badania na zwierzętach pokazują, że pewne substancje mogą powodować różne problemy zdrowotne u ludzi. Te substancje to np. bisfenol A. Badania pokazują, że jest szkodliwy, że może powodować zaburzanie gospodarki hormonalnej, gdyż swoją budową bardzo przypomina żeński hormon estrogen i łączy się z receptorami estrogenu. Dlatego działa na funkcjonowanie układu hormonalnego, na układ rozrodczy, na płodność, może powodować przedwczesne pokwitanie itd. Coraz więcej osób ma problemy z tarczycą, coraz więcej osób ma problemy z zajściem w ciążę. Co ciekawe, Europejski Urząd ds. Bezpieczeństwa Żywności jeszcze do 2015 r. mówił, że dzienna

eprasa.pl c63039b557

tolerowana dawka dla bisfenolu A wynosi 50 µg na kilogram masy ciała człowieka, a od 2015 r. normę zmniejszono do 4 µg. Tak więc ten ustalany poziom bezpieczeństwa dla różnych substancji chemicznych jest bardzo umowny. Nikt tak naprawdę nie stwierdził, jaka ilość tych substancji jest dla nas bezpieczna, zwłaszcza że one różnymi drogami, w różny sposób do nas docierają.

Gdzie jest stosowany bisfenol A?

Na wewnętrznej ścianie metalowych puszek z żywnością. Ponadto bisfenolem pokryty jest papier paragonowy. Z badań Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego wynika, że kasjerki mogą być narażone na zwiększone ryzyko zdrowotne. Bisfenol jest też w niektórych plastikowych naczyniach. Jeżeli plastik jest z poliwęglanu (oznaczenie 7 PC), to często zawiera bisfenol A. Z poliwęglanu robione są twarde naczynia z plastiku, czyli np. butelki na wodę wielokrotnego użytku. Dodatkowo w styczności z ciepłym albo czymś kwaśnym bisfenol szybciej się uwalnia.

Problemem są też opóźniacze spalania. Jednak czy to nie jest tak, że one są specjalnie dodawane w efekcie jakiejś unijnej regulacji?

Trzeba spowodować, by niektóre łatwopalne materiały przestały być łatwopalne, bo inaczej stanowiłyby zagrożenie dla naszego zdrowia. Pierwszymi opóźniaczami spalania były PCB, czyli polichlorowane bifenyle. One były dość toksyczne. Wprost wykazano podwyższoną umieralność na raka trzustki u pracowników fabryk, którzy mieli częsty kontakt z nimi. Chodzi o różne produkty, nawet wierzchnie pokrycia kurtek, wszelkie impregnaty tkanin używane do produkcji mebli, dywany, wykładziny, materace, pianki w fotelach samochodowych i samolotowych, tkaniny poliestrowe, nylonowe, akrylowe, komputery, telewizory, suszarki, drukarki, telefony komórkowe, plastikowe części samochodowe, panele podłogowe i elewacyjne, farby i lakiery ochronne. Opóźniacze spalania są też szkodliwe dla środowiska, bo są bardzo trwałe. Kumulują się w środowisku i stają się częścią całego łańcucha pokarmowego. Odkładają się w tkance tłuszczowej. PCB były powszechnie stosowane w latach 1930–1980. Z uwagi na swoją szkodliwość zostały zastąpione przez polibromowane difenyloetery, czyli PBDE. Podobnie jak z wieloma innymi substancjami, tak i w tym przypadku, dopóki jej szkodliwość nie zostanie całkowicie udowodniona, to obawiam się, że dopóty nie zostanie ona zakazana.

Z którymi jeszcze innymi szkodliwymi substancjami mamy do czynienia?

Inną grupą takich substancji są ftalany, plastyfikatory. Często się ich używa przy produkcji artykułów z PCV, czyli polichlorku winylu. Ftalany jako zmiękczacze są stosowane np. w przedmiotach gumowych. Są też nośnikiem zapachu – w kosmetykach, w odświeżaczach powietrza. Udowodniono, że niektóre ftalany są groźniejsze, inne mniej szkodliwe, niektóre są wpisane na listę kandydacką Europejskiej Agencji ds. Chemikaliów jako stwarzające duże zagrożenie dla zdrowia ludzi czy dla środowiska. Też mogą rozstrajać gospodarkę hormonalną, powodują zaburzenia nerwowe, mogą wywoływać problemy z koncentracją, napady agresji. I najbardziej narażone są małe dzieci.

Jak w tym zakresie działają unijna regulacja REACH lub inne regulacje Unii Europejskiej?

Unijne regulacje, w tym przede wszystkim REACH, ustanawiają procedury gromadzenia i oceny informacji dotyczących właściwości substancji oraz związanych z nimi zagrożeń. Przedsiębiorstwa zobowiązane są do rejestracji używanych substancji chemicznych, jak również do współpracy z innymi przedsiębiorstwami rejestrującymi te same substancje. Organem, który otrzymuje dokumenty rejestracyjne i ocenia je pod względem ich zgodności z wymogami, jest ECHA, czyli Europejska Agencja ds. Chemikaliów, która działa na rzecz bezpiecznego stosowania chemikaliów oraz wdraża najnowsze unijne przepisy ich dotyczące.

Każde państwo należące do Unii ma prawo zakazać stosowania substancji stwarzających zagrożenie, jeżeli nie można kontrolować związanego z nim ryzyka. Inną możliwością jest również ograniczenie ich stosowania lub obowiązek uzyskania wcześniejszego zezwolenia.

Tego rodzaju działania opierają się na zasadzie ostrożności, która jest główną zasadą unijnego prawodawstwa dotyczącego chemikaliów. Podstawową funkcją (w dłuższej perspektywie czasowej) REACH jest identyfikacja wszystkich „substancji wzbudzających szczególnie duże obawy" (SVHC – Substance of Very High Concern), a następnie ich zastąpienie bezpieczniejszymi alternatywami.

Czy to wszystko spełnia swoje zadanie?

REACH ma za zadanie ochronę zdrowia ludzkiego i środowiska przed zagrożeniami stwarzanymi przez substancje chemiczne. Niestety, nie wszystko da się tak łatwo kontrolować, zwłaszcza gdy produkcja wielu przedmiotów odbywa się poza granicami UE. Dobrym przykładem jest nasze prawo do żądania informacji od dostawców o obecności w wyrobach substancji wzbudzających szczególnie duże obawy z listy kandydackiej. Firmy

REKLAMA

Instytut Pamięci Narodowej oraz **Czeskie Centrum Warszawa**
zapraszają na spotkanie wokół książki Miloša Doležala

Jakby nam już dzisiaj przyszło umrzeć
Dramat życia, kapłaństwa i męczeńskiej śmierci czyhoskiego proboszcza ks. Josefa Toufara

27 LUTEGO (czwartek) godz. 17:30

Przystanek Historia Centrum Edukacyjne IPN
im. Janusza Kurtyki, ul. Marszałkowska 21/25, Warszawa

W spotkaniu udział wezmą:

Miloš Doležal
autor

ks. prof. Tomáš Petráček
historyk, postulator procesu beatyfikacyjnego ks. Josefa Toufara

Jaroslav Šubrt
publicysta katolicki, tłumacz polskiej literatury historycznej

Prowadzenie:
dr hab. Mirosław Szumiło
historyk (IPN, UMCS)

Organizatorzy:
INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ
PRZYSTANEK HISTORIA

Patroni medialni:
TVP HISTORIA
RZECZY
DZIEJE.PL
BIULETYN IPN

eprasa.pl c63039b557

są prawnie zobowiązane do dostarczenia za darmo, w ciągu 45 dni, informacji na temat obecności substancji SVHC w wyrobie (prawnym minimum jest podanie nazwy substancji niebezpiecznej). Obowiązek ten dotyczy jedynie artykułów zawierających SVHC w stężeniu przekraczającym 0,1 proc. ich wagi. Niestety, prawo to nie zawsze działa. Jak wykazały najnowsze badania w ramach ogólnoeuropejskiego projektu LIFE AskReach, firmy albo ignorują zapytania konsumentów, albo nie zawsze odpowiadają zgodnie z prawdą.

Czyli unijne regulacje niekoniecznie nas chronią przed tymi szkodliwymi substancjami?

Nie chronią nas dostatecznie. Dlatego, by ułatwić konsumentom możliwość wysyłania zapytań do firm, powstała aplikacja „Pytaj o chemię", dzięki której, skanując kod kreskowy produktu, każdy może w łatwy sposób wysłać do producenta zapytanie o obecność SVHC w jego wyrobie. Mamy nadzieję, że producenci zalani pytaniami konsumentów zaczną bardziej zwracać uwagę na problem szkodliwych chemikaliów w produktach i będą zastępować je bardziej bezpiecznymi alternatywami.

Są jakieś sankcje za brak odpowiedzi?

Nie. Producentom trudno jest też kontrolować przepływ tych substancji, zwłaszcza jeżeli produkty są złożone, jeżeli części do nich są wytwarzane w Azji, a tam są jeszcze inne regulacje, prawo jest słabsze. Strasznie trudno to złapać i zmonitorować. Nie wiemy tak naprawdę, ile tych wszystkich substancji zostało wprowadzonych do środowiska, gdzie one są skumulowane. Jest też problem z produktami powstałymi z surowców wtórnych. Produkty recyklingowe jeszcze mniej jesteśmy w stanie kontrolować, skąd pochodzą i co się w nich znajduje. Ilość tych szkodliwych substancji jest znacznie wyższa w produktach, które wytwarza się z surowców pochodzących z recyklingu. To wykazały badania czeskiej organizacji Arnika, gdzie zbadano m.in. zabawki dostępne w polskich sklepach. Na przykład kostka Rubika miała ponadtrzykrotnie przekroczoną normę octaBDE (jeden z polibromowanych difenyloeterów) dla plastiku pierwotnego, a spełniała normę dla materiałów poddanych recyklingowi. To, że norma dla materiałów po recyklingu różni się od normy dla materiałów pierwotnych, pokazuje tylko, że choć w tym pierwszym przypadku wiemy, iż to jest szkodliwe dla zdrowia, to norma jest wyższa, bo trudno jest to skontrolować. A chodzi o to, żeby nie zniechęcać producentów do wytwarzania rzeczy z materiałów z recyklingu. Jestem za recyklingiem, ale jednak jakaś większa kontrola tego plastiku wtórnego powinna być.

Czyli Unia Europejska, wymuszając recykling, tak naprawdę nam szkodzi. Stawia ochronę środowiska ponad zdrowiem ludzi?

Po prostu mamy do czynienia z luką prawną, którą należy usunąć. Recykling jest konieczny, ale należy lepiej kontrolować strumień odpadów z recyklingu.

Czy w praktyce produkty importowane z Chin czy innych krajów Azji, gdzie są stosowane inne normy, są bardziej szkodliwe niż produkty wytwarzane w UE?

To bardzo trudno stwierdzić i porównać, bo np. 95 proc. zabawek pochodzi z Chin.

No, ale przecież zabawki czy inne produkty muszą spełniać unijne normy, żeby mogły wejść na rynek UE...

Oczywiście, ale problem jest ze spełnianiem tych norm przez produkty importowane.

Czy ktoś to kontroluje?

Wyrywkowo są robione kontrole. Wyniki tych kontroli są dość niepokojące. W 2018 r. w Unii Europejskiej były 563 przypadki ostrzeżeń wydanych przez RAPEX (unijny system dotyczący bezpieczeństwa wszelkich produktów). Oczywiście ten system nie jest w stanie zweryfikować wszystkich produktów na rynku. Na przykład jakiś czas temu była sprawa szkodliwych dla dzieci spinerów czy glutków, które miały poprzekraczane normy. Jest wspólny rynek i jest wspólny rynek alertów, co jest wygodne, bo jeśli np. w Danii zdarzy się jakiś problem, to jest alert na całą UE. Niestety, z 563 przypadków aż 290 dotyczyło przekroczonych norm chemikaliów w zabawkach dla dzieci. Głównie chodziło o ftalany w zabawkach z plastiku.

Jak konsument może się bronić przed takimi substancjami?

Kupować z głową, kupować rzeczy, które wydają się jak najzdrowsze, jeśli chodzi o żywność, kosmetyki czy środki czystości. Metody typu ocet i soda, które się sprawdzały przez setki lat, na pewno są bezpieczniejsze dla nas i nie mniej skuteczne. Warto jak najbardziej ograniczać plastik. Dzieciom nie kupować gadżetów, pierdół z plastiku typu glutki i inne podejrzane rzeczy, które tak naprawdę do niczego nie są potrzebne. Starać się kupować dzieciom rzeczy, które się wydają bardziej trwałe, bardziej porządne.

Jednak w przypadku mebli ciężko się domyślać, czy coś może być szkodliwe, czy nie...

Można szukać obić z certyfikatami Oeko-Tex, które mają mniej szkodliwych chemikaliów.

A co z laptopami, skoro opóźniacze spalania są w każdym komputerze?

Nie da się przed nimi całkowicie obronić. Jednak duże firmy, które produkują elektronikę, są raczej restrykcyjnie sprawdzane. W laptopach te substancje są np. po to, by urządzenia się nie paliły albo żeby nie wybuchały, ale w takich ilościach, które – teoretycznie – nie powinny nam szkodzić. Nie da się całkowicie odgrodzić od szkodliwej chemii, która nas otacza. Trzeba jednak uważać, np. nie podgrzewać jedzenia w mikrofalówce w plastikowych naczyniach, zrezygnować z puszek, kupując butelkę na wodę, sprawdzić, czy nie zawiera bisfenolu, nie brać paragonów do ręki, nie kupować produktów typu wszystko za 5 zł, bo moim zdaniem w nich prawdopodobieństwo wystąpienia szkodliwych chemikaliów jest większe niż w firmowym sklepie z zabawkami, choć też nie jest to sprawdzane, bo jest to niemożliwe. Zdarzają się przypadki, że niezależnie, czy to mała, czy duża firma, polska czy zagraniczna, będzie miała poprzekraczane normy. Weryfikacja jest wyrywkowa i normy są nagminnie przekraczane. Wiedząc, że ftalany są w miękkich zabawkach z gumy, można z nich zrezygnować. Dodatkowo plastik z recyklingu będzie to najczęściej czarny plastik, więc można nie kupować rzeczy z czarnego plastiku. Najczęściej czarny plastik ma poprzekraczane normy, jeśli chodzi o opóźniacze spalania. Pamiętajmy też, że te substancje nie tylko „siedzą" w tych produktach, ale przedostają się do powietrza, którym potem oddychamy. Dobrze zatem jest często sprzątać, bo dużo tych substancji znajduje się w kurzu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Maria Huma
– prezes Fundacji Kupuj Odpowiedzialnie.

eprasa.pl c63039b557

TEST „DO RZECZY": KAMERA SAMOCHODOWA MIO MIVUE C570

Dobra jakość nagrań w dzień i przyzwoita w nocy, możliwość podłączenia kamery tylnej oraz niezły stosunek jakości do ceny – to najważniejsze zalety budżetowej kamerki samochodowej Mio MiVue C570.

Kamerki samochodowe stają się coraz popularniejsze. Są stosunkowo tanie, a w razie kolizji lub wypadku mogą znacząco ułatwić udowodnienie prawdy, jeśli zdarzy nam się drogowe spotkanie z kierowcą, który za wszelką cenę próbuje wymigać się od odpowiedzialności.

Mio MiVue C570 to intuicyjna w obsłudze, dobrze wykonana niewielka kamerka – wyświetlacz ekranu ma przekątną 2 cale – którą można dyskretnie umieścić na przedniej szybie samochodu. Plusem jest szeroki realny kąt widzenia obiektywu, wynoszący 150 stopni. Model wyposażony w czujnik przeciążeń G-Sensor oraz GPS nagrywa w formacie Full HD, czyli 1920 x 1080 pikseli z szybkością 30 klatek/s.

Dzięki sensorowi Sony Starvis i jasnemu obiektywowi o przysłonie f/1.8 jakość nagrań w dzień, nawet w gorszych warunkach atmosferycznych, robi dobre wrażenie. Obraz jest ostry. I zazwyczaj nie ma problemu z odczytaniem tablic mijanych pojazdów. W nocy jakość nagrania też jest bardzo wysoka. W razie kolizji lub wypadku nie powinno być więc problemu z udowodnieniem, jak naprawdę przebiegło zdarzenie.

Dużo gorzej jest z odczytaniem tablic rejestracyjnych pojazdów. Często wyraźnie widać tablice aut zaparkowanych wzdłuż drogi, numery rejestracyjne samochodów, za którymi jedziemy lub stoimy na światłach, a także tych, które mijamy na sąsiednich pasach. Niestety, o wiele gorzej jest w przypadku samochodów nadjeżdżających z naprzeciwka: światła reflektorów oślepiają kamerkę na tyle mocno, że bardzo rzadko mogłem potem bez trudu odczytać numery rejestracyjne mijanych aut.

Zaletą testowanej kamerki jest automatyczna obsługa trybu parkingowego – oznacza to, że jeśli ktoś zarysuje nas na parkingu, to kamera powinna nagrać sprawcę i ułatwić nam dochodzenie odszkodowania. Plusem jest także możliwość dokupienia i podpięcia tylnej kamery MiVue A30 (tej jednak nie testowaliśmy).

Wady? Drobne, ale jest ich kilka. Wskazania prędkości – które są potem widoczne na nagraniu – często bywają nieco przekłamane (skala błędu zależy od prędkości, z jaką jedziemy, i może sięgać nawet 10 km/h, na szczęście tę funkcję w każdej chwili możemy jednak wyłączyć). Kamerka nie ma też żadnej wbudowanej pamięci, więc musimy polegać jedynie na własnej karcie microSD (o maksymalnej pojemności 128 GB). Szkoda również, że do ładowania nie jest używane nowoczesne gniazdo USB C. Nieco irytujący jest także brak możliwości zgrania filmików na komputer bezpośrednio z urządzenia: trzeba wyjąć kartę pamięci i włożyć ją do czytnika. Ostatni minus to nie zawsze dobrze działająca wbudowana mapa fotoradarów. Podczas testu zdarzało się, że urządzenie ostrzegało przed fotoradarami na skrzyżowaniach, na których znajdują się zwykłe kamery miejskiego monitoringu. Cena: 449 zł.

©℗ ***Jacek Przybylski***

WŁADCA PIERŚCIENI

No może jeszcze nie władca, bo podobnych produktów na rynku już trochę jest, ale z pewnością Circular aspiruje do tego tytułu, mimo że z estetyką wykonania mogło być znacznie lepiej. Mamy tu do czynienia z kolejnym inteligentnym pierścionkiem/obrączką, która 24 godziny na dobę monitoruje aktywność życiową, sen, relaks i poczucie psychicznego odprężenia. W dodatku można ustawić cichy budzik, który daje sygnał, że trzeba przerwać drzemkę. Przydatne w pracy, jeśli wiadomo, o jakich porach szef ma zwyczaj zaglądać do gabinetu.

Wspomniałem o monitorowaniu funkcji życiowych dzięki specjalnym czujnikom, jest tego sporo, począwszy od tętna przez jakość snu, ciśnienie krwi, aktywność fizyczną, a skończywszy na wydolności wysiłkowej itd. Do tego oczywiście służy specjalna aplikacja, która pozwala zobaczyć zbiór danych w formie wykresów i przedstawia proste porady mające poprawić nasze zdrowie i styl życia.

Circular kosztuje ok. 1 tys. zł, zamawiać można na Kickstarterze, a dostawa w sierpniu.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ROBOT DLA DZIECKA

Są wśród nas ludzie, którzy do robotów – po obejrzeniu kilku serii „Terminatora" (w PRL wyświetlanego jeszcze pod tytułem „Elektroniczny morderca") – mają mocno ograniczone zaufanie, wszędzie widząc Skyneta gotowego wywołać apokalipsę. Są i rozkochani w nich bez granic. Raczej do tych drugich trafi Clickbot, czyli robot dla dzieci uczący ich kodowania.

Robocik jest małym, figlarnym spryciarzem, który słucha i „myśli", ucząc się od rozwijającego się wraz z nim dziecka. Generalnie zaprogramowanych ma ok. 200 zadań, które rozumie i umie wykonać – np. podaj kubek, przybij piątkę, uśmiechnij się. Reaguje na głaskanie i pochwałę, cieszy się, gdy jest umieszczony w stacji ładowania; do tego dochodzi też ponad tysiąc kombinacyjnych zestawów zadań.

Clickbot kosztuje ok. 1,1 tys. zł, można go zamówić na Kickstarterze, a dostawa w czerwcu. ©℗

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl c63039b557

Katarzyna Pinkosz

FOT. ADOBE STOCK

Słuchawki w uszach

98 dzieci popełniło w 2019 r. samobójstwo, w tym czworo poniżej 12 lat. Tych, którzy próbowali odebrać sobie życie, mogło być nawet 10 razy więcej. Nie zauważamy, jak często młodzi ludzie nie dają sobie rady ze światem

Wśród osób w wieku od 15 do 24 lat samobójstwo jest obecnie drugą, po wypadkach komunikacyjnych, przyczyną zgonów. Oficjalne dane policyjne pokazują, że ok. stu osób do 18. roku życia rocznie odbiera sobie życie. Realne liczby mogą być jednak nawet trzykrotnie wyższe, gdyż statystyki nie uwzględniają osób, które zmarły w szpitalu kilka czy kilkanaście dni po próbie samobójczej.

– W ostatnich latach wzrosło zagrożenie reakcjami o charakterze autodestrukcyjnym, wzrosła liczba usiłowań samobójczych, samouszkodzeń, a także np. ucieczek od problemów w narkotyki czy liczba przypadków zaburzeń jedzenia. Widać bezradność świata dorosłych, przez lata nie tworzyliśmy programów profilaktycznych i odpowiedniej atmosfery edukacyjnej, by przygotować młodych ludzi do wejścia w świat – mówi prof. Janusz Heitzman z Instytutu Psychiatrii i Neurologii w Warszawie.

ZAKLĘTY KRĄG

Do próby odebrania sobie życia prowadzi splot wielu czynników: po pierwsze genetycznych, po drugie związanych z cechami osobowości, po trzecie – środowiskowych. Na geny wpływu nie mamy, osobowość kształtuje się w pierwszych latach życia, jednak najważniejsze wydają się czynniki środowiskowe, czyli dla młodych ludzi rodzina, rówieśnicy i szkoła. Newralgicznym momentem jest okres dorastania. Zapracowani rodzice zmianę zachowania nastolatka uznają często za przejaw „trudnego dorastania" lub sądzą, że jest już wystarczająco „dorosły" i nie trzeba poświęcać mu tyle czasu. Coraz krótsze rozmowy, zdawkowe pytania: „Co w szkole?", na które młody człowiek odpowiada równie zdawkowo, a potem zamyka się w pokoju, słucha muzyki przez słuchawki lub spędza czas wpatrzony w ekran smartfona. Do tego dochodzi naturalna w okresie dorastania potrzeba młodego człowieka, by już nie wszystkim dzielić się z rodzicami.

Zdaniem prof. Heitzmana nawet co trzeci polski nastolatek wymaga pomocy psychologicznej lub psychiatrycznej. Jednym z najczęstszych powodów są zaburzenia depresyjne. Objawy: smutek, przygnębienie, niechęć do działania, apatia, utrata zdolności do przeżywania radości, uczucie bezsensu własnego życia, niskie poczucie własnej wartości, a w bardzo poważnych przypadkach – myśli samobójcze i próby samobójcze. Często objawy są nietypowe: drażliwość czy aroganckie zachowanie, zniechęcające do nawiązania kontaktu. Niedostrzeżona depresja często występuje u dzieci pozornie niesprawiających problemów, grzecznych, dobrze się uczących, mających za to problem w kontaktach z rówieśnikami. – Rodzice pochłonięci pracą i obowiązkami domowymi zakładają, że jeżeli młody człowiek nie mówi o problemach, to znaczy, że ich nie ma. Dobre oceny, zdawkowo rzucone pytanie: „Co w szkole?" i odpowiedź: „Nic

eprasa.pl c63039b557

nowego" usypiają rodzicielską czujność i pogłębiają nastoletnią samotność – mówi Lucyna Kicińska z Polskiego Towarzystwa Suicydologicznego.

Według ekspertów podstawą, żeby zapobiec depresji, są dobre relacje w rodzinie. – Naturalną potrzebą dziecka jest potrzeba wsparcia i opieki, którą powinno mieć w domu. Często jednak rodzina nie daje takiego wsparcia – przyznaje prof. Heitzman. Problemy zaczynają się, gdy takie dziecko czuje się nieakceptowane przez rówieśników. Na przykład chłopak trafia do klasy, gdzie większość kolegów jest zainteresowana grami komputerowymi i piłką nożną, a on lubi czytać. Dziewczyna nie czuje się akceptowana przez koleżanki, bo np. ubiera się inaczej niż one. Sytuację mógłby pomóc rozwiązać nauczyciel, ale zwykle nie ma na to czasu, nie zauważa problemu lub go bagatelizuje. – Gdy pyta się młodzież, z czym są związane problemy w szkole, to pierwszą odpowiedzią jest „odrzucenie przez rówieśników". Dzieci nie lubią szkoły nie dlatego, że mają sprawdziany, tylko z obawy, „czy zaakceptują mnie koledzy, czy nie wyśmieją i nie powiedzą, że jestem dziwny". Dopiero na drugim miejscu są trudności w nauce, a na trzecim niemożność porozumiewania się z nauczycielami – mówi prof. Heitzman. Jego zdaniem zbyt często rola szkoły ogranicza się do realizacji podstawy programowej, a dziecko postrzega się jak „produkt, który ma się naładować wiedzą".

Młody człowiek, który nie radzi sobie z kontaktami w realu, szuka oparcia w Internecie. Zdarza się, że tam znajduje pomoc, jeśli trafi na osoby, które mają podobne problemy lub już sobie z nimi poradziły. Może tam też poznać „bratnią duszę", częściej jednak Internet tylko na pewien czas daje złudne poczucie bycia w grupie przyjaciół. Zwykle później pojawia się jeszcze większe poczucie pustki. Brak oparcia w rodzinie, hejt, przemoc rówieśnicza, poczucie osamotnienia przy pewnych cechach osobowości może prowadzić do podjęcia próby samobójczej.

Z problemem depresji nie radzą sobie nauczyciele niedostrzegający problemu czy nawet pedagodzy szkolni. – Pamiętam przypadek, kiedy dziecko usłyszało od pedagoga szkolnego: „Musisz mi obiecać, że więcej nie będziesz mieć myśli samobójczych, bo inaczej muszę powiedzieć o tym rodzicowi". A przecież nad myślami samobójczymi się nie panuje, nie można ich po prostu wyrzucić sobie z głowy – dodaje Lucyna Kicińska.

WOŁANIE O POMOC

Większości rodziców, gdy słyszą o samobójstwach czy próbach samobójczych dzieci, wydaje się, że ich to nie dotyczy. Tymczasem z badań Lucyny Kicińskiej wynika, że nawet 7 proc. nastolatków przyznaje się do podjęcia przynajmniej jednej próby samobójczej. – Słyszę od rodziców: „Córka tylko mówi, że się zabije, to jedynie próba zwrócenia na siebie uwagi". Pytam wtedy: „Dobrze, a skoro tak, to czy zwraca pani na nią uwagę?". I wtedy zapada cisza, bo my stawiamy dobrą diagnozę, że dziecko woła w ten sposób o pomoc, ale potem „zasłaniamy sobie uszy" i nie reagujemy – dodaje Lucyna Kicińska.

Jeśli doszło do próby samobójczej, wówczas rodzice są przerażeni. Zdarza się, że dopiero wtedy zauważają problemy dziecka. – Rodzic panicznie zaczyna szukać pomocy. Chce, żeby dziecku coś wytłumaczyć, natychmiast je wyleczyć. Tymczasem przyczyny tego, że dziecko próbuje popełnić samobójstwo, są złożone, dlatego leczenie też jest złożone i powinno obejmować wiele środowisk: rodzinę, szkołę i samo dziecko – mówi prof. Tomasz Srebnicki z Kliniki Psychiatrii Wieku Rozwojowego Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego.

Często konieczna jest praca z całą rodziną i ze szkołą. Gdy rodzic ma zaburzenia depresyjne albo problemy z relacjami w związku, wskazana jest też terapia rodzica. – To wszystko powinno dziać się równocześnie. Zdarzają się sytuacje, gdy rodzic czy szkoła odmawiają współpracy, wtedy ukierunkowujemy się na pracę z nastolatkiem – mówi prof. Srebnicki.

REAKCJE PANIKI

Dramat z psychiatrią dziecięcą w Polsce polega na tym, że nikt nie zwraca uwagi ani nie reaguje, gdy problemy się pojawiają. Zwykle dostrzega się je, gdy są już poważne: dziecko jest w głębokiej depresji, odmawia chodzenia do szkoły, nadużywa alkoholu, wpada w narkotyki lub jest po próbie samobójczej. Wtedy dopiero zaczyna się szukać pomocy – zwykle na przepełnionych i przez lata niedoinwestowanych oddziałach psychiatrii dziecięcej. Jednak szpital to powinno być ostatnie, a nie pierwsze ogniwo systemu pomocy psychologiczno-psychiatrycznej.

Zdaniem prof. Heitzmana reforma psychiatrii dziecięcej, która obecnie ma się zacząć, ma dobry kierunek. Celem jest to, żeby dziecko z problemami depresji czy zaburzeń zachowania było diagnozowane wcześniej i od razu trafiało pod opiekę psychologa czy psychoterapeuty. Jeśli nie będą w stanie pomóc, wówczas dziecko trafi do psychiatry, a w bardzo ciężkich przypadkach na szpitalny psychiatryczny oddział dziecięcy. Po leczeniu w szpitalu ma znaleźć się pod opieką poradni psychologicznej w rejonie zamieszkania. Są już ogłoszone przez NFZ konkursy na poradnie psychologiczno-psychoterapeutyczne dla dzieci i młodzieży.

Pytanie tylko, czy nie zabraknie pieniędzy, mądrych psychologów i terapeutów oraz czy rodzice, nauczyciele i pedagodzy w szkołach staną się bardziej wyczuleni i zaczną wcześniej dostrzegać problemy dziecka. Niezbędne byłyby spotkania/warsztaty dla rodziców, jak rozmawiać z nastolatkami, i szkolenia/warsztaty dla nauczycieli, by potrafili (i chcieli) uczyć swoich uczniów nie tylko polskiego i matematyki, lecz także wzajemnej akceptacji i rozwiązywania konfliktów. – Nie potrafimy rozmawiać z dziećmi, a w sytuacji trudnej dla nich dać im wsparcia, by rozwiązały problem. Dlatego wkładają sobie słuchawki do uszu, by nas nie słuchać – dodaje prof. Heitzman.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Gdzie szukać pomocy:

- **Antydepresyjny Telefon Zaufania Forum przeciw Depresji:** 22 594 91 00, środa, czwartek, godz. 17–19
- **Całodobowe Centrum Wsparcia dla Osób w Kryzysie Psychicznym Fundacji ITAKA:** 800 70 2222, całą dobę 7 dni w tygodniu
- **Telefon dla Rodziców i Nauczycieli w sprawie Bezpieczeństwa Dzieci Fundacji „Dajemy Dzieciom Siłę":** 800 100 100, poniedziałek–piątek, godz. 12–15
- **Dziecięcy Telefon Zaufania Rzecznika Praw Dziecka:** 800 12 12 12, poniedziałek–piątek 8.15–20
- **Mapa punktów pomocy psychologiczno-psychiatrycznej:** forumprzeciwdepresji.pl

eprasa.pl c63039b557

RYCERZE I WARCHOŁY

Turysta z ekspedycji Magellana

JACEK KOMUDA

Antonio Pigafetta, Włoch pochodzący z Wenecji i urodzony ok. 1491 r., został z własnej woli jednym z pierwszych turystów na świecie. Zapłacił pokaźną sumę tysiąca złotych maravedi, aby dołączyć do wyprawy Ferdynanda Magellana, która wyruszyła w 1519 r. z Hiszpanii celem opłynięcia Ameryki Południowej i dotarcia do Moluków na Malajach, skąd zamierzano przywieźć korzenie. Ekspedycja jako pierwsza w historii opłynęła Ziemię, a Pigafetta, który uzyskał zgodę cesarza Karola V, został kronikarzem podróży.

Antonio był świadkiem wszystkich dramatycznych wydarzeń, które stały się udziałem Magellana i jego ludzi. Pościgu statków, które z rozkazu króla Portugalii Manuela I miały uniemożliwić Hiszpanom odnalezienie przejścia na Pacyfik. Potem, po zawinięciu do Patagonii, buntu kapitanów stłumionego siłą przez dowódcę. Następnie odnalezienia przesmyku zwanego dziś od nazwiska odkrywcy – cieśniną Magellana, gdzie jeden ze statków, „Santiago", rozbił się na skałach. Wreszcie dezercji kapitana „San Antonia", który zawrócił do Hiszpanii w epokowej chwili, kiedy pozostałe trzy statki dotarły wreszcie do ogromnego bezmiaru słonych wód. Do oceanu nazwanego przez Magellana Mar Pacifico (Morze Spokojne), który dziś znamy jako Ocean Spokojny.

Pigafetta pisał prawdę; pokazywał, jak dramatyczna i nieprzyjemna była podróż morska na początku XVI w. Gdy ekspedycja minęła 34. równoleżnik, dostała się w strefę upałów, a zapasy żywności zaczęły się wyczerpywać. „Suchary nie były już chlebem, ale mieszaniną kurzu, robaków i mysiej uryny – pisał. – Woda była cuchnąca, zepsuta, z trudem dawała się pić". Jej dzienna porcja wynosiła szklanicę na głowę. Do odpadków dodawano trocin,

FOT. WIKIPEDIA

a jeśli na pokład spadła jakimś cudem latająca ryba, szczęśliwiec, który dopadł ją pierwszy, pożerał ją na surowo. Ci, którzy mieli mniej szczęścia, kładli się pod pokładem z kawałkiem śmierdzącego suchara w zębach i czekali na szczura, którego natychmiast chwytali. Ich cena doszła w końcu do pół dukata w złocie za sztukę.

Dopiero 6 marca 1521 r. statki dotarły do dzisiejszej wyspy Guam w archipelagu Marianów. Tutaj stał się cud: okazało się, że malajski niewolnik Magellana Enrique rozumie mowę tubylców. Tym samym to właśnie on – porwany z Malajów przed laty, a nie Hiszpanie i Portugalczycy – stał się pierwszym w historii człowiekiem, który okrążył kulę ziemską.

Ekspedycja dotarła wkrótce do wyspy Cebu na Filipinach, gdzie jej dowódca pokojowymi metodami skłonił mieszkańców, aby przyjęli chrzest. „Magellan oznajmił mieszkańcom, że nie powinni przyjmować chrześcijaństwa ze strachu lub żeby się nam przypodobać. Jeśli chcą naprawdę zostać chrześcijanami, to trzeba, żeby to było z własnej, nieprzymuszonej woli i z miłości do Boga. Jeśli tego sobie nie życzą – to włos im z głowy nie spadnie" – wspominał Pigafetta. Zawarto też traktat handlowy z tubylcami, który stał się powodem tragedii. Kiedy bowiem jeden z lokalnych władców zbuntował się i nie dostarczył wymaganych towarów, Magellan ruszył z uzbrojonymi ludźmi na wyspę Mactan, aby nauczyć go posłuszeństwa. Niestety, łodzie osiadły na rafie koralowej, a Hiszpanie zostali zasypani przez wojowników gradem strzał. Admirał został otoczony i zakłuty dzidami, a kronikarz odniósł ranę.

Od tej pory położenie Hiszpanów zmienia się na coraz gorsze. Wybierają następcę Magellana – jego szwagra Duarte Barbosę, przydając mu za zastępcę kapitana Carvalha, a władca Cebu zaprasza podróżników na ucztę, która okazuje się pułapką – tubylcy mordują żeglarzy, a tylko nielicznym udaje się ujść z życiem. Dowódcą zostaje Carvalho; Hiszpanie odpływają z Cebu i z zemsty stają się piratami – zaczynają rabować miejscowych, porywając ich wodzów, kobiety i dzieci, aby uzyskać okup. Wreszcie załoga pozbawia kapitana władzy, mianując nowym dowódcą Juana Sebastiána Elcano, byłego pirata, człowieka o podejrzanej reputacji, który jednak z żelazną wolą i uporem doprowadzi ekspedycję do szczęśliwego końca. Także dzięki Pigafetcie, który tworzy słownik miejscowego języka i dogaduje się z tubylcami. Wreszcie, po zabraniu korzeni z Timoru i ucieczce przed pościgiem Portugalczyków, 6 września 1522 r. ostatni ze statków, „Victoria", wchodzi do portu w Sanlúcar w Hiszpanii, po przepłynięciu 86 tys. km; jego ładownie wypełnia 26 ton goździków, o zawrotnej wręcz wartości. Pigafetta przywiózł z wyprawy nie mniej cenne zapiski, które uporządkował po powrocie do Wenecji. Jako „Relację z pierwszej podróży dookoła świata" rozprowadzano je i komentowano na dworach Europy, wydano drukiem dopiero 30 lat później. ©℗

eprasa.pl c63039b557

MARCJANNA LELEK SERWUJE LASAGNE BEZ MIĘSA

Razem z moją siostrą Zuzią odmówiłyśmy jedzenia mięsa, kiedy ona miała 10 lat, a ja cztery. W naszym domu jadło się więc zawsze dużo warzyw, obecnie wszyscy staramy się stosować dietę wegańską. Zuzia zawsze była mistrzynią kuchni i to od niej czerpię większość inspiracji. Kiedy więc mam do wykarmienia więcej osób, robię lasagne z soczewicą według jej przepisu. Obie gotujemy raczej na oko, niż dokładnie odliczając ilości składników.

Składniki:

- makaron do lasagne
- paczka szpinaku
- passata pomidorowa
- dwie szklanki soczewicy czerwonej
- cebula i czosnek
- cztery duże marchewki
- pół szklanki niesłodzonego mleka roślinnego
- kilka łyżek mąki
- olej (ja używam kokosowego)
- przyprawy: sól, pieprz, gałka muszkatołowa, wędzona papryka

Przygotowanie:

W dużym garnku smażymy cebulę, marchewkę startą na grubych oczkach tarki, a potem dodajemy passatę oraz soczewicę i dusimy do miękkości, dodajemy do smaku sól, pieprz i wędzoną paprykę. Szpinak z czosnkiem smażymy na dużej patelni, na mniejszej lub w rondelku przygotowujemy beszamel z mąki, mleka roślinnego i oleju, doprawiamy gałką muszkatołową, solą i pieprzem.

W brytfance układamy makaron i warstwami naprzemiennie szpinak i soczewicę z marchewką. Na samej górze dodajemy beszamel. Im więcej mokrego sosu, tym bardziej miękka i smaczna będzie nasza potrawa. Pieczemy ok. 40 min w wysokiej temperaturze. Jeżeli chcemy, to można z wierzchu posypać startym serem (zwykłym żółtym lub wegańskim).

Polecam wszystkim, którzy nie wyobrażają sobie tego dania w bezmięsnej wersji! ©℗

FOT. KRZYSZTOF KULCZYK/FORUM

oprac. raw
Marcjanna Lelek jest aktorką.

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

O dobrym jedzeniu

Mam ją od niedawna, ale od razu dołączyła do moich ulubionych. Pięknie wydany przez Wydawnictwo Dwie Siostry spory tom „Przepisy i opowieści" ma pięciu autorów. Dwaj kucharze i restauratorzy: Paweł Suwała i Aleksander Baron oraz trzej znawcy poszczególnych działów: Grzegorz Kwapniewski – mięso, Dariusz Wolszczak – ryby, i Julian Karewicz – bar.

Opowieść jest tak sensualna, że czyta się ją z przyjemnością, nawet gdy nie ma się zamiaru gotować. Ale też pokazuje smutną prawdę: oddaliliśmy się od dobrego jedzenia. I nie chodzi tu o dostępność trufli i ostryg, nie chodzi o pieniądze. Od dobrej kuchni oddaliła nas cywilizacja. Zapewniła dostęp do sezonowych warzyw i owoców przez cały rok, do egzotycznych przysmaków w dostępnych cenach, do gotowych szybkich dań. Supermarkety, opakowania, konserwanty i masowa hodowla zwierząt przyczyniły się jednak także do zaniku wartościowego jedzenia.

A ono, jak tłumaczą autorzy tej książki, oznacza przede wszystkim dobrej jakości składniki. Dobre nie znaczy drogie i wyszukane. Oznacza: z dobrego źródła, nieprzemysłowe, niekonserwowane, pozyskiwane lokalnie. Mąka, czosnek, kasza, warzywa, mięso.

Właśnie – mięso, temat ostatnio niemodny. Zgodnie z trendami społecznymi konsumpcja mięsa spada, ale jest mało prawdopodobne, żebyśmy nagle z niego zrezygnowali. Kto więc nadal jada, ten niech przeczyta rozdział Grzegorza Kwapniewskiego. Jego opowieści rozjaśniły mroki mojej niewiedzy w temacie zrazowej górnej, zrazowej dolnej oraz pręgi (mści się nieuwaga na lekcjach biologii).

PRACA ZBIOROWA
„PRZEPISY I OPOWIEŚCI"
DWIE SIOSTRY

Jako człowiek wychowany na PRL-owskiej wołowinie bez kości i z kością nie miałam pojęcia, gdzie która część wołu się znajduje, do czego służy i czym się charakteryzuje. Słowo „rozbratel" brzmiało dla mnie jak wzięte z „Pamiętników" Paska. Teraz już wiem, że to jeden z najlepszych kawałków na rosół. I że mięsa w żadnym wypadku nie należy wrzucać do garnka na wrzątek, jak robiłam przez całe swoje długie życie. Wiem, że wieprzowina z mangalicy i rasy złotnickiej jest najlepsza.

W zagranicznych przepisach jest często uwaga: „Poproś swego rzeźnika, żeby wybrał dla ciebie piękny kawałek..." – tu odpowiednia część zwierzęcia. Czytając te słowa, polski czytelnik pukał się w czoło. Jaki swój rzeźnik? Chyba panienka za ladą w supermarkecie, która z trudem odróżnia cielęcinę od wieprzowiny.

Teraz już wiem – najpierw zapytamy panów Barona, Suwałę i Kwapniewskiego. I w sklepie same bez wahania wskażemy palcem na stosowny kawałek. ©℗

eprasa.pl c63039b557

BILL GATES WYBRAŁ PORSCHE ZAMIAST TESLI

Współtwórca Microsoftu Bill Gates – którego majątek wyceniany jest na ok. 110 mld dol. – kupił wreszcie swoje pierwsze auto elektryczne. Wybrał Porsche Taycana, a więc luksusowego „elektryka" ze Stuttgartu. Ile zapłacił, nie wiadomo. Model ten w Polsce wyceniany jest jednak – w zależności od wersji – od 450 do 790 tys. zł.

W rozmowie z youtuberem MKBHD słynny przedsiębiorca przewidywał, że cena zakupu aut z tradycyjnymi napędem i tych zasilanych energią z gniazdka elektrycznego powinna wyrównać się do końca obecnej dekady. Narzekał jednocześnie, że choć serwisowanie aut elektrycznych jest tańsze, a rachunki za prąd są niższe niż za paliwo, to w przypadku e-samochodów więcej trzeba płacić za polisę ubezpieczeniową. Wybierając niemieckie Porsche zamiast amerykańskiej Tesli, Bill Gates podpadł też ekscentrycznemu miliarderowi Elonowi Muskowi, który publicznie nie ukrywał swego rozczarowania.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

CYFROWE LUSTERKA W LEXUSIE ES

Już w kwietniu tego roku do polskich salonów mają trafić pierwsze egzemplarze hybrydowego sedana ES 300h, w których sprawdzone, lecz staroświeckie lusterka boczne zostaną zastąpione cyfrowymi kamerami o wysokiej rozdzielczości. Obraz z niewielkich kamerek jest w czasie rzeczywistym przekazywany do monitorów znajdujących się w kabinie. Według japońskich konstruktorów takie rozwiązanie zwiększa bezpieczeństwo – zapewnia bowiem kierowcy lepszą widoczność, zmniejszając lub wręcz zupełnie eliminując martwe pole. System potrafi też dostosować obraz do konkretnej sytuacji, np. podczas cofania kamery powiększają obraz i wyświetlają linie referencyjne, ułatwiające wykonywanie tego manewru. Kolejną zaletą cyfrowych lusterek jest ich mniejszy rozmiar, co zmniejsza opór powietrza i wynikający z niego hałas. ©℗

eprasa.pl c63039b557

PRENUMERATA 2020 W CENIE 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIK „DO RZECZY"

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

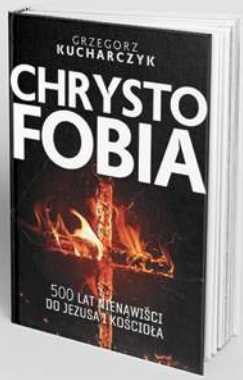

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

GRZEGORZ KUCHARCZYK „CHRYSTOFOBIA. 500 LAT NIENAWIŚCI DO JEZUSA I KOŚCIOŁA"

~~347 ZŁ~~ > **139,00 ZŁ** < OSZCZĘDNOŚĆ 208 ZŁ

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR. 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl c63039b557

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

Wyznaj i pomieszaj

Otóż, proszę państwa, Borys Szyc wyznał publicznie, że jest alkoholikiem, i zadeklarował, że od dłuższego czasu nie pije. Oczywiście należą mu się brawa, wsparcie i „trzymaj się, panie Borys". Sprawa wymaga jednak umieszczenia w pewnym szerszym kontekście.

W kraju nad Wisłą w poniedziałek rano w populacji męskiej konstatacje „jestem alkoholikiem i nigdy już nie wezmę alkoholu do ust" nie są bynajmniej jakąś rzadkością. Wielu mężczyzn przerażonych wydarzeniami z weekendu (w relacjach żon i kochanek celowo zniekształcanych i haniebnie hiperbolizowanych) dotrzymuje słowa nawet przez kilka dni (są tacy, którzy dłużej, budząc niechęć, zazdrość oraz towarzyskie wykluczenie). Wyznanie Szyca indukować musi pytanie: „W jakim celu, wybitny aktorze, raczysz nas banałami?".

Sprawę wyjaśnić może umieszczenie sprawy w węższym kontekście. Borys Szyc swoim alkoholizmem skrytykował bowiem telewizję, gdyż skróconą historię swojej choroby porównywał do stanu tejże, życząc jej ozdrowienia. Osobiście jestem za daleko idącą wolnością słowa i doceniam walory ożywcze wszelkiej krytyki. Każdy krytykować może, trochę lepiej lub trochę gorzej. Nie wchodząc w meritum tego sporu, na sprawę spójrzmy teoretycznie. Mamy tu do czynienia z kreatywnym podejściem naszego wielkiego aktora do tematu prowadzenia sporu. Stworzony przez niego schemat może być twórczo wykorzystywany, rozwijany i uzupełniany.

Załóżmy, że jakiś Jan jest, no dajmy na to, akurat nie alkoholikiem, ale seksoholikiem. I ten nasz Jan nie lubi też bardzo korporacji W, dajmy na to. Pragnąc ją dosadnie skrytykować i w taki sposób, aby przedarło się to do społecznej świadomości, najpierw po pierwsze – opisuje swoje barwne bezeceństwa seksowe, nad którymi w ogóle nie panował, a które w opisach są nawet ciekawsze niż padaczki Szyca, następnie – po drugie – stosuje mniej lub bardziej przekonującą paralelę między swoim do czasu radosnym, a potem już męczącym wyuzdaniem, aby w finale stwierdzić np.: „I wy też tak pierdykacie".

Zgadzam się z państwem, że jest to na granicy dobrego smaku i człowiek charakteryzujący się wysoką kulturą osobistą może się przy takiej argumentacji mimowolnie wzdrygnąć (przecież nie mówię o sobie). Niemniej psychologicznie takie zbitki łączące emocje z podważaniem czyichś kompetencji albo imputowaniem mu złej woli po prostu działają, ponieważ takie schematy są dostrzegane przez ludzi myślących, co w poniedziałek rano, po tym całym jazgocie dotyczącym weekendu i kilku rzeczywiście być może nie do końca fortunnych zdarzeń po tej szkockiej, nie musi być jakieś powszechne. Panu Borysowi życzymy natomiast kolejnych wielkich kreacji aktorskich (mnie to się jako Silny podobał najbardziej) i wytrwałości. ©℗

MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Wojny z historią

Manipulacje historią drugiej wojny światowej w popkulturze to temat, o którym pisałem wielokrotnie. Życie jest jednak tak bogate w kolejne przypadki tuszowania przeszłości za pomocą pozornie niewinnych detali, że nie sposób nie przytoczyć kilku „nowości". Pierwsza to wydana w odświeżonej wersji gra taktyczna „Commandos 2", w której sterując brytyjskimi zielonymi beretami, wkładamy kij w szprychy niemieckiej machiny wojennej. Cykl, do którego nie sposób było się przyczepić od czasu debiutu w 1998 r., w 2020 r. „poprawia" nie tylko grafikę, lecz także wszelkie obecne w oryginale swastyki, flagi III Rzeszy, emblematy wojskowe, zmienia wygląd pojazdów oraz… wymazuje flagi cesarskiej Japonii. Oficjalne tłumaczenie producenta, jak zwykle w takich przypadkach podobne: „Dostosowujemy produkcje do prawa międzynarodowego", które zabrania promocji symboli totalitarnych. Tyle że od lat prawo to nie obowiązuje gier i rozrywki, która wpisana jest w kontekst drugiej wojny. Przecież dwie dekady wcześniej, gdy przepisy były bardziej restrykcyjne, nikt nie myślał, aby stosować cenzorskie zabiegi w oryginalnym „Commandosie". Choćby ze wstydu przed oskarżeniami o brak realizmu.

Przypadek drugi, w jakimś sensie pokazujący słabość polskiej narracji na świecie i niewystarczającej promocji Armii Krajowej, to dodatek do popularnej gry strategicznej „Hearts of Iron IV", opowiadający o europejskich ruchach oporu. Co było do przewidzenia, zamiast największego zrywu antynazistowskiego i największej armii podziemnej, okładkę zdobi ubrana w płaszcz i czerwony beret śliczna Francuzka, która czeka za rogiem, aby zastrzelić niemieckiego oficera. „La Résistance" właśnie tak, od strony heroicznej Francji, postrzega partyzanckie zmagania z III Rzeszą, zupełnie pomijając skalę zjawiska i charakter powstania w Paryżu, które wybuchło, gdy alianci podjechali pod rogatki miasta.

Trzecia historia, pokazująca wagę subtelnego rozkładania akcentów, to popularny ostatnio film „Jojo Rabbit", opowiadający historię chłopca z Hitlerjugend, jego matki oraz młodej Żydówki, którą ta w sekrecie przed synem ukrywa w domu. Film z gwiazdorską obsadą portretuje paradoks wojny, widzianej oczami dziecka, które musi skonfrontować hitlerowską wizję rasizmu i antysemityzmu z żywą i niezwykle sympatyczną osobą, o której istnieniu przez przypadek się dowiaduje. Chociaż jest to dobrze nakręcony film, to przesłanie, które z niego wypływa, brzmi następująco: nawet wśród nazistów było wielu uczciwych ludzi, Niemcy ukrywali przez wojnę Żydów, a cały naród, niczym główny bohater, został potwornie zmanipulowany przez fanatyków, oczekując zakończenia wojny i rzucenia się w objęcia wyzwolicieli – Amerykanów, którzy przywrócą porządek. Chyba nie tak to wszystko wyglądało, prawda? ©℗

eprasa.pl c63039b557

PROGRAM TV REPUBLIKA

PONIEDZIAŁEK

07:00 Polska na dzień dobry
07:35 Prosto w oczy

09:40 Salonik polityczny
11:00 Polityczna kawa
12:15 Gwiazdy w Republice
15:00 Koronka do Miłosierdzia Bożego
15:20 Republika po południu
17:15 Wolne głosy – Popołudnie
18:00 Z Wiejskiej na gorąco
18:15 Ekonomia raport flash
18:30 Dzisiaj - główne wydanie informacji
18:52 Prognoza pogody
18:55 Kulisy manipulacji - flesz
19:00 Dziennikarski poker - A.Stankowski

19:45 Przekaz dnia
20:00 W punkt
20:25 Mówi się...
21:00 Tweet UP

21:30 Starcie cywilizacji

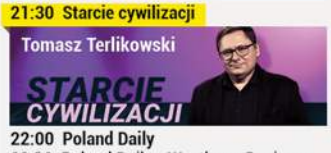

22:00 Poland Daily
22:10 Poland Daily - Weather + Business
22:30 Ekonomia raport
22:50 Suma dnia
23:25 Poland Daily - Culture, History, Travel

WTOREK

07:00 Polska na dzień dobry

07:35 Prosto w oczy
15:20 Republika po południu
17:15 Wolne głosy – Popołudnie
17:40 Ponad prawem

Nowy

18:15 Ekonomia raport flash
18:30 Dzisiaj - główne wydanie informacji

18:52 Prognoza pogody
18:55 Kulisy manipulacji - flesz
19:00 Dziennikarski poker - T.Sakiewicz
19:45 Przekaz dnia
20:00 W punkt
20:25 Mówi się...
21:00 Biznes Polska
21:30 Koniec Systemu

22:00 Poland Daily
22:10 Poland Daily - Weather + Business
22:30 Ekonomia raport
22:50 Suma dnia

23:25 Poland Daily - Culture, History, Travel

ŚRODA

07:00 Polska na dzień dobry
07:35 Prosto w oczy
15:00 Koronka do Miłosierdzia Bożego
15:20 Republika po południu
17:15 Wolne głosy – Popołudnie
18:00 Z Wiejskiej na gorąco
18:15 Ekonomia raport flash
18:30 Dzisiaj - główne wydanie informacji
18:55 Kulisy manipulacji - flesz
19:00 Dziennikarski poker - D.Kania
19:45 Przekaz dnia
20:00 W punkt
20:25 Mówi się...

21:00 Pilnujmy Polski!

21:30 Na pomoc!

22:00 Poland Daily

22:10 Poland Daily - Weather + Business
22:30 Ekonomia raport

22:50 Suma dnia
23:25 Poland Daily - Culture, History, Travel

CZWARTEK

07:00 Polska na dzień dobry
07:35 Prosto w oczy
09:40 W punkt
10:30 Na pomoc!
10:55 Ekonomia raport
11:25 Dziennikarski poker
15:00 Koronka do Miłosierdzia Bożego
15:20 Republika po południu
17:15 Wolne głosy – Popołudnie

18:00 Z Wiejskiej na gorąco
18:15 Ekonomia raport flash
18:30 Dzisiaj - główne wydanie informacji
18:52 Prognoza pogody
18:55 Kulisy manipulacji - flesz
19:00 Oddaję Państwu głos

19:45 Przekaz dnia
20:00 W punkt

20:25 Mówi się...
21:00 Biznes Polska
21:30 Otwartym tekstem

22:00 Poland Daily
22:10 Poland Daily - Weather + Business
22:30 Ekonomia raport
22:50 Suma dnia
23:25 Poland Daily - Culture, History, Travel

PIĄTEK

07:00 Polska na dzień dobry
07:35 Prosto w oczy
09:40 W punkt
10:30 Otwartym tekstem
15:00 Koronka do Miłosierdzia Bożego
15:20 Republika po południu
17:15 Wolne głosy – Popołudnie
18:00 Z Wiejskiej na gorąco
18:30 Dzisiaj - główne wydanie informacji
18:52 Prognoza pogody
18:55 Kulisy manipulacji - flesz
19:05 10.04.2010.Fakty
19:25 Rozmowa ściśle jawna

19:45 Magazyn filmowy Piotra Goćka

20:30 Geopolityczny tygiel

21:00 Specjaliści od wszystkiego

21:30 Kulisy manipulacji

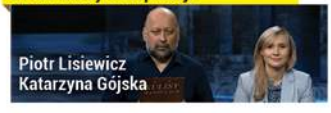

SOBOTA

08:00 Polska na dzień dobry. Weekend
09:35 Gwiazdy w Republice

10:00 Podsumowanie polityczne tygodnia

11:00 Kalendarz historyczny
12:15 Kulisy manipulacji
18:30 Dzisiaj - główne wydanie informacji
19:10 Film na sobotę

19:35 Wywiad z chuliganem
20:35 Ocalenie Ojczyzny

21:00 Za siódmą górą

21:20 Koniec systemu
22:00 Poland Daily
22:30 Gry tajnych służb - powtórki

NIEDZIELA

07:00 Transmisja Mszy Świętej
08:10 Kalendarz historyczny
09:06 7x24

10:06 Studio prasowe

11:00 Salonik polityczny

12:00 Polityczna kawa

17:30 Salonik polityczny
18:30 Dzisiaj - główne wydanie informacji
19:10 7x24
20:10 Polityczna kawa
21:30 Analfabet III RP

22:00 Poland Daily - Weather + Business
22:30 Wywiad z chuliganem

OGLĄDAJ

REPUBLIKA

NOWY PROGRAM

Ponad prawem
poniedziałek-piątek
17:40

www.telewizjarepublika.pl

JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Była babuleńka

Z popielnika na Wojtusia
iskiereczka mruga:
Chodź, opowiem Ci bajeczkę,
bajka będzie długa.
Była sobie Baba-Jaga,
miała chatkę z masła,
a w tej chatce same dziwy!
Psst... iskierka zgasła.

Janina Porazińska

W 1949 r. w oddanym do użytku Domu Literatury na Krakowskim Przedmieściu utworzono kilka mieszkań dla najbardziej potrzebujących, zasłużonych pisarzy. Byli wśród nich Zofia Nałkowska, Tadeusz Breza oraz Janina Porazińska, nestorka pisarek dla dzieci (rocznik 1888), bardzo popularna, czytana przez pokolenia, już wtedy prawie niewidoma – w powstaniu warszawskim straciła jedno oko, drugie, dzięki któremu nadal pisała, atakowała postępująca jaskra.

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

Pochodziła z rodziny o wielkich niepodległościowych tradycjach – styczniowych powstańców, którym skonfiskowano majątki, których zesłano na Sybir (stąd właśnie tak obecne było w jej twórczości umiłowanie polskości, historii kraju, tradycji, folkloru). Studiowała na Uniwersytecie Jagiellońskim przyrodoznawstwo, jej narzeczony zginął tragicznie, została sama, bez dzieci, których bardzo pragnęła, dla nich więc pisała. Najpierw w „Płomyczku" – skąd uciekła, gdy dołączyły do redakcji dwie komunistki: Wanda Wasilewska oraz Janina Broniewska, a potem już były tylko książki, przeszło 70. Głównie zbiory wierszy: „Psotki i śmieszki", „W Wojtusiowej izbie"; powieści: „Kichuś majstra Lepigliny", „Maciuś Skowronek"; polskie baśnie i bajdurki: „Za trzydziewiątą rzeką", „Za górami, za lasami".

Była zachwycona mieszkaniem w Domu Literatów – pokojem z kuchnią, łazienką, balkonem z widokiem na Wisłę, gabinetem lekarskim na dole i stołówką z tanimi obiadami, gdzie jadał też Tyrmand, który wspomniał o niej w swoich „Dziennikach". Przetrwała tam najgorsze stalinowskie lata, gdy mało wydawała, żyła z tłumaczenia „Kalewali" z fińskiego. Ale czas leciał i półdarmowe mieszkania w Domu Literatów były już tylko dla „postępowych", piszących z duchem czasów, a „babuleńka Porazińska", reakcyjna, niereformowalna, ciągle tylko o Koszałkach-Opałkach albo że „Był sobie król, był sobie paź...". Organizacja Partyjna Związku Literatów poparła więc starania towarzyszki Hanny Ożogowskiej, pisarki dla młodzieży, ówczesnej pierwszej sekretarz, której wpadło w oko mieszkanie babuleńki. I choć miała męża na stanowisku, syna wojskowego, dom letni w Konstancinie, w 1958 r. otrzymała przydział na mieszkanie babuleńki. Wysiudała ją i wprowadziła się tu z rodziną. Oficjalnie tłumaczono, że trzecie piętro było dla babuleńki za wysokie, hodowała też za dużo kotów.

Porazińska miała pieniądze na własne mieszkanie, ale starania o nie były ponad jej siły, prosiła więc o pomoc Związek Literatów, który pisał nawet w jej sprawie tu i tam, ale wymagało to dalszych podań, nacisków. A kto miał dla babuleńki czas? Z radością skorzystała więc z propozycji – przyjaciółki Hanny Ożogowskiej z Organizacji Partyjnej Literatów – Haliny Rudnickiej, która zaproponowała jej pokój w swojej willi na starym Żoliborzu. Willę do remontu otrzymała (obok nagrody państwowej) za swoją twórczość dla młodzieży: „Uczniów Spartakusa", w których dopatrzono się symbolu rewolucji, „Płomień gorejący" o Feliksie Dzierżyńskim, „Promyk zza krat" o Jasi Fornalskiej, „Wspomnienia o Janku Krasickim" i dwa tomy o członkach KPP i PZPR: Marcelim Nowotce, Marianie Buczku, Pawle Finderze. Nic nie zwalniało jednak wtedy od nadmetrażu, a Rudnicka mieszkała jedynie z mężem i siostrą, chroniąc się więc przed lokatorami z kwaterunku, pomagając też Ożogowskiej, zameldowała u siebie babuleńkę – kulturalną, spokojną, leciwą, która, jak liczyła, długo już pewnie nie pożyje. Miała płacić Rudnickiej miesięczny czynsz i sfinansować kilka inwestycji, na co chętnie przystała, chciała już wreszcie osiąść tu na stałe. Dostała duży pokój z wyjściem na ogród, gdzie mogły wychodzić jej ukochane koty. Ale gdy willa była już, m.in. dzięki babuleńce, całkowicie wykończona, a ona sama coraz bardziej stara, niesprawna i prawie niewidząca, Halina Rudnicka wymówiła jej swój dom, po prostu ją wypędziła, niczym sierotę z bajek Porazińskiej. Zabrał ją wtedy do siebie jej siostrzeniec, któremu od dawna pomagała i u którego spędziła ostatnie cztery lata swego życia, zupełnie już niewidoma. Zmarła w 1971 r. w wieku 89 lat, Halina Rudnicka – w 1982 r., zapisując swoją willę na bibliotekę dla dzieci, zdając sobie niewątpliwie sprawę, że inaczej jej nazwisko i twórczość miną, podobnie jak system, któremu służyła. Dzisiaj w bibliotece przy ul. Sułkowskiego swoją tablicę ma również babuleńka Porazińska i jak chyba nikt sobie na nią zasłużyła. ©℗

eprasa.pl c63039b557

fot. Jerzy Gumowski

Putin

Stalin był *„wielkim językoznawcą”*, a Putin postanowił zostać wielkim historykiem (takim dokonującym przełomów), obwieścił więc światu własną wersję przyczyn wybuchu II Wojny Światowej, wybielając ZSRR i zarzucając Polsce czołowe, skutkujące Holocaustem sprawstwo. Rozpętał tym nad Wisłą wielotygodniową burzę, podczas której nasze media pocieszały społeczeństwo, że Zachód obśmiał Putinowskie bzdury. Ale to niezupełna prawda — skarcili Putina niektórzy uczciwi zachodni historycy, politycy i żurnaliści, stanowiący wszakże znikomą mniejszość, bo tamtejszy zlewicowany Salon zawsze był przychylny Putinowi (a i wrogów Polski tam nie brak, delikatnie mówiąc), daleko jest więc do traktowania Putina przez Zachód niczym Rasputina. Że Zachód Putina lubi (mimo iż czasami sarka na ruskie trolle internetowe) dowodzą nie tylko serdeczne uściski z nim przywódców podczas bilateralnych *„szczytów”*, lecz i grube interesy ekonomiczne, transgraniczne gazociągi, a nawet kinematograficzne dziwolągi, jak globalny hit **„November Man”** (2014) Rogera Donaldsona (z Brosnanem w roli głównej), gdzie tumani się widzów tezą, że będącego pretekstem do napaści przez Kreml na Czeczenię wysadzenia rosyjskich bloków mieszkalnych dokonali przebrani za Czeczenów agenci CIA (sic!).

Między melodią fletu, na którym grywał Fryderyk Wielki (rozbiorowy oprawca Polski) a nitką dymu z komina nazikrematorium istnieje ta sama pępowinowa więź co między bezpieką Iwana Groźnego (Opryczniną) a NKWD Stalina (kolebką KGB). Pomiędzy Putinowską melodią fletu szczurołapa z Kremla, który skutecznie głaska uszy łatwowiernej widowni Zachodu, a Putinowskim zamordyzmem wewnętrznym, określanym przez Kreml jako *„suwerenna demokracja”* — też istnieje pępowina, która nie będzie wadziła Zachodowi póki będzie mógł on kręcić zyskowne *„lody”* z hordą rosyjskich oligarchów. *„Business as usual”*, przy pełnej świadomości, że Putinowska *„suwerenna demokracja”* nie jest demokracją autentyczną. Jak w tym kawale o wędrujących z dwuosobowym namiotem Sherlocku Holmesie i doktorze Watsonie. Którejś nocy Holmes budzi Watsona:

— Popatrz na niebo, Watsonie. Co dedukujesz widząc te gwiazdy?

— Że to niezwykle piękny gwiazdozbiór, przyjacielu.

— Watsonie, jesteś idiotą! Ktoś nam namiot podpierdolił!

Rosjanom ktoś ukradł namiot demokracji (stawiany już w latach 90–ych przez Gorbaczowa i Jelcyna), czego wielu nie zauważyło, Putinokracja jest im milsza od konwulsyjnej *„Pieriestrojki”* Gorbaczowowskiej i *„pijanej demokracji”* Jelcynowskiej. Nie mają dobrych praw i dobrych mieszkań, nie mają pełnych kieszeni i pełnych lodówek, nie mają radości zdrowia i wolności słowa (według sondaży *„Rosjanie stawiają porządek nad wolnością”*), lecz mają stymulowane socjotechniką oraz propagandą Kremla (plus powszechnym alkoholizmem) klawe samopoczucie *„patriotyczne”*, którego fundamentem jest nienawiść ku wszystkiemu co nierosyjskie, negowanie prymatu zachodniej cywilizacji i wybielanie wszelkich sowieckich tudzież postsowieckich grzechów.

A Putin to ich ukochany neocar. Tak jak cały przemysł kosmetyczny bazuje na wmawianiu kobietom, że wszystkie mogą mieć 18 lat — tak cała *„mocarstwowość”* Rosji Putina polega na wmówieniu rosyjskim *„masom”*, że Federacja Rosyjska to światowy gigant dzięki wysiłkom tytanicznego przywódcy. Geniusz Putin stał się supermatrioszką,

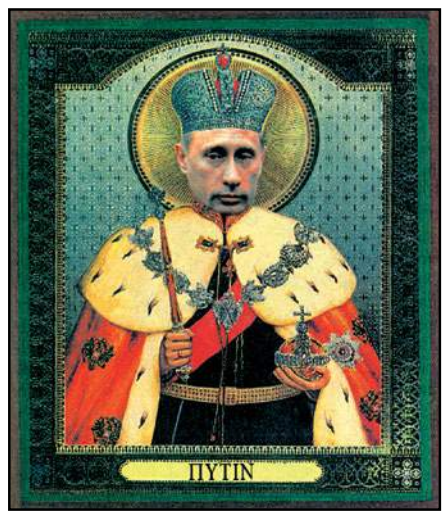

idolem *„ludu”*, wzorem dobrotliwego batiuszki–samodzierżcy, a prokremlowskie tuby medialne podsycają ów kult hasełkami typu *„Jesteś tego warta!”*. Rosjo, jesteś warta Putina gromowładnego i omnipotentnego! Błyszczącą scenografię dają owej hucpie surowce, głównie powódź petrodolarów, zaś oprawę muzyczną gładkie ględy Putina na temat *„wolności”*, *„demokracji”*, *„swobód obywatelskich”* czy *„praw człowieka”*, kopiujące liberalne *„ukazy”* carów (Piotra Wielkiego, Katarzyny Wielkiej, Aleksandra I) tudzież genseków (Stalina, Breżniewa, Andropowa). Nie brakuje w tym uwodzeniu Zachodu żadnej humanistycznej kalki, co rozaniela tamtejszych salonowców, z czego już szydził niezrównany *„Szpot”* (*„Bo nic nie wzrusza tak Zachodu jak szum frazesów o wolności”*, itd.). Dzięki temu Putin budzi sympatię globalną — ranking **„New York Daily News”**, mający wyłonić *„głowę państwa, która spędza wakacje najbardziej sexy”*, dał Putinowi łatwy triumf.

Putin też obrywa tam medialnie, choć stosunkowo rzadko. Wytykano mu uwięzienie Chodorkowskiego i mord na Politkowskiej, wypominano, że brał łapówki jako wicemer Petersburga, czepiano się jego gigantycznej fortuny (kilkadziesiąt miliardów dolarów, głównie w akcjach Gazpromu, Surgutnieftgazu, Gunvoru i innych spółek), kłuto jego szpiegowską przeszłość (był oficerem operacyjnym KGB), robiono nawet *„jaja”* z jego kaczego chodu, kpiąc per: *„waddling dwarf”* (kołyszący się karzeł). Brytyjskiemu **„The Economist”** zdarzyło się nazwać Rosję Putina *„państwem neo–KGB”* (odsetek funkcjonariuszy służb specjalnych w organach cywilnych Federacji Rosyjskiej wynosił za Gorbaczowa 16%, za Jelcyna 3%, a za Putina to już 77%), co **„The Financial Times”** określił mafijnym terminem *„Russia Inc.”*. Putin, miast się złościć, odpowiadał szyderczo — m. in. ogłosił (w portugalskiej miejscowości Mafra), iż tworzy Europejski Instytut Badający Łamanie Praw Człowieka Przez Państwa Unii Europejskiej.

Polacy — graniczący z Rosją członek Unii Europejskiej — mają do Putina stosunek taki jak do gen. Jaruzelskiego. Pewnego razu Jaruzelski poprosił Pana Boga, by Ten mu zjednał glorię męża opatrznościowego i reformatora, czyli miłość lub chociażby sympatię Polaków. Pan Bóg się zgodził:

— Dobrze, Wojtula, tyś mi publicznie nigdy nie ubliżał, więc pójdę ci na rękę, daję ci umiejętność chodzenia po wodzie. Kiedy twoi rodacy to zobaczą — zrozumieją, że jesteś wyniesiony.

Jaruzelski ucieszył się i ruszył ku Wiśle, by sprawdzić otrzymaną zdolność. Gdy kroczył taflą rzeki koło mostu Poniatowskiego, zauważyli go siedzący przy brzegu wędkarze. Któryś splunął i rzekł bez krztyny szacunku:

— Zobaczcie, ten Jaruzel to nawet pływać, kurwa, nie potrafi!

Cokolwiek dobrego można u Putina odnotować (choćby jego wrogość wobec LGBT lub wstrzemięźliwość wobec muzułmanów) — nic nie zmienia polskich resentymentów wobec niego. Płaci nam *„pięknym za nadobne”*, od spraw technicznych (szerokotorowa rosyjska kolej do zachodniej Europy ominęła Polskę), via ustrojowe (mianował świętem federacyjnym, Dniem Jedności Narodowej, rocznicę opuszczenia Kremla przez Polaków), do polithistorycznych (liczne pseudoscjentyczne książki na temat *„niemieckiej zbrodni w Katyniu”*). Mecz Rosja vs Polska trwa od wieków, i ta przeszłość boli nie tylko nas (często bitewnie gromiliśmy Ruskich, dwukrotnie — 1612 i 1812 — zdobywaliśmy Kreml). Cud tej konfrontacji polega na tym, że dziś walczą liliput terytorialny z megakontynentem, i zawzięty karzeł ciągle się trzyma. Zdaniem Putina ta sytuacja obraża prawa logiki, fizyki, grawitacji i zdrowego rozsądku, tedy nie wolno odpuszczać, trzeba wciąż wywierać presję, szkalując, prowokując, manipulując. Nie liczmy, że neocar zaprzestanie tego. ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl c63039b557

CODZIENNIE. OD 20 LAT.

20 LAT

interia

PRAWDZIWY OBRAZ ŚWIATA KSZTAŁTUJE SIĘ Z WIELU WĄTKÓW. ANALIZUJEMY RÓŻNE PUNKTY WIDZENIA, ABY DOKŁADNIE OPISAĆ ZMIENIAJĄCĄ SIĘ RZECZYWISTOŚĆ. TAK POWSTAJE OBIEKTYWNA INFORMACJA.

DZIĘKUJEMY, ŻE JESTEŚCIE Z NAMI!

20/20

interia

eprasa.pl c63039b557